

A FRONT

Kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 1(1)!
2017



Spis treści

Proza

Noty o autorach prozy i innych	158
Andrzej Muszyński – „Zjeżdżamy”. Fragmenty powieści <i>Fajrant</i> , która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Literackiego.....	155
Andrzej Muszyński – „Wilcza Chata”. Fragmenty powieści <i>Fajrant</i> , która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Literackiego.....	152
Zbigniew Masternak – „Buurko dla pisarza”. Fragment książki piątej cyklu <i>Księstwo</i>	147
Zbigniew Masternak – <i>Wieszcz.</i> Fragmenty książki piątej cyklu <i>Księstwo</i> „Między bajki”, „Skazani na książki”, „Moje miasteczko?”, „Mój prawdziwy ojciec”, „Park Czartoryjskich”	142
Maciej Melecki – „Bezdeń. Zapiski II”	128
Robert Rutkowski – „Nic z wyjątkiem”, „Podsluchane”, „Dystans”, „Czy wiesz, jak to się skończy?”	124
Joanna Skwarek – „Tatuaż”	123
Mirosław G. Majewski – „Sztukmistrz z Hammermühle”	119
Jarosław Nowosad – „Hamburger na autostradzie” – esej	116
Karina Stempel – „Śliwki na cmentarzu, Eliade, życie i śmierć” – esej	113
„Pokot wstrzelił się w dychę”. Z Wiktoorem Zborowskim o filmie trafionym w czas i o granii w ogóle rozmawia Mirosław G. Majewski.....	109
„Jesteśmy szczęściarzami...”. Z Martyną Flemming, autorką książki <i>Życie pechowej emigrantki</i> , rozmawia Agnieszka Zub	106
Jarosław Nowosad – „Silva rerum. O książce Martyny Flemming <i>Życie pechowej emigrantki</i> ”	103
„13 kobiet Brunona Schulza”. Z Anną Kaszubą-Dębską, autorką książki <i>Kobiety i Schulz</i> , rozmawia Olgerd Dziechciarz	101
Iwona Młodawska-Watson – „Wenus bez futra, ale w czarnych pończochach. Erotyka w opowiadaniach i grafikach Schulza – wybrane zagadnienia” – esej	99
Jarosław Nowosad – „Telewizyjna śmierć” – esej	97
Marcin Bałczewski – recenzje: „Naród zatracenia” M. Świerkocki i M. Sołtysik, „Ludzie Gniewu” – J. Aron i R. Garney.....	90
Erazm Furman – „Afronty Furmana” – recenzje: P. Bowles <i>Bez ustanku. Autobiografia</i> , D. Grosman <i>Patrz pod: Miłość</i> , J. McBridge <i>Ptak dobrego Boga</i> , Ch. Bukowski <i>Śmieję się z bogami. Rozmowy z Fernandą Pivano</i> , K. O. Knausgård <i>Wiosna</i>	87
Jarosław Nowosad – W królestwie Dyrektora Alienacji – o <i>Człowieku z szóstego piętra</i> , powieści Jarosława Prokopa	82
Jarosław Nowosad – „Wieczór paradiotyczny” – O koncercie Debilio Kudenzo.....	80
Kamil Pietrzyk – Recenzje muzyczne.....	78
Jarosław Nowosad – „Punk bez sztampy” – O debiutanckiej płycie zespołu Do Góry Nogami	75
Jarosław Nowosad – „Przed burzą” – O płycie zespołu Po Burzy	73
Ireneusz Cieślak – „Olkusz od najlepszej strony”. Wspomnienie o społeczniku Mieczysławie Karwińskim w pierwszą rocznicę śmierci.....	72
Ireneusz Cieślak – „Żydzi w Starym Olszynie” – esej historyczny	71
Małgorzata Południak – „Naturalny konserwatyzm Bałki Trzybulskiej” – sztuka	68
Paweł Garwoł – galeria.....	67

Autorzy > Proza i inne

Marcin Bałczewski

Urodzony w 1981 r. w Łodzi. Prozaik, autor książek *W poszukiwaniu straconego miejsca* (2002), *Malone* (2010) oraz *Eva Morales de Nacho Lima* (2013). Tłumaczony na norweski, niemiecki, angielski i białoruski. Nominowany do nagrody Fundacji Kultury „Promocja najnowszej literatury polskiej” (2007 i 2008). Stypendysta „Dagny” Willi Decjusza (wiosna 2011). Prowadzi serwis Plaster Łódzki; sekretarz redakcji Tygła Kultury. Mieszka w Łodzi.

Ireneusz Cieślik

Urodzony w 1961 r. Teolog, absolwent KUL, dał się poznać jako publicysta „Tygodnika Powszechnego”, inicjator i autor książkowego opracowania ankiety *Dlaczego chodzę, dlaczego nie chodzę do kościoła?* oraz książek: *Starcy Pustelni Optyńskiej, Olkuskie prawosławie, Wolbromscy Żydzi* (z Krzysztofem Kocjanem) i *Marsz Pamięci* w rocznicę wymordowania Żydów z Olkusza, współautor książek *Dzieci Soboru zadają pytania* i *Księga Świętych* oraz wywiadu-rzeki z o. Tomaszem Kwietniem OP *Błogosławione marnowanie*. Inicjator Marszu Pamięci, którego uczestnicy od 2006 r., w rocznicę wywiezienia do Auschwitz-Birkenau ponad trzech tysięcy olkuskich Żydów, każdego roku przemierzają ich ostatnią drogę.

Martyna Flemming

Pisarka, podróżniczka, tancerka i blogerka. Jej książka *Życie pechowej emigrantki* (2016) utrzymuje się od dnia premiery wśród bestsellerów w Empiku – kategoria: literatura faktu/literatura podróżnicza. Druga książka (m.in. opowiadająca o przygodach autorki w Azji) ukaże się we wrześniu tego roku. Obecnie autorka pisze trzecią już książkę: *Dom pełen cudzych mężów*. Prowadzi blog podróżniczy: producentkapasji.blog.pl/.

Erazm Furman

Urodzony za późnego Gomułki. Recenzent. Czyta wszystko, co upadnie mu w ręce, poza wezwaniami do „skarbowki”. Dotąd niczego jeszcze nie opublikował.

Paweł Garwol

Urodzony w 1976 r. Żyje. Żonaty, dzieciaty. Punk rocker na emeryturze. Człowiek orkiestra. Maluje, kocha, rysuje, buduje, zmywa, obserwuje, bawi się (z dziećmi), fotografuje, wycina, podróżuje, szlifuje, odkurza, trenuje, wspina się (tu i tam), projektuje, skleja, konstruuje, kieruje, ogląda, prasuje, żyje. Publikacja komiksowa: 2017 – *Odwiedziny* (rysunek), 2016 – *Szóstka* (rysunek), 2014 – *Miasto z widokiem* (rysunek), 2013 – *Fest* (scenariusz), 2013 – *Bez końca* – *Chwila jak płomień* (rysunek), 2012 – *Bez końca* (rysunek).

Anna Kaszuba-Dębska

Ukończyła ASP w Krakowie na Wydziale Malarstwa w Pracowni prof. Leszka Misiaka oraz na Wydziale Grafiki w Pracowni Filmu Animowanego prof. Jerzego Kuci. Stypendystka Prezydenta Miasta Krakowa, prof. Jana Szancenbacha i prof. Janiny Kraupe-Świdorskiej. Otrzymała wiele nagród i wyróżnień m.in. Firmy Talens oraz IBBY za działalność wydawniczo-czytelniczą. Zilustrowała kilkadziesiąt książek. Tworzy autorskie filmy animowane. W 2011 ukończyła studia doktoranckie na ASP w Warszawie. Jej projekt „Księga – dzieło SZPILKI” składa się z instalacji interdyscyplinarnej, złożonej z 200 par kobiecych butów. W 2016 r. ukazała się książka *Kobiety i Schulz*, efekt blisko dwuletnich badań naukowych Anny Kaszuby-Dębskiej w archiwach całego świata, dotyczących życiorysu Brunona Schulza oraz kilkunastu kobiet, które miały istotny wpływ na jego życie i twórczość.

Mirostław G. Majewski

Urodzony w 1961 r. Prozaik, dramaturg i poeta. W Polsce imał się różnych zajęć, był robotnikiem w fabrykach i na budowach, prowadził własną działalność gospodarczą, był listonoszem i agentem ubezpieczeniowym. Następnie pracował w Anglii, Austrii, Grecji, Niemczech i Norwegii. Debiut poetycki w „Wiadomościach Kulturalnych” w 1996 r. Powieści: *Performance* (2009), *Asymetria albo galimatiasy rzeczywistości* (2015), *wpływ księżycy* (2016). W 2011 r. atelier teatralne Scena na Lwowskiej wystawiło jego sztukę „Upside down”. Mieszka w Olkuszu.

Zbigniew Masternak

Urodzony w 1978 r. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, reportażysta, piłkarz. W 2009 r. ukończył scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Jako prozaik debiutował na łamach „Twórczości” w 2000 r. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym *Księstwo*; w latach 2006–2008 ukazały się 3 księgi: *Chmurolap*, *Niech żyje wolność* i *Scyzoryk*, na podstawie których reżyser Andrzej Barański nakręcił film *Księstwo* (2011). W 2014 r. ukazała się książka czwarta pt. *Nędzole*. Jest autorem noweli filmowej „Jezus na prezydenta” (2010), stypendystą „Homines Urbani” w Willi Decjusza w Krakowie (2007) i laureatem Świętokrzyskiej Nagrody Kultury (2011). W 2012 r. został uhonorowany Nagrodą im. Władysława Orkana. Jego książki i opowiadania tłumaczono na języki niemiecki, serbski, bułgarski, rosyjski, białoruski, ukraiński, macedoński, wietnamski i mongolski. Jest kapitanem Reprezentacji Polskich Pisarzy w Piłce Nożnej. W niniejszym numerze AFRONTU publikujemy fragmenty jego najnowszej, przygotowywanej do wydania powieści *Wieszcz.*

Maciej Melecki

Urodzony w 1969 r. Autor dziesięciu książek poetyckich, m.in.: *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy* (2008), *Przester* (2009), *Szereg zerwań* (2011), *Pola toku* (2013) oraz *Inwersje* (2016). Prezentowane wiersze pochodzą z przygotowywanego tomu wierszy *Bezgrunt*. Mieszka w Mikołowie.

Iwona Młodawska-Waterson

Z zawodu i zamiłowania filolog; ale pisze też wiersze, opowiadania, recenzje oraz tłumaczy z angielskiego i na angielski. Wyróżniona w 37. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Halińcy Poświętowskiej (kategoria: Debiut). Mieszka w Olkusz.

Andrzej Muszyński

Urodzony w 1984 r. Pisarz, reportażysta, podróżnik i poeta. Absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pierwszy laureat Stypendium Fundacji Herodot im. Ryszarda Kapuścińskiego w 2012 r. Laureat Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu 2012. Nominowany do Nagrody im. Beaty Paulak 2013 za zbiór reportaży *Południe* (Czarne 2013), Nagrody Literackiej Gdynia 2014 za zbiór opowiadań *Miedza* (Czarne 2013), Nagrody im. Beaty Paulak 2015 za reportaż o Birmie – *Cyklon* (Czarne 2015), Paszportu Polityki za rok 2015 oraz Nagrody Literackiej Gdynia 2016 za powieść *Podkrzywdzie* (WL 2015). Opowiadania publikował w „Akcencie”, „Res Publice Nowej”, „Twórczości”, „Wyspie” i „Znaku”, a wiersze w „Akcencie” i „Toposie”. Jest laureatem nagród podróżniczych: Kolos 2012 za wyprawę w Himalaje Birmańskie i Nagrody im. Andrzeja Zawady 2013 za projekt wyprawy do północnej Birmy. Pokonał samotnie pustynię Atacama (2008), wspinał się nową drogą na szczyt Chaupi Orco na granicy Peru i Boliwii. Teksty zamieszczone w AFRONCIE pochodzą z powieści *Fajrant*, która ukaże się w tym roku nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Jarosław Nowosad

Urodzony w 1970 r. Prozaik, krytyk, eseista, dziennikarz, z doskoku również poeta i tekściarz. Opublikował tomiki wierszy *Mogę być* (2006) i *Nic nie płynie* (2011) oraz tom opowiadań *Czarny chevrolet* (2013). Był w składach redakcji „Gazety Krakowskiej” (oddział: Olkusz), „Ziemi Olkuskiej” i „Kwartalnika Powiatu Olkuskiego”, pisywał dla „Opcji”, „Śląska”, „Frazy”, „Studium” i „Lampy”. Mieszka i pracuje w Olkusz.

Kamil Pietrzyk

Urodził się w 1989 r. Poeta i recenzent muzyczny. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. W 2015 r. ukazał się jego debiut poetycki *Labirynt kretyński* (Fundacja Przyroda i Człowiek). Mieszka w Zawierciu.

Małgorzata Południak

Redaktorka kwartalnika literacko-artystycznego sZAFa, serwisów ArtPub Kultura i Galeria. Felietonistka kwartalnika eleWator. Autorka dwóch tomów wierszy *Czekając na Malinę* (2012), *Liczby nieparzyste* (2014). Mieszka w Irlandii. Prowadzi blog poetycki Pierwszy Milion Nocny: <https://wucieniuszkrydel.blogspot.com/>.

Robert Rutkowski

Urodzony w 1978 r. Poeta, prozaik, recenzent i redaktor (z-ca red. nac. kwartalnika „Arterie”). Autor tomów poetyckich: *Nieobowiązujący spacer po cmentarzu* (2002), *Łowienie spod lodu* (2008) i *Wyjście w ciemno* (2009).

Joanna Skwarek

Urodziła się w Lublinie. Opuściła rodzinne miasto i osiedliła się w Holandii. Po kilkunastu latach pracy w korporacji zrezygnowała z tego zajęcia, aby pisać. Uwielbia czytać książki i podkreślać w nich co ciekawsze fragmenty, uprawia jogę i pływa. W 2015 r. ukazała się jej debiutancka powieść *Żona Lota jeszcze się zastanowi* (Wydawnictwo Pascal). Obecnie pracuje nad drugą powieścią. Prowadzi blog literacki: <http://kroliczanora48.blogspot.com/>.

Karina Stempel

Z wykształcenia filolog i socjolog, obecnie doktorantka w Instytucie Slawistyki PAN. Znaczącym epizodem w jej życiu był dwuletni pobyt w Rumunii, który rozwinął jej nieustannie pogłębiane więzi z tym krajem. Książki poetyckie: *Rok Drewnianego Konia* (Amaltea 2015) i *Noc w Nome* (2016, I nagroda w IV Konkursie Dużego Formatu). Publikowała w czasopismach papierowych i wirtualnych (m.in. w „Helikopterze”, „Frazie”, „sZAFie” oraz w antologii *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Wrocław 2016)). Mieszka w Podlesicach II w Małopolsce.

Wiktor Zborowski

Urodzony w 1951 r. Jest jednym z najbardziej charakterystycznych aktorów scen polskich. Absolwent warszawskiej PWST, którą ukończył w 1973 r. Przez wiele lat związany z Teatrem Narodowym, gdzie występował m.in. w spektaklach w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, Konrada Swinarskiego czy Tadeusza Minca. Następnie związany także ze scenami Teatru na Woli, Teatru Kwadrat, Ateneum. Gościnnie występował również na deskach Teatru Studio, Dramatycznego czy Teatru Muzycznego Roma. W ostatnich latach związany z warszawskim Teatrem Polonia, Och-Teatrem i Teatrem 6. Piętro. Wiele kreacji stworzył również w Teatrze Telewizji. Spokrewniony z Janem Kobuszewskim w niczym nie ustępuje mu talentem i wzrostem. Podobnie jak jego wielki krewny, posiada wielkie predyspozycje do ról komediowych. Ceniony aktor filmowy; po raz pierwszy na ekranie widzowie mogli go zobaczyć w jednym z odcinków „Czterdziestolatka” pt. „Karta ze Spitzbergenu, czyli oczarowanie”. Wraz z Krzysztofem Majchrakiem stworzyli tam role przezabawnych inżynierów dowcipnisiów. Jego dar rozśmieszania innych sprawił, że zagrał w wielu wspaniałych polskich komediach (np. „Kogel-mogel” w reżyserii Romana Załuskiego czy „Darmozjad polski” wyreżyserowany przez Łukasza Wylężałka). Zachwycił krytykę i widzów rolami w filmach Janusza Majewskiego (m.in. „CK Dezerterzy”, „Mała matura 1947”), Witolda Leszczyńskiego („Siekierzada”) i Jerzego Hoffmana (Longinus Podbipięta w superprodukcji „Ogniem i mieczem”). Ostatnio wystąpił w filmie „Pokot” w reż. Agnieszki Holland. Wielką popularność przyniosła mu też rola biskupa w serialu „Ranczo”. W 2016 r. zagrał kierownika kołchozu – po łotewsku! – w polsko-łotewsko-estońskiej koprodukcji „Świt” w reżyserii Laili Pakalninij. Ze względu na charakterystyczny głos jest rozpoznawalnym i bardzo popularnym aktorem dubbingowym i radiowym. W roku 2014 został uhonorowany Wielkim Splendorem – nagrodą dla wybitnych twórców teatru radiowego.

Agnieszka Zub

Ukończyła studia polonistyczne i dziennikarskie. Redaktorka, korektorka, dziennikarka. Przez cztery lata była redaktorem naczelnym „Kwartalnika Powiatu Olkuskiego”. Wchodziła w skład redakcji „Ziemi Olkuskiej”, obecnie współpracuje z „Przeglądem Olkuskim”. Sekretarz redakcji Kwartalnika literacko-artystycznego „Afront”.

AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7 A

tel. 502 405 437, 668 118 267

www.afront.org.pl

afront.fundacja@wp.pl

Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny

Agnieszka Zub – sekretarz redakcji

Jarosław Nowosad – redaktor

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.

Projekt okładki: Paweł Garwol

Proza

Zjeżdżamy

Andrzej Muszyński

Fragmety powieści *Fajrant*, która ukaze się wkrótce
nakładem Wydawnictwa Literackiego.



Mówiło się: „zjeżdżamy”, „zjeżdżamy do Polski”. Padały te słowa nieoczekiwanie, przynajmniej dla współlokatorów, czyli osób przypadkowych, a w każdym razie obojętnych. Ktoś po prostu oznajmiał to wieczorem, gdy reszta krzątała się w kuchni, wchodząc sobie w drogę, zaliła się na brak overhours, smażyła mielone albo po pourocie z roboty zdrapywała nożem wapno przyschnięte na bucie.

Tak to mniej więcej wyglądało tamtego dnia u schyłku zimy 2009 roku. Od rana wiało, wiało jak nieszczęście, i przed domem moim, a pewnie i Marii, i Benia, furkotały pudła, fruwały podziurawione worki i co tam lżejszego, co trzeba było upchać w walizkach. Mieszkaliśmy osobno tylko dlatego, że oni pracowali po drugiej stronie miasta Norwich — ja na północy, na farmie u Davida Attenborough, oni na południu. Beniu od ostatniego lata tyrał w oczyszczalni śmieci. Maria, jak zwykle najlepiej ustawiona, zatrudniona była w agencji pośrednictwa pracy, pieprzonym job centre z ofertami albo dla prawdziwych fachowców, czyli innych Polaków, albo menedżerów, czyli Brytyjczyków.

Wóz był pełny, przynajmniej zarezerwowana dla mnie część. Wczesnym popołudniem miałem podjechać pod ich dom, który różnił się od mojego tylko tym, że stał w innym miejscu. Zresztą miejsce też było prawie identyczne. Polacy na kwadracie, czyli w bliźniaku parę metrów dalej, stali jak co sobotę przed drzwiami w plastikowych klapkach i palili, w ogóle się nie odzywając. Któryś tylko machnął niedbale ręką w geście pozdrowienia i pogadził się po łysej, idealnie okrągłej głowie. Z wnętrza ich domu przez uchylone drzwi dobiegał odgłos maszyny elektrycznej. Golił się co sobotę albo i częściej. Jeden po drugim siadali z fajkami w ustach na krzesła ustawionym w ogródku za domem i wzajemnie ścinali sobie, co przez tydzień odrosło. Dobiegał też stamtąd płacz dziecka — nie do zniesienia. Jego matką była Polka, wynajmująca od lat pół ulicy, by podnajmować mieszkania mniej rozgarniętym rodakom, nie tylko zresztą im. Przyjechała na Wyspy na długo przed falą imigracji po wejściu Polski do Unii. Ojcem dziecka był Hindus, który Bóg wie czym się zajmował, ale jeździł zawsze dobrymi brykami i zmieniał je co kilka miesięcy. Parę razy widziałem go z Albańczykiem, Admirerem, który dorabiał do pensji z hurtowni zabawek interesami na jatkach w wiosce zamieszkałej przez jego współplemieńców. Tam zaopatrywali się w mięso z rytualnego uboju Arabowie, a raczej muzułmanie. Podobno on dostarczał tam zwierzęta, skąd, nie wiem.

Dwie ulice dalej rozciągał się rewir nazywany przez wszystkich dzielnicą muzułmańską. Meczet stał tam na meczecie, częściej można było spotkać kobiety w burce niż w spódnicy, ze sklepów dobiegała słodka woń przypraw i perfum z drzewa sandałowego. Chyba większość stanowili Pakistańczycy. Od paru miesięcy mieli na pieńku z Brytyjczykami z okolic, którzy w zasadzie stracili prawo wjazdu na ten teren. Jeden z nich, Johnny Wane, nawiasem mówiąc, znajomy Marii, woził się tam swoją furą i próbował zmienić ten stan rzeczy. Najczęściej w soboty i po pijanemu. Trochę prowokował. Którejś nocy zatrzymał

się na światłach, gdzie go dopadł poplecznik jednego z imamów. John opowiadał wtedy do kamery w telefonie pasażera o tym, co stało się z dzielnicą jego młodości, przez otwarte okno wywiązała się krewka dyskusja, aż brodaty poczęstował go sierpowym, pokrąwionym Johnny wysiadł, ale w sekundzie, jak spod ziemi, zjawił się tabun muzułmanów i prawie go zabili. Ci bali się tylko Polaków i Litwinów. Gdy o zajściu usłyszał Szymek Bogaj, którego znaleźliśmy jeszcze z roboty na mrożonkach — tam najczęściej wysyłali Polaków z job centre — postanowił pomścić Johnny'ego. Pojechali w trzech. Sytuacja wyglądała niemal identycznie. Na światłach wywiązała się kłótnia, Szymek zaczął się szarpać z którymś z tamtych, naraz z krzykiem na ustach zjawiło się tuzin ciapatych, ale nasi tak ich nawalili, że leżeli pod latarnią pokotem. Ciapaci — tak mówiło się na smagłych ludzi z Południa. Od tamtej pory tych przynajmniej Polaków omijali bokiem. Muzułmanie nie potrafili myśleć o ludziach ze Wschodu politycznie i chyba przyjęli to tylko jako porażkę w wymiarze sportowym, po której rewanz był wskazany, ale niekonieczny. Szymon w każdym razie też zaspokoił w ten sposób swoje polityczne ambicje.

— What the fuck?! — gruby Mike wyszedł ze swojej frytkarni, cały czerwony i spocony, prześmierznięty olejem.

Odstawiłem na chwilę ostatnią torbę, którą upychałem w bagażniku, i podszedłem do niego pożegnać się. Powiedziałem spokojnie: — I go home. Finally. — Na to gruby rozwarł gębę i odparł z niedowierzaniem: — No. — Nawet to słowo akcentował w swoim dialekcie. Więc odpowiedziałem: — Yes.

Dało się go lubić. On chyba też mnie lubił, w przeciwieństwie do muzułmanów, których wyklinał, smażąc dorsza take out. Nieprzejęty zbytnio wyzwaniem globalistyki, oddawał serce tylko i wyłącznie podobnym sobie. Regularnie dawał mi zniżki. Tym razem poczęstował mnie rybą. Odpaliłem wóz, skubnąłem ciepłą frytkę z plastikowego pojemnika na desce rozdzielczej i włączyłem wycieraczkę. Zaczął siać zimny deszcz.

Mijałem podręcznikowo wyprofilowane ronda, te wyrzucały mnie łagodnie na kolejne ulice, których nazw nigdy nie zapamiętałem. Palilem papierosa i patrzyłem na Anglię, w której spędziłem najlepsze lata życia. Ceglane budynki, Darko Ivanović, z którym pracowałem kiedyś na taśmie — zatrąbiłem mu klaksonem, ale się nie odwrócił, Brytyjki o zmęczonych twarzach, wracające po pracy do domów z tej samej fabryki co czterdzieści lat temu, gdy przed napływem obcych można było pracować bez nerwów. Grupy nastolatków z różowymi włosami, w rurkowych spodniach, skaczący na deskach pod pomnikiem. Silnik pracował cicho, więc było słychać gruchot, gdy uderzały o bruk.

Z tego miasta wyjadą kiedyś nawet Polacy, myślałem, gdy mijałem sklep z meblami za jeden funt i widziałem, jak z wnętrza wielki Murzyn wynosił czerwony tapczan. Zostanie tylko mgła, skrywająca szyldy drogich,

pustych hoteli, zielone puby i bank, w którym strażnik, widząc klienta o pszennej wschodniej twarzy, wzywa z zaplecza panią Sylwię, bo ta jako jedyna w placówce mówi w bezkosnym języku klienta. Zostanie tylko mgła, którą Brytyjczycy tak bardzo chcieliby wymazać z wizerunku, zepchnąć ją gdzieś dalej, najchętniej na południe, by zagubili się w niej ci, którym jeszcze świta w głowach myśl, by się tu wybrać. Ale tamci, którzy przybyli wcześniej, przecież w końcu odbiorą, co zabrane ich dziadkom, i wrócą do swoich Gwinei. Czarny Kontynent zaświeci, choćby na samym brzegu, i wtedy wyjadą tam kolejni, bo przecież światło płonie tylko tam, gdzie jest jakaś robota.

Na promie usłyszałem krzyk Marii wołającej mnie spod przeciwnej burtki, stłumiony przez porryw wiatru. Postanowiłem się przejść. Było tam jak na stypie, kiedy ludzie z jakichś powodów woła spacerować, niż siedzieć wspólnie przy stole. Tak dokładnie wypastowane buty miałem ostatni raz na Pierwszą Komunię. Poszedłem nawet przed wyjazdem do fryzjera, Bernard zresztą też. Klify w Dover, zwykle kredowobiałe, płonęły w zachodzącym słońcu, przypominając z oddali rozgrzaną do czerwoności płytkę. Mój cień padał na wodę — karykaturalnie długie nogi, nieproporcjonalnie mała głowa, bita przez grzywiaste fale. Morze wyglądało dokładnie jak siedem lat wcześniej, gdy celnik uparcie mylił Warszawę z Bukaresztem, i przekonywałem go, że nie mam nic wspólnego z przemysłem winiarskim. Wnętrze promu było betonowe i szare, szare były też uniformy pracowników. Rzadko zatrudniano na statkach ludzi ze wschodu Unii, chodziło o pewność, że ochrona przed szmugłem jest szczelna. Koszulę wpuściłem starannie do spodni z nowym, skórzanym paskiem, chyba nieźle leżała.

Zamówiłem w barze podwójne macchiato. Maria i Beniu siedzieli przy stoliku wpatrzni w morze. Stanowili dobrze znany typ pary, w którym związek kobiety i mężczyzny jest niemal dosłowny. Nawet w samochodzie chcieli siedzieć razem z tyłu. Może i lepiej — niespecjalnie chciało mi się z nimi rozmawiać, a na samą Marię mogłem patrzeć we wstecznym lusterku. Powinni jej dać na imię Maria, z tą kreską nad „i”, bo z czarnymi włosami do ramion, z oczami jak aronie i z lekko zachrypniętym głosem przypominała kobietę z La Boca. Włożyła czerwoną bluzkę zapinaną na guziki. Spała. Srebrny łańcuszek ginął pomiędzy piersiami. Gdzieś niżej musiał być krzyżyk.

— Zatrzymaj się na cepeenie. — Ben ciągle używał nazwy z dzieciństwa. Do toalety też poszli razem. W spokoju paliłem papierosa.

Beniu pierwszą robotę dostał w technikum, jako pomocnik na stacji benzynowej. Po prostu lał chrczoną benzynę i wyciągał cały tysiąc złotych, oczywiście na czarno. Wyleciał trzeciego dnia, bo odpalił papierosa przy dystrybutorze. Przez jakiś czas nawet wołali na niego „Cepeen”, ale że było za długie, skrócili do „Cep”, za co bił po mordzie. Farbował wtedy włosy na blond i stawiał je do góry na różowym żelu, który niechlujnie rozprowadzał, i zawsze przysychało mu to gdzieś za uchem, na czole. Był znany z tego, że co rusz na środku drogi kończyło mu się paliwo, w środku nocy dzwonił po pomoc.

Maria pierwszą fuchę, osiem złotych za godzinę, dostała w liceum — jako hostessa, gdy wybudowali w okolicy pierwszy Carrefour, ale zwolnił ją

nowy szef, bo uznał, że jest za niska. Użył słowa: „mała”. Metr siedemdziesiąt trzy, przy idealnych proporcjach.

Między moimi dwoma ojczyznami rozciągała się tak zwana Europa. Płaska i przewidywalna. Interesowała mnie tyle, o ile spadał kurs euro. Jechałem niemiecką autostradą. Chcieli mnie zmienić koło Hamburga, ale pragnąłem wziąć ją samodzielnie, więc wypiliśmy cztery red bulle i grałem ponad dwieście, mijając tureckich szoferów, którzy pomiędzy maskami iveco urządzali sobie nocną wyzerkę jak w ramadan.

Przy granicy oczy miałem już na zapalkach. Nie nawykły do tej trasy, bo lataliśmy na święta samolotem, rzecz jasna Ryanaiem, ze stadem rozwydrzonych panienek i nawalonych kolesi, którym regularnie pieprzyło się Lutton z Heathrow.

Granica między RFN-em, jak mawiał mój ojciec, a krajem złodziei i bandytów, jak mawiał ojciec Benia, rozpuszczała się w żółtej mgłę, w której wysoko przy szosie świeciły lampy jak stare grzałki.

— Ty coś ćpałeś? — tuż przed świtem usłyszałem klejący się głos Benia.

Dodałem gazu i odpaliłem papierosa. W radiu grali *Hotel na godziny* Skubikowskiego. Motele świeciły jasnym różem. Tylko język się nie zmienił. Spikerzy mówili więcej niż w stacjach angielskich. Głosy pojawiały się, charczały i znikały jak wzgórci z samotnymi zagrodami w oddali. Była czwarta nad ranem, więc okrągłe zdania nie znajdowały wielu odbiorców, dlatego ulatywały wzgardzone w kosmos w pogoni za innymi, począwszy od pierwszej audycji w dziejach, albo za wrzaskami Hitlera, który straszy już pewnie gdzieś tam w okolicy Andromedy.

O takich rzeczach trzeba myśleć, by nie zasnąć. Potem po zjeździe z pierwszej autostrady droga staje się coraz węższa, z odnogami polnych dróg, prowadzących w czapy zagajników, które w półmroku przypominają tyłki bizonów. Otwarłem okno, powietrze znów było tłuste. W oddali zagwizdał pociąg. Gierkowskie kwadraty we wsiach stykały się ze sobą, a ucepione ich dachów anteny satelitarne przypominały wielkie uszy. Pewnie niewiele się zmieniło w środku: cienkie boazerie, komody na półpiętrze, góry rozchodzonych kapci, meblościanki, pasyjka na kredensie, fusy po wczorajszej kawie Jacobs Krönung, hałda węgla obok pieca CO, w gościnnym dywan od ściany do ściany. Podwórko pełne kół, pił, szpryc i pordzewiałych ścinków metalu, ułożonych jeden na drugim pod balkonem z sośniną poutykaną pomiędzy kratkę balustrady. Poszarpany przez psa fotel z poloneza wprost na ziemi, zbyt nisko, by sięgnąć z niego ręką do pordzewiałego stołu z rozchybotanymi nóżkami.

Czerwone lampki alarmu na murach otaczających podmiejskie rezydencje pulsowały w ciemności jak pieprz na czole rozświetzonego hinduskiego sklepikarza w Norwich.

Mgły snuły się w dolinach, ale rynek Miasteczka na szczycie wzgórze tonął w słońcu. Był biały jak w Apulii. ●

Proza

Wilcza Chata

Andrzej Muszyński

Fragmenty powieści *Fajrant*, która ukaże się wkrótce
nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Uderzyłem uściskiem podeszwy buta w drzwi tuż pod skoblem, kłódka tylko zazgrzytała. Palce u rąk mi skostniały, sypał coraz gęstszy śnieg, który zamazywał moje ślady prowadzące do drzwi chaty. Zakląłem i przykucnąłem pod progiem, grzejąc opuszki palców w ustach. Spojrzałem na świerki, obok których brnąłem parę godzin wcześniej z wielkim plecakiem na ramionach. Gdzieś tam, peunie już w śniegu po felgi, stała moja łada niva, ostatnia rzecz, jaką zdołałem kupić za forszę z Finito. Przez chwilę słyszałem jeszcze swój oddech, a potem już nic, nawet podmuchów wiatru, tylko padał śnieg, coraz gęstszy, układający się w kryształowe rafy na polanie. W końcu znalazłem klucz do drewni. Wisiał wyżej, niż wskazuje rozsądek, pod samym sufitem, a Wilcza Chata była wymrożona, na szczęście niedawno zdezynfekowana. Tak ktoś napisał na przybitej pinezce do drzwi kartkę z instrukcją: „z pół godziny przewietrzyć”. Jako ostatnia mieszkała tam stara kobieta. Jej zdjęcia wisiały na ścianie. Śnieg zawiewał do środka, więc w pośpiechu przyniosłem z dwa naręcza polan i rozpałiłem w piecach, najpierw w tym w kuchni, a potem w głównej izbie. Wymiotłem śnieg łopatką i wyrzuciłem go za próg. Czuję, jak przez szparę między progiem a drzwiami ucieka ciepło. Zapaliłem świeczki i dwie lampy oliwne, do których nalałem do pełna paliwa, ustawiłem je na parapetach i na stole w kuchni, obok słoika z fasolką po bretońsku, chleba, masła, konserwy, flaszke śliwownicy zaś postawiłem przy nodze łóżka. W zupełnej ciemności otworłem prawie wszystkie okiennice – głucho ryknęły o stare, przeżarte przez korniki krawężniki. Wypiłem pierwszy duży łyk beskidzkiej śliwownicy i włożyłem do telefonu nową kartę sim, której numer znali tylko ojciec i matka. I tak po chwili wyłączyłem telefon. Wyszedłem na zewnątrz na papierosa. Łada musiała tkwić już w śniegu po klamki. Tej nocy księżyc był jasny jak słońce. Duży i ścięty jak mieczem, wchodził w którąś tam kwadrę w punkcie perygeum. Wznosił się ponad szczecinką smreków, jego światło plamiło pnie, wdzierało się gładko pomiędzy szpary w drewni. O północy wszystko wokół rzucało wyraźne cienie, największy – chałupa, jej cień był regularny i ostry. Wróciłem do środka.

Usiadłem przy stole. Przymknąłem oczy. Z butelki ubyła z ćwiartka pożywej cieczy, odpaliłem kolejnego papierosa. Świeczka musiała zgasnąć, bo za powiekami zrobiło się ciemniej. Nagle wzdrygnąłem się, jak człowiek wystraszony krzykiem. Spojrzałem na zegarek, minęła godzina i siedemnaście minut. Między palcami tkwił dopalony do filtra papieros. Śnieg zasypywał szlaki i zacierał kierunki. Gdzieś tam w dole paliły się peunie światła Szczawnicy, ale tutaj nie docierał nawet ich naparstek. Przeczyściłem czopuch. Bierwiona pod fajerkami zaczęły strzelać. Płomień świeczki wetkniętej w szyjkę butelki po kozłaku drgał. Rzodkiewka wymknęła mi się z rąk. Przestrzeń znów należała do dźwięków i przedmiotów.

Od pół roku oswajałem bezrobocie i czekałem na zwrot podatku. Poszedłem do urzędu pracy jesienią, bo nie miałem ubezpieczenia, a rozbiłem głowę, jadąc rowerem. Kuźniar z Alpin-techu zarobił na

nas 40 tysięcy za wymycie szyb i pokrycie ich impregnatem, który długo nie chciał zejść. Na pokrycie kosztów odgrzybiania wydaliśmy jeszcze więcej. Nanokrzemionki nikt nie chciał kupić, a raczej szukał jej nie u nas czy w Niemczech, tylko w Chinach – poprzez portal Alibaba. Od pół roku żyłem, w sumie całkiem wygodnie, za dwa tysiące miesięcznie, które wypłacali mi rodzice. Podchodzili i wręczali mi kopertę albo wciskali banknoty do kieszeni, rytualnie opierałem się, a matka błogosławiła mnie znakiem krzyża. Częściej niż zwykle wspominałem słowa dziadka: „Ja myślałem, że jak skończysz studia, to połowę czasu będziesz pracował, połowę odpoczywał. Ja technikum ukończył, a więcej żem pracował i więcej odpoczywał”.

Tak, dziadku, wyjeżdżałem do miasta i przyglądałem się strumieniom ludzi zmierzających na dniówkę, paniom, robiącym w pośpiechu zakupy na targu, bo „leciały” do pracy. Stawałem przed lustrem, wciągałem brzuch, wypuszczałem powietrze, by zrobić w sobie przestrzeń dla przedsiębiorcy, ale potrafiłem odgrywać rolę wyłącznie konsumenta. Wulkanizator zarabiał w ciągu pół godziny dziewięćdziesiąt złotych na wymianie dętek w moim samochodzie. Chciałem mieć co oferować, jak oni, artyści przepoczwazień, pracujący w domu korpulud za 9600 netto miesięcznie, o których nie potrafiłem powiedzieć nic poza tym, że im się powodzi. Przepatrywałem kieszenie starych polarów w poszukiwaniu zapomnianych banknotów. Za zgodą matki sprzedałem parę narzędzi dziadka. Siadałem pod Konwalią z butelką sławnego i w ciepłe jesienne dni obrastałem w babie lato.

W Miasteczku przez ten czas w piekarni szukali kierowcy. Oczywiście zgłosiłem się. „Ora et labora” – powiadali chrześcijanie. „Wystaraj się o pracę, najlepiej fizyczną” – radzili starozakonni. „Lepsza lekka praca, lecz czasochłonna, niż ciężka, która szybko się kończy” – zakładał abba Matoes. „Kto?! Ty? Po studiach? Chyba żartujesz!” – tymi słowami odesłali mnie z piekarni do domu.

Wysłałem w końcu dziesiątki maili z CV, napisałem płomienny list do wójta, bo potrzebowali kogoś z rocznym doświadczeniem do obsługi dotacji unijnych; ba, nawet zadzwonili i grzecznie podziękowali za zgłoszenie. Dzwoniłem do starych znajomych, dawno nie widzianych wujków, rozmawialiśmy po bratersku, ale gdy pytałem o pracę, wpadali w nieopanowany popłoch i nigdy nie oddzwaniali. W ten sposób straciłem zaufanie do ludzi biznesu i ich intuicji: Witek mylił się, byłem wszędzie niepotrzebny. Spoglądałem w lustro, bawiłem się powiekami, zaglądałem sobie w oczy, bo czułem się jak syn eleganczkiego mordercy, jak pikantny kąsek w towarzystwie, który jednak w miejscu pracy parzy na odległość.

Gdy po klęsce z Finito nie pomagało nawet picie, po raz pierwszy od paru lat wyszliśmy z Beniem na murawę. A tam zasuwał teraz rocznik zero zero, to jest urodzonych w roku dwutysięcznym, na tyle już masywny, by dudnić ciałem, upadając na ziemię. Prawie nikogo

nie znaleźliśmy. Ale oni szybko łapali się, że wchodzimy na płytę ze zbyt dużą pewnością jak na obcych. Że przejmujemy władzę, przynajmniej do piętnastej minuty, dopóki nie zabraknie nam paliwa w płucach. Przejmowaliśmy boisko samą pamięcią i na pamięć. Szumieliśmy po skrzydłach jak przecinaki. Byliśmy jak Czarny, który wpadał na szkolne boisko na koniu albo w skórzanej kurtce, ubiegał na nie w środku meczu, przez pola, brnąc w śniegu po kolana, przeskakiwał przez płot i stawał na środku boiska. Przerzywaliśmy mecz, a on zarządzał: „No to, kurwa, teraz z nimi jedziemy!”. „Ale z kim?” – pytaliśmy w duchu. Ale w gruncie rzeczy było nam obojętne, przeciwko komu gramy, byle z nim. Przychodził na gotowe. Od rana łopaty chrupały o ściętą lodem breję, piętnastu, dwudziestu wyrostków uwijało się, byle oczyścić boisko i grać. Gdy spadł świeży śnieg, zakładaliśmy na skarpetki foliowe worki. Tak, grać. Brać udział.

Zobaczyłem Benia po drugiej stronie boiska. Zakrywał tułowiem piłkę, nagle sprytnie się obrócił, kiwnął obrońcę i diablo precyzyjnie posłał ją w moim kierunku, ja zaś zgasilem ją na klacie, zagarnąłem razem z kępką trawy w kierunku bramki, poczułem, jak obrońca odbija się ode mnie i nakrywa nogami, wycofałem ze zwodem do nabiegającego Benia, a gdy on kropnął piłkę w boczną wewnętrzną siatkę bramki, poczułem, że i sam los pogubił się w naszej tiki-tace, że znów stajemy się wszechmogący.

Po meczu Beniu, drapiąc się po mokrych plecach, chlapanął od niechcenia: – Jedziemy z Maryską do Chin. Tak jak mówiłem, jak z Chińczykiem nie klepniesz czegoś face to face, to nie ma szans na deal. Będziemy sprowadzać zabawki, trza się odkuć po Gocu.

Więcej nie wybrałem się na te rozgrywki. Beniu jeszcze z dwa razy zadzwonił, Marysia próbowała mnie przekonać, że wszystko odbywa się w naturalnym porządku. Parę tygodni później spotkałem Bena na poczcie, gdzie odbierał wielkie pudło z Hongkongu. Zapytałem:

– I jak, interes się kręci?

– A nawet się kręci. A co tam u ciebie? – Zamieniliśmy jeszcze parę zdań. Uzgodniliśmy, że się zdzwonimy, ale czuliśmy się jak ludzie z przygniecionymi nogami po zejściu lawiny, którzy nie mogą się do siebie zbliżyć.

– Roboty muszę sobie poszukać, nie masz jakiej? Boję się, że emerytury nie będę miał i umrę z głodu, jak starzy wykitują – powiedziałem na odchodne, bo właśnie w te dni ogarnęła mnie druzgocąca pewność nadejścia przyszłości.

A on tylko wytrzeszczył oczy: – Ty naprawdę wierzysz, że ktoś ci wypłaci emeryturę?!

– Ja już tylko w to wierzę. A ty z czego będziesz żył, jak będziesz miał osiemdziesiąt lat? Co, będziesz nanorurki kozikiem strugał?

– No, coś na pewno będę robił, każdy orze, jak może. Ja bym się na twoim miejscu za choinki wziął na święta, dobre przebicie, kupę forsy.

Obaj czuliśmy, że to jest ta chwila, kiedy łamie się kra, ale nie oznacza to wcale przełamania lodów: on odpływa na jednej połowce, a ja na drugiej, w przeciwną stronę. Z Marią porozumiewałem się odtąd tylko esemesami. Prowadziliśmy w ten sposób łgarską psychoterapię, próbując dociec, co wydarzyło się między nami trojgiem. Beniu o naszej korespondencji nic nie wiedział. W końcu i ta ustała. Byli coraz bardziej zajęci nowym biznesem, wyjeżdżali z kraju.

Otrzymałem list z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych z wysokością składek emerytalnych. Wciąż widniała tam kwota w wysokości 0,0 złotych.

Wybierałem na komórce numery osób, które poszukiwały pracowników, i ogarnął mnie dojmujący wstyd, bo wolałbym, żeby to mnie zapraszali. Żeby było jak w 1965 roku, jak opowiadał mi leciwy pracownik parku narodowego, gdy na uczelni tuż po obronie przyjechał po niego osobiście dyrektor i prosił jego profesora, by go namówił, bo jest co robić, bo czeka mieszkanie. Wybierałem ze ściśniętym żółdkiem kolejne numery, bo ogarnął mnie paniczny lęk przed Anglią. Czułem podświadomie przykry gorąc pod trzema bluzami, założonymi, by nie przekroczyć limitu wagi bagażu w Ryanairze, czułem woń fasoli za trzydzieści pensów. Dlatego dzwoniłem dalej, bo wierzyłem, że swoi nie pozwolą, bym się bał.

Ci zawsze byli w drodze. Gdy odbierali telefon, w słuchawce dudnił pociąg albo słycać było szum autostrady. Ścisiali radio i kazali słać maile, zapraszali na spotkanie, a ja już po rozłączeniu nie miałem ochoty z nimi rozmawiać, choć w środku odzywało się szczenię, gotowe skomleć, łaścić się, zrobić, co każą, byle tylko nie wyrzucili na zbity pysk, byle co miesiąc wypłacali ze dwa koła. Pękała od nich sieć, wysypywali się z ekranu. Mamelucy kapitalizmu, jak jeden, do którego próbowałem się dodzwonić, Rumcajs palestry w typie łysawego Roma, podpisany czcionką Times New Roman. Łysi szefowie firm windykacyjnych, gdzie liczyłem na schronienie, którzy odsyłając mnie z kwitkiem, przekazywali elementarz tego fachu: „pała po jajach, skuteczność przede wszystkim!”. Przeglądałem oferty pracy w internecie i nie rozumiałem samych nazw profesji: junior quant – risk model development, shared services team lead, proces repository administrator, junior R/Python Programmer. Korzystałem z filtrów w wyszukiwarce i okazywało się, że nie spełniam kryteriów żadnego z ogłoszeń. W Miasteczku pojawiło się tylko jedno: szukali spawacza. Nawet więźniowie pracowali, żebracy odbierali swoje.

Zatrudniała mnie już tylko wyobraźnia. Bezrobocie dobrze przygotowuje na śmierć. Bałem się jej coraz mniej. Wszystko wyglądało niemal identycznie jak dziesięć lat wcześniej, gdy po odbiorze dyplomu Międzywydziałowych Studiów Humanistycznych i wręczeniu kwiatów promotorce, która poświęciła mi przez cały rok ze dwadzieścia minut. Następnie wysłałem w kilkadziesiąt miejsc Curriculum Vitae i spacerowałem z nim po mieście. Nikt nie zadzwonił.

– Studiujesz za darmo, to pracujesz za darmo – powtarzali koledzy z wydziału, którzy gdzieś jakoś znaleźli zatrudnienie po dodatkowych kursach, oczywiście niezwiązanych z naszym zawodem.

No więc tak, nauka. Byle tylko zostać na uczelni, byle jej mury osłoniły przed grabieżą umysłu i ciała, skryć się za ścianą, kukać, być rzadko dostępnym. Spotkanie z profesorką, wiele uwag na temat warunków brzegowych, cokolwiek by to miało znaczyć, projekt pracy doktorskiej w dwa dni, dlaczego to wszystko idzie tak łatwo? Jakbym zdawał na kartę rowerową. Rozmowa kwalifikacyjna trwała z cztery minuty, a czekałem z czterdzieści, i tam, w korytarzu, wszyscy mieli pracę, egzaminatorzy i elektrycy, stróże i sprzątaczkę, które po dniu w domu robiły u sytych. A potem co tydzień były seminaria, referaty, a także półprywatne spotkania w domu promotorki, kobiety dobrej, choć zasadniczej, która już po obronie doktoratu pozwalała sobie mówić na „ty” – w jej salonie wisiały zdjęcia z wielkimi uczonymi. I było tam czerwone wino i papierosy na balkonie, i nowi ludzie jak na studenckim adaptacji, i pogaduchy pod nieobecność szefowej o etatach, i pomyślałem wtedy: a, idę, wychodzę, zbyt to wszystko miejskie, zbyt poinformowane, więc szedłem na lekkiej bani przed siebie, przez Stare Miasto, na Balice, na Anglię, aż obróciłem się, a przedmieścia wyglądały stamtąd jak hałda miała. To wtedy pomyślałem, że Beniu ma rację, pozostaje wyjechać.

Synuś, córuś, kim chciałbyś, chciałabyś zostać, gdy będziesz dorosły, dorosła? Florystka, stroiciel, krojczy, wędliniarz, zdun, optyk, optyk-mechanik, obuwnik, wiertacz, sekserka, youtuber, folusznik, zecer, snycerz, a czemu nie, przecież wraca czas rękodziela, albo szyszkarz, tak, zbierać na drzewie szyszki, za które można podobno wyciągnąć trzysta euro dziennie. – Mamy dzisiaj moczysko? – Zazdrościłem w szpitalu pracownikowi, który nosił materiał do badań. Jeździłem ładą po okolicy i widziałem tylko sztydy: naprawa resorów, obróbka skrawaniem, transport pszczoł, spawanie plastiku, i ten baner przy wylocie Okulickiego w Krakowie: „spawanie wszystkiego”. Chciałem wejść w to niewidzialne urządzenie i umieć potrzywać śrubkę. Etat widziałem jak hotel dla owadów, w który można wleźć i z którego cię nie wygrzebią. Może być i nawet tysiąc siedemset, byle ten etat mieć. Pragnąłem go jak snu, jak kobiety, bo wierzyłem, że gdzieś tam czeka na mnie jakaś ona, cicha i spokojna, oparta o ścianę swojego pokoju, z kubkiem herbaty w dłoniach owiniętych w przydługie rękawy wełnianego swetra.

Sen. Ten krótki rumor o poranku, gdy robotnicy wychodzą z domów. A potem długa, coraz bardziej bezbolesna cisza. Piłem kawę zbożową Kujawianka i jak dziadek wyglądałem przez przybrudzone okno. Otwierałem skrzynkę pocztową i patrzyłem w nią cztery godziny, czekając na jakiegokolwiek maila.

Chciałem wyprowadzić się do większego miasta na zawsze, na wieczność. Rodzice bez efektu pytali znajomych o wakaty. Postanowiłem pożyczyć pieniądze na wynajem mieszkania, bo te od starych nie wystarczały. Spakowałem torbę, starannie wyczyściłem paznokcie, przetałem buty szmatką, już wychodziłem, ale dojrzałem zbrzydony piasek na skraju obcasa, więc wróciłem, starłem go i spryskałem obcas impregnatem. Pożyczyłem od ojca wody kolońskiej i ruszyłem żwawo w dół ulicy, na przystanek nad rzeką, skąd ojciec odjeżdżał do pracy. W ładzie pękł kolektor wydechu, nie miałem pieniędzy, by go naprawić, ale pociągami i tak wychodziło taniej. Bus na dworzec miał odjechać za kwadrans.

Siedziałem sam na żółtym przystanku, z nogawkami podciągniętymi pod kolana, w ciepłej poświacie urzędnia. Srebrne promienie układały się na chodniku w lekki łuk, który sięgał mojej kości strzałkowej. Ptaki świergoliły, a długie głazy w oddali, na zbiegu z kapliczką, wyglądały jak letnicy zażywający słońca pod niebem granatowym i czystym, i w takich okolicznościach uderzył w moją czaszkę ten przybój, jak zawsze gdy ścierały się w niej dwa pragnienia, albo, kto wie, może i dusza, i ciało, bo ciało ciągnęło do miasta, a dusza pomyślała „a, walić to”, złapała za nadprute ucho torby i pędziła jak do pożaru pod górę, do domu, byle nie usłyszeć nadjeżdżającego busa i nie poczuć wyrzutów sumienia, które jako jedyne nigdy nie zasnęło bezrobocia.

Dlatego zacząłem się poruszać po linii horyzontu. Byle wyżej, po ząbkach korony gór otaczających nas ze wszystkich stron. Schodziłem niżej tylko po chleb. Sypiałem w leśniczówce u Staszka w Pięciu Stawach, gdzie nocował Witek z Sosnowca, który za dnia opalał się nago na Szpigłachach, a wieczorami zaglądał do laptopa, bo, jak powtarzał, czasem upadnie fajne zlecenie i w pół godziny jako tłumacz w przemyśle można łyknąć z trzysta euro. Stawałem w przełazce Kozich Wierchów ponad chmurami i obracałem w dłoni znieawidzony telefon, na który od miesiący nikt nie dzwonił, i raz zamierzyłem się tak, by trafić nim w obręcz widma Brockenu, to jednak zniknęło. Jesienią sypiałem na Sokolicy nad Doliną Będkówek. Obudziłem się, gdy dzień wpływał do doliny przerażająco realną poświatą, za którą wyczuwałem urojoną bryłę, zgrzyt, żelazo na kółkach. Na dole ludzie ustawiali, by pracować. Ktoś otworzył drzwi domu, zszedł po schodkach do stajni, otworzył urota i w cytrynowy brzask wybiegł młody deresz. Sypiałem w jamach Sąsówki i na Powroźnikowej Skale, skąd widać było Tatry, jak porzuconą w śniegu kotwicę.

Byle wyżej, byle taniej. Myślałem, by zatrudnić się na myjkę do jednego ze schronisk. Tak trafiłem do Wilczej Chaty zamkniętej dla turystów. Jeden z takich jak ja włóczęgów pożyczył mi klucze.

W końcu niedźwiedzie zaszły się w gaurach i można było spać pod gołym niebem. Zabrałem namiot, śpiwór i pojechałem na Babią Górę, która majaczyła na horyzoncie jak porzucona foka. Było zbyt późno, śpieszyłem się nawet na bezrobociu. Grafi tonęła w czarnych chmurach, w które strach było wejść. W lesie nie było nikogo. Nic, tylko zamszowa czerń i fioletowa mgła. Zapadała noc. Trzeba było pędzić, by rozbić namiot za widoku.

Biegłem na szczyt w popłochu, jak wiejski chłopak z podwórka na ulicę, gdy zbliża się ktoś ważny. W ogóle nie wiało. Rozbiłem namiot. Wyciągnąłem z plecaka różaniec, który podarowała mi w Anglii Maria. Przez parę lat leżał w szafie z kablami do laptopa. Wodziłem palcami po drewnianych kulkach, które przyjemnie grzechotały, i próbowałem coś z nim zrobić, powiesić pod szczytem namiotu, by wspiąć się po nim jeszcze wyżej, ale mocno zasnąłem. Pewnie gdzieś o osiemnastej, bo przebudziłem się zupełnie wyspany o północy, tak jak budzili się w średniowieczu ludzie na nocną modlitwę. Rozsunąłem zamek, wychyliłem głowę na zewnątrz i zobaczyłem niebo, pełnego samego siebie i nie do ogarnięcia. Wyciągnąłem poza namiot karimatę i położyłem się na plecach.

Ja zasypiałem, a tam trwał ruch. Najpierw ściaga wzrok nie żaden Wielki Wóz, tylko mikre Plejady, rozedrgane i nerwowe, wprowadzające

w elegancki obraz niezrozumiały niepokój. Trzeba na czymś wysokim oprzeć kark i przechylić do tyłu głowę, bo wtedy widać brylowatość Ziemi. Umysł łatwo poddaje się sugestii, że rejestruje wyraźny, choć wolny obrót: kościół w Lipnicy na M44, domy w Czerwiennem na Warkocz Bereniki, czerwona wieża na Gubałówce na Andromedę prosto przez mróz kosmosu. Dlaczego to, jak samo nakazuje, samo nie zatrzymuje się w niedzielę? Dlaczego ktoś nie włącza przycisku i ciężka niebiańska kopała nie rzeźi, spowalniając tryby?

Znów zasnąłem. Patrzyłem na obraz kamery, rybiego oka, zawieszzonego w górnym rogu korytarza, ale nie siedziałem przed ekranem, byłem jakby w środku samego urzędnika. Słyszałem strzały z karabinu maszynowego i jęki ludzi. Tak, strzelali do ludzi. Nagle w pomieszczeniu pojawił się człowiek w masce na twarzy, z opaską na czole, miał skośne oczy. Bałem się, by mnie nie zauważył. Ale on podszedł w moją stronę, wykręcając głowę jak małpa. I zajął we mnie swoim okiem z jęczmieniem. Wtedy zerwałem się, krzyknąłem i zobaczyłem na ścianie namiotu światło latarki, które szybko przemieściło się dalej. Zawołałem głośno: – Kto tam?! – Głos z oddali odpowiedział jak niegdyś mój dziadek: – Swój! – Usłyszałem szelest śpiwora i zgrzyt suwaka, uspokoiłem się, ale nie zasnąłem do rana.

Zbliżał się świt i rozsunałem połę namiotu. Niebo było czyste i idealnie szczelne. Wzrok ślizgał się po nim od lewej do prawej, jak oczy pijanego, który obudził się w obcym miejscu. Nigdy wcześniej tego nie widziałem – nad ranem wsie niebieszczeją i przypominają sine skorupki, złuszczenia na kolorowym balonie. Można przypuszczać, że ludzie robią to

co zwykle o tej porze: ci, co już nie śpią, wciągają na stopy skarpety, podciągają kiecki, zapinają paski i przemijają wodą szczypiące oczy. Odszraniają samochody i wyruszają w tę siność. Komu służą?

W końcu wyczołgałem się z namiotu i od razu poszedłem na drugą stronę grzbietu, by sprawdzić, kto przerwał mi sen. Zostałem tam wielkiego, brodatego mężczyznę. Wyglądał jak Tatar na biegunie. Stał przy rozłożonym statywie i fotografował, pod głazem leżały jego karimata i śpiwór, spał pod gołym niebem.

– No, nieźle żeś mi strachu napędził w nocy, nie spodziewałem się tu nikogo w środku tygodnia, i to w grudniu – zagaiłem.

– Powiem ci szczerze, że ja też nie, prawie na ciebie upadłem – odparł życzliwie, jak to człowiek gór.

– Chybabym zawału dostał albo nożem cię zajechał, głupia sprawa.

W końcu zapytał:

– Którędy schodzisz?

– W dół na Bronię i na Markowe.

– To ja muszę lecieć szybko prosto na Krowiarki. Za dwie godziny muszę być w robocie. ●



Andrzej Muszyński
Fot. archiwum prywatne

Proza

Biurko dla pisarza

Zbigniew Masternak

(fragmenty książki piątej cyklu *Księżstwo*)

W hotelu koło dworca kolejowego w Kielcach działało nocne kasyno. Zawahałem się, czy by tam nie zajrzeć na chwilę, jednak zawróciłem na pięcie i skierowałem się do dworca busów. Kiedyś zagrałem w tym kasynie za sporą kasę, którą zarobiłem za kilka spotkań autorskich. I wszystko przegrałem. Odtąd starałem się omijać ten przybytek. Dodatkowym ostrzeżeniem był przypadek pewnego piłkarza, który występował w Koronie Kielce – został przez hazard wykończony; w kasynach przegrał wszystko, co zdobył przez lata kariery piłkarskiej. Potem już nie potrafił pracować w swym wyuczonym zawodzie, być hydraulikiem. Powiesił się.

Było jeszcze ciemno, gdy usiadłem do pierwszego busa jadącego do mojej miejscowości. Podczas podróży rozmyślałem o książkach, które zamierzałem napisać. Kryzys twórczy nie ustępował. Przyczynny? A to małe dziecko, a to dużo rachunków do zapłacenia, a to zepsuła mi się maszyna do pisania, na której napisałem trzy swoje pierwsze książki. Z tą maszyną to było najgorzej. Nie mogłem skończyć księgi czwartej, o Francji. Z trudem przestawiłem się na pisanie na laptopie. Miałem dużo notatek do powieści ukazującej ducha naszych czasów. Tylko nie chciała się napisać.

Stwierdziłem, że potrzeba mi solidnego biurka – bo cóż to za pisarz bez biurka? Wpadła mi zaliczka za scenariusz serialu o tematyce ekologicznej, więc postanowiłem ją zainwestować w biurko. Wiedziałem, kto może je dla mnie sporządzić – Kunefał, stolarz ode mnie ze wsi. Zadzwoeniłem do niego, zgodził się. Cały czas wysyłał mi kolejne projekty, aż w końcu pozwoliłem mu zabrać się do roboty. Wczoraj zadzwonił, że biurko wreszcie gotowe.

Wysiadłem na przystanku i ruszyłem pełną drogą do domu. Było wczesnie rano, niedziela. Spłoszyłem stadko kuropatu. Zjawiłem się o brzasku, jak zły duch. Bo może i byłem takim złym duchem, dlatego mnie stąd przepędzono? A może sam uciekłem? Chciałem uciec? Wszedłem w jakieś zboże, ledwie rozpoznawałem, co to za kłosa. Żyto? Pšenica? A może pszenżyto? Zbliżały się żniwa. Kiedyś pomagałem rodzicom w polu, ale nie byłem dobrym rolnikiem. Niewiele wiedziałem o żniwach, o zbożach. Uciekłem od dziedzictwa wsi. Tylko świętokrzyskie legendy zabrałem ze sobą w świat, mój jedyny bagaż.

Pamiętałem, że w zbożu mogą mieszkać południce. Bałem się ich przez całe dzieciństwo. Wierzono, że jeśli ktoś uśnie w południe na snopach zboża, południce usiądą na jego klatce piersiowej i będą próbowały wydusić z niego życie. Tak kiedyś się stało ze starym Mistrzykiem. Chciał sobie chłop odpocząć po machaniu kosą, położył się spać i już się nie obudził. Życie w tej wsi, leżącej u stóp Łysej Góry, przesiąknięte było wszelakimi zabobonami, religia katolicka mieszała się z pogaństwem. W ludziach siedziała prymitywna moc, zwierzęcość. Gotowi byli w każdej chwili skoczyć sobie do gardła. Starczy co wieczór przy ognisku opowiadali nam o czarownicach, diabłach i strzygach. Przez całe dzieciństwo żyłem w strachu, moja wyobraźnia była wypełniona przez rozmaite zjawy – niektóre straszły mnie do tej pory.

Widać już było zarzysy domostwu. Polska wieś się zmieniała. Znikały nie-dbale sklecone, drewniane chatynki. Na ich fundamentach powstawały wystawne wille, wznoszone za kasę zarobioną na Wyspach Brytyjskich

albo w Skandynawii. Wieś wyglądała na wymarłą – większość tych domów była pusta, bo ich właściciele zostali tanimi wyrobnikami u obcych. Nędzolami.

Dróżka była kamienista, co chwila potykałem się, idąc prawie po omacku. Pozdzierałem sobie kolana. Zapomniałem, jak się chodzi wśród pól, za rzadko do rodzinnej wsi przyjeżdżałem. Zjawiałem się zwykle późno w nocy, znikalem nad ranem. Ludzie nadal nie wiedzieli, co o mnie sądzić – udało mi się odnieść sukces, czy jednak przegrałem? A to widzieli mnie w telewizji, a to za jakieś stare grzechy tropił mnie komornik. Wielu się cieszyło z tych potknięć – taki był prymus, no i proszę – na psy zszedł. Nasz Władzio w szkole się nie uczył, w piłkę nie grał, a na ludzi wyszedł, ma zakład samochodowy. Czesia także sobie radzi, kurwą jest w Warszawie. Rysio myje tyłki stetryczalym Islandczykom.

Nie pozwalałem sobie jednak na zwątpienie – wierzyłem, że systematycznie buduję swoje Księstwo. Z polnej drogi wyszedłem na szosę wiodącą przez wieś. Asfalt pachniał nowością. Środkiem drogi szedł Dżony Dudek. Wyglądał jak zombie. Siwe, rozwiwane na wietrze włosy, stare brudne ciuchy. Był kompletnie pijany. Nie rozpoznał mnie. Często prowadziłem warsztaty scenariuszowe dla młodzieży w małych miejscowościach, w całej Polsce. Jednym z ćwiczeń było przygotowywanie pomysłu na scenariusz filmu o rodzinnych stronach. Dzieciaki często wymyślały historie o inwazji zombie. Pytałem ich wtedy, czy znają lokalnych żuli i zalecałem im, żeby z nimi porozmawiali. Żule byli do zombie podobni, ale mieli życiorysy ciekawsze, bo prawdziwe.

Mogłem uważać się za człowieka sukcesu, czy jednak przegranego? Czasem czułem się księciem życia, który zrealizował wszystko, co chciał, a niekiedy – jak ostatni słabeusz, który nawet nie zrobił prawa jazdy, nie kupił mieszkania, nie zasadził dębu. Dobrze, że przynajmniej spłodziłem syna.

– Wreście jesteś! – Suchy czekał na progu domu, wiedział, że przyjadę.
– Mom do ciebie sprawę...

Wsunąłem zardzewiały klucz w zakurzony zamek. Drzwi otworzyły się do środka i wszedłem do małego przedsiönka, a Suchy za mną, zakładając jeden palec na drugi dla zażegnania złego. Bał się, że duchy mojej matki i ojca grasują po pustym, rzadko odwiedzanym domu. Było tutaj duszno i nieco wilgotno, ale nie aż tak, jak to zapamiętałem. Przez okno w przeciwnym krańcu kuchni zaczęły się wlewać potoki słonecznych promieni.

W kominku leżały stare gazety z moimi wywiadami sprzed lat. Podpaliłem je wszystkie bez wahania.

– Opowiedz, co się dzieje. – Zacząłem czyścić i szorować mebel po meblu, zerkając na Suchego. Stracił prawie wszystkie włosy. Zęby też mu się przerzedziły. Wychudł. Nie przypominał już tego beztróskiego chłopaka z dzieciństwa. Nie rozczułało mnie to zbyt, czas płynął szybko, było jeszcze sporo do zrobienia, należało się spieszyć. – Co tam słysząc we wsi? – wypytywałem go, bo był świetnym informatorem. Wystarczyło go posłuchać przez godzinę, potrafił w tym czasie streścić całe półrocze. Niekiedy myślałem, że to on powinien zostać pisarzem.

– Niedawno Flisek zginął – tłumaczył. – Wszyscy giną na drodze, rozjeżdżani po pijaku jak zające. Tutaj jest tero droga szybkiego ruchu. TIR-y jeżdżą po kamiń do kopalni. Jak pijoki wracajo spod sklepu, gino. Inne się wiszajo, bo nie potrafią żyć. Ot, taki to smutny cas nastoł... – Spuścił wzrok, bo sam także popijał. Przez święta wielkanocne leżał w śpiączce, bo ktoś go poczęstował alkoholem dziwnego pochodzenia. Rok temu prawie zmarł, bo zjadł zepsutą kiełbasę ze słoika, był w niej jad kiełbasiany.

Mysłałem o tym, że moje Księstwo ciągle za łatwo było rozwalić jednym kopnięciem nogi obutej w brudny trampak hipstera albo wyczyszczony mokasyn komornika.

– Ziemie chco mi odebrać. – Posmutniał Suchy.

Od dawna zastanawiałem się, co zrobić z moją ziemią. Leżała odłogiem, a tego moja matka z pewnością nie chciała. Czy powinienem sprzedać ojcowiznę i stracić korzenie? Niedawno dałem ją w dzierżawę Dudkowi, ale słabo sobie radził z jej uprawianiem, alkohol go wyniszczył.

Suchy także coraz więcej popijał, bo rok temu odeszła od niego żona z córką.

– Kto?

– Stachurszczoki – powiedział, a ja nadstawiłem uszu. To była kiedyś jedna z najbiedniejszych rodzin we wsi, ale dzięki sprytowi, oszustwom i chciwości zaczęli trząść całą okolicą. – Godały, że ciebie tyż wykupioł! Zobacys! Pomozes mi?

Wzruszyłem ramionami i zagłębiłem się w swoich myślach. Kiedyś Suchy straszyl pod sklepem innych, że jak będą mu dokuczać, to on ma kolegę pisarza i poprosi mnie, żeby im ich opisał. Przestali go bić.

Stachurscy zdobyli gotówkę, zrywając jabłka we Francji. Potem handlowali autami z zagranicy, zwykle kradzionymi, ale nikt ich za rękę nie złapał. Następnie otworzyli komis z samochodami, już legalny, na czym trzaskali ciężką kasę. Jako sprytni zbójcy inwestowali pieniądze w nieruchomości. Już prawie pół wsi do nich należało, stawali się lokalnymi latyfandydami. Taka była naturalna kolej rzeczy – jednoczyli maleńkie świętokrzyskie poletka w duże gospodarstwo. Niektórych rolników uczynili swoimi parobkami. Innych wykupili podstępnie, pojąc wódką, a potem podsuwając papiery do podpisania. Kiedyś biednych chłopów wydziedziczali obszarnicy. Minęły lata i sytuacja polskiego chłopca się zmieniała. Suchy nie zamierzał być niczym parobkiem, nie chciał oddać nawet kawałka ojcowizny.

– Rodzinna ziemia to prochy przodków. Ja też nikomu nic nie sprzedam – postanowiłem.

Koło południa poszedłem do kościoła. Budowla pamiętała czasy, kiedy nasza wieś była majątkiem biskupim. Przez pewien okres była nawet gminą. Ale z czasem utraciła ważność, stała się małą przydrożną wioszczką. Kolejne pokolenia nie wniosły nic do rozwoju, skarłowaciały.

Wiele razy robiłem podchody, do różnych księży i zakonników, żeby ochrztili mojego syna. Okazało się, że jest problem – nie mieliśmy z Renią ślubu kościelnego.

Proboszcz przebiegał właśnie przez kościelny dziedziniec.

– Pochwalony! – cisnąłem za księdzem jak kamieniem. – Mam sprawę...

– Proszę na mnie poczekać po mszy! – odrzekł.

Od dawna nie wiedziałem, w co mam wierzyć. Nie wątpiłem jedynie w kosmiczną przyszłość ludzkości. Nie chciało mi się zaprzętać głowy przyziemnymi przepychankami, marzyłem o zasiedlaniu innych planet, to była przyszłość naszej cywilizacji. Od jakiegoś czasu doceniałem autorów science fiction. Wielu z nich wyprzedziło swój czas. Na pewno było to bardziej wartościowe niż robota autorów kryminałów, których popularności nie rozumiałem.

Kiedyś chodziłem do kościoła często, ale potem przestałem. Nie pozwoliłem zrobić z siebie ministranta. Proboszcz chciał, żeby m zostałem księdzem, bo się dobrze uczyłem w szkole, ale także nie dałem się namówić.

– I jak ci się tam żyje? – spotkała mnie stara Jankowska, której dawno nie widziałem. Zdziwiłem się, że jeszcze żyje. Może to dzięki swoim ziółkom tak dobrze się trzymała.

– Jakoś się żyje...

– Wis, źle się będzie działo w najbliższym czasie na świecie – tłumaczyła starucha. – Ptaki krzywo lotajo, a powietrze się faluje... I nic na to nie poradzimy. Wojny bedo wielkie na świecie...

Wiedziałem, że czytała moje książki.

– Żeś ty mnie tak, pieronie, łopisoł. Żeś tak móg.

– Mogłem, to i zrobiłem – odpowiedziałem ze śmiechem, bo wiedziałem, że się tylko ze mną droczy. Po moich książkach zyskała wielu nowych klientów jako zielarka.

– Zioła coraz mniej skuteczne, bo chemią wszystko pryskają. Deszcze kwaśne, niszczą zioła. Magia się kończy.

Wszedłem do kościoła, zaczynała się msza. Kościół był odnowiony. Handlarze krów i drobne cwaniaczki fundowały ławki w kościele – ich nazwiska widniały na marmurowej płycie darczyńców.

Było sporo ludzi, trwała niedzielna msza.

– Idź stąd, to moje miejsce – nadął się Prokop, jeden z handlarzy bydlęm, gdy próbowałem zasiąść na ławeczce. – To moje miejsce.

Odsunąłem się od spaślaka. Pamiętałem go z podstawówki. Mocno się utuczyl, wyłysiał.

Gdy zaczęły grać organy, handlarze za moimi plecami rozmawiali o sprzedanych krowach, o jarmarkach. Gdyby przyszedł Jezus, to czy chciałby tego słuchać podczas mszy? Czy nie rozpędziłby tych handlarzy krów i innych drobnych cwaniaków na cztery strony świata?

– To ile zarobiłeś?

– W ełro? Bo jo to ino w ełro liczę – rozmawiali w kościelnych ławkach

– Ale tero to nom się dobrze zuje – dorzucił kolejny.

Wież zmieniła się – za pieniądze z Unii odnowiono wiele chałup, stały zupełnie nowe płoty. Wszyscy nosili głowy wyżej niż kiedyś. Te nowe domy i płoty to z pracowitości ludzi, nie z kasy od Tuska.

– Ksiądz to kiedyś w więzieniu księdzem był, do roboty naszych zagunił

Ludzie robili drobne przekręty. Jakoś się żyło. Wielu wyemigrowało za granicę.

– Patrza się, patrza. Przed nami siedzi ten skurwysyn, co nos tak łopisoł? Czy my do ciebie złe byli? – usłyszałem w końcu to, czego się obawiałem. Będą płoty i złośliwostki.

– Chuj się na nos dorobił. Łopisoł nos, a ony mu za to w dolarach zapłaciły. W telewizji zem go widziol.

– Jo to słyszołem, że długi ma. Komorniki go ciągle szukają, wiele spraw się ciągnie.

No rzuć kamieniem, jeszcze niech ktoś rzuci kamieniem! Niech kamień leży na kamieniu, to będzie dla mnie podbudówka do lepszego życia, będę bardziej zmobilizowany.

– A pamiętota, że ten chuj nie umi rwać truskałek?

A więc nie moje książki, nie filmy, tylko to, że nie potrafię rwać truskałek było dla moich ziomków najważniejsze.

Myslałem o tym, że powinienem wieszczyć, miałem być wieszczem. Ale chyba coś ze mną było nie tak. Nie potrafiłem z siebie wydać głosu, który byłby jak głos Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego. Nie był to nawet głos Żeromskiego. Był to mój prywatny głos. Dla siebie głównie snułem swoje historie. To siebie chciałem ocalić od zapomnienia.

Wreszcie msza się skończyła i poszedłem do księdza. Był tutaj nowy. Widział mnie po raz pierwszy na oczy, ale dobrze mnie kojarzył. Z gazet.

– Chcę ochrzcić syna.

– Kiedy się urodził?

– Cztery lata temu...

– Dlaczego dopiero teraz go chcecie ochrzcić?

– Wcześniej jakoś się nie złożyło.

– Dobrze. Proszę pokazać akt urodzenia i akt ślubu.

– Mam tylko akt urodzenia. Ślub mamy cywilny.

– Słyszałem, że pan pisze nową książkę. „Jezusa na prezydenta!”. Nie wolno mieszać co boskie i co cesarskie. Proszę stąd odejść.

– Widzę, że dorabia pan także jako krytyk. – Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem do domu.

Drogę zastąpili mi dwaj Stachurscy.

– Nie szkoda ci zimi? – Świdrowali mnie swymi małymi, ciemnymi oczkami, ukrytymi głęboko w otłuszczonych mordkach. Kiedyś podpowiadałem im na lekcjach, bo kiepsko się uczyli. Dzisiaj byli najbogatsi w okolicy. Mnie nauka nie przydała się na zbyt wiele, zwłaszcza że potem zawałem jedne i drugie studia.

– Domy ci dobro cene.

– No? – podpuściłem ich.

Powiedzieli kwotę, która była ceną raczej za jeden hektar niż za całość działki.

Roześmiałem się.

– Lubisz się targować – powiedział starszy. – Niech ci będzie. Domy dwa razy więcej.

– Wypierdalać.

– Co mówis? – spytał młodszy, Fleja. – Co mówis?

– Wypierdalać, ale to już!

– Pozahujes tego! – rzucił starszy, z nienawiścią w oczach, gdy ruszyłem przed siebie. Szedłem przez wieś. Nowobogackie domy, oklejone gównianymi ozdóbkami – po chuj to wszystko? Krasnale na podwórkach – styl enerdowski. I greckie kolumny przy drzwiach. Widać, że Polacy podróżowali po świecie, pracowali za granicami, to się uwidaczniało w stylach budowanych domów, w zabudowie podwórek. Było kiczowato, chropowato, ale już nie szaro.

Usłyszałem potężny huk, jakby świat pękał na pół. To pracowały kamieniołomy świętokrzyskie. Kopalnie rujnowały całe góry Świętokrzyskie, niedługo nie zostanie kamień na kamieniu. Nic sobie nie robili z faktu, że dziś niedziela. W kraju budowano wiele nowych dróg, potrzeba było dużo surowca.

Uporządkowałem trochę teren wokół domu, ale dalej nie mogłem się przekonać do pracy w świąteczny dzień, stare nawyki były zbyt silne.



Cały czas wydawało mi się, że za chwilę z domu wybiegnie moja matka lub ojciec i skrzyczą mnie, że nie wolno kosić trawy w niedzielę.

Wieczorem poszedłem do tartaku, który był kiedyś siedzibą kółka rolniczego, a od wielu lat stał się zakładem stolarskim Kunefała. Lubilem zapach drzewa. Kiedyś uzniosłem palisadę dla kojców króliczych, z których zbudowałem czworobok. Kojce także zbudowałem własnoręcznie. Ale takich zdolności jak Kunefał nie posiadał nikt w okolicy. Kojarzył się z majstrem z przeszłości, bardziej rzeźbiarzem niż zwykłym stolarzem, jego meble były dziełami sztuki.

– Mos jeste te książkę? – Drogę zastąpił mi jakiś pijany gość. – No te, coś mnie w ni opisoł? – wybełkotał.

Z trudem rozpoznałem w nim Ajmsorrego. Bardzo się zmienił od czasu, kiedy pracowałem z nim w tartaku.

– W telewizji cie widziołem – rzucił. – Żyjesz jak pon... Zawsze chciał być ponem.

Nie chciało mi się mu tłumaczyć, że z tym pańskim życiem z literatury to raczej przesada.

– A pan jak sobie radzi?

– W tartoku downo nie robie – powiedział. – Kunefał mnie zwolnił. Chuj. Ale przyszła kryska na matyska, chuj bankrutuje.

– Co pan mówi? Przecież dobrze sobie radził! Taki mistrz!

– Holendry w chuja go zrobili. I dobrze. Towaru nabraly i nie zapłaciły. Chłop osiwiał w ciągu miesionca.

Wszedłem w obręb zakładu. Było cicho, maszyny nie pracowały. Wszędzie piętrzyły się sterty desek i kłocce drzew. Były też belki starych do-

mów i obór. Z takich Kunefał najchętniej robił meble. Kiedyś sprzedałem mu starą drewnianą oborę – ze zdrowych jeszcze bali zrobił wiele dobrych mebli. Był pracowitym cieślą, jak ze świętokrzyskiej legendy. Robił meble ze starego drzewa. To był przykład człowieka, któremu się udało. A może raczej: udawało się do pewnego czasu. Zawsze miał smykałkę do stolarki. Trochę rzeźbił w drzewie. W końcu otworzył mały zakład stolarski. Ze starego drzewa zaczął robić meble. Coraz lepsze meble. Wybudował dom, jego pracowitość kłuła oczy pijanych leniwców spod sklepu. Zaczął sprzedawać swoje meble za granicę, takie były dobre. Głównie do Holandii. Tacy ludzie budowali w Polsce dobrobyt, nie politycy. Robota małych mrówek stanowiła o sile tego kraju.

– Holendrzy mnie oszukali. Na milion złotych. Nie rozliczyli się z kasy za meble, które sprzedają dużo drożej w Polsce.

Obejrzałem biurko.

– Wspaniałe! – pochwaliłem, a on się ucieszył. Zapłaciłem mu i poszedłem do domu.

Wróciwszy, położyłem się spać. Śniło mi się, że piszę na nim swoje genialne dzieło, wielkie Księstwo. Cykl rozrasta się wspaniale, jest portretem swojej epoki.

Rano obudziły mnie syreny. To płonął tartak i warsztat Kunefała, w nim moje nowe biurko. Kunefał się powiesił.

Wróciłem do Puław załamany, bez biurka. Na kredyt kupiłem biurko w IKEI, ze sklejki. Poszedłem spać. Śniło mi się, że moje nowe biurko też płonie. Ale w pewnym momencie przyjechała straż i zaczęła gasić pożar. Słyszałem krople wody, kapiące wyraźnie. Obudziłem się. Poszedłem do pokoju biurowego, a tam mój mały syn robił eksperyment. Pod biurkiem stała maszyna do pisania. Syn nasikał do jej środka, chcąc sprawdzić, czy przecieknie. Pomyślałem, że urodziło się dziecko i olało moją literaturę. ●

Proza

Wieszcz

Zbigniew Masternak

(fragmenty księgi piątej cyklu *Księstwo*)

Między bajki

Siedziałem w konarach rozłożystego dębu i spoglądałem z góry na starego odyńca. Dzik buszował między dębami, ryjąc w leśnej ściółce w poszukiwaniu jedzenia. Był ogromny, tłusty od pożartych żołądki. Miałem przy sobie jedynie stary scyzoryk. Sprawdził się parokrotnie w porachunkach z ludźmi, jednak na dzika mógł nie wystarczyć.

Zapędziłem się daleko pomiędzy nałęczowskie wąwozy w poszukiwaniu grzybów na marynatę. Kiedyś wojownik z Puszczy Jodłowej – teraz swego scyzoryka używałem wyłącznie do obierania grzybów. Po awanturach na Ukrainie i we Wrocławiu nastąpiła wielka francuska włóczęga. I wreszcie życie osiadłe, spokój. Tylko czy utrzymywanie siebie i rodziny z pisania książek i scenariuszy filmowych było życiem spokojnym? No, przynajmniej nikogo z nożem nie musiałem gonić, chociaż niekiedy miałem ochotę upuścić nieco krwi niektórym producentom filmowym oraz wydawcom. Myślałem o mojej młodej żonie i małym synku. Już w chwili, kiedy składano matkę do grobu, wiedziałem, że wszystko odrobnie, rachunek ludzki w naszej rodzinie (czy też rodzine, jak wolałby ojciec) zostanie wyrównany. Znowu była nas trójka, teraz to ja byłem najstarszy.

Zwierzę chrząknęło z zadowolenia, zawzięcie ryjąc w ściółce. W nocy padał deszcz i ziemia była rozmięknięta. W Puszczy Jodłowej także spotykałem dziki, niekiedy całe stada. Przemierzałem knieję wszertz i wzdłuż. Lubiłem drzewa, wkurzali mnie ludzie. Wścibscy, ciągle coś im we mnie nie odpowiadało. Za dużo trenowałem, niepotrzebnie się tyle uczyłem, nie chciało mi się robić w polu. Woleli, żebym siedział pod sklepem i pił tanie wino, dopiero wtedy byliby zadowoleni. Musiałem się stamtąd zwijać.

Czasem dobrze tak posiedzieć na drzewie, ukrywając się przed dzikiem. Oglądałem swój scyzoryk. Piękny nóż. Stary, ale w dobrym stanie. Od ojca. Miałem się nim bronić albo atakować.

W zbieraniu grzybów zawsze byłem mistrzem. W końcu prawie przez całe dzieciństwo włoczyłem się po lesie. Był czas, że żyłem jak traper przemierzający amerykańskie knieje. Poskutkowało to tym, że zapragnąłem zostać bohaterem takiego pięcioksięgu, jak „Przygody Sokolego Oka”. Fascynowali mnie Indianie. Byli zawsze na straconej pozycji – już niemalże od chwili postawienia stopy przez białych ludzi na ich ziemi. Mimo że dokonywali bohaterskich czynów, ostatecznie przegrali. Z lektur o czerwonoskórych nauczyłem się, jak sobie radzić z przeważającymi siłami wroga, a te w mojej sytuacji zawsze były przeważające. Jak uderzyć z zaskoczenia, szybko się przemieszczać, wzbijać kurz na prerii w jednym miejscu, jeżeli chce się zaatakować gdzie indziej. Życie pisarza współczesnego kojarzyło mi się z życiem pierwotnego myśliwego: prawie codziennie trzeba było coś upolować – jakąś publikację, spotkanie autorskie, żeby było za co nakarmić rodzinę. Taszczyło się zdobycz do domu i dzieliło pomiędzy bliskich. A domem tym była kawalerka w Puławach – wynajmowaliśmy,

bo zarabiałem za mało, żeby kupić dom za gotówkę, a w dodatku wszystko było na umowę o dzieło, na co banki nie dałyby mi kredytu mieszkaniowego. Inna sprawa, że nie chciałem się wiązać z jakimś konkretnym miejscem. Przyzwyczajeni do życia na walizkach – nie kupowaliśmy nowych sprzętów, przez jakiś czas potrafilśmy się obyć nawet bez lodówki.

Dzik był duży, na jego krótkiej, ale grubej i muskularnej szyi tkwił klinowaty łeb, który trzymał blisko ziemi. Wysoko osadzone słuchy w kształcie trójkąta były gęsto owłosione. Co chwila rozglądał się dokoła brunatnymi ślepiami. Jego silne, czteropalczaste biegi były średniej długości. Palce środkowe miał większe i dłuższe, zwieńczone raciczkami, a palce zewnętrzne mniejsze i krótsze, zakończone stonkowo dużymi szpilami o półksiężycowatym kształcie. Na miękkiej ściółce raciczki pozostawiały charakterystyczny ślad. Kiedy spotykałem te tropy w Puszczy Jodłowej, rozglądałem się z niepokojem – ojciec często ostrzegał mnie przed dzikami, zwłaszcza rozjuszone lochy z małymi bywały groźne. Na końcu dość długiego ogona znajdował się skudłacony chwost. Skóra dzika była pokryta elastyczną szczecina. Ubarwienie miało brązowo-czerwone, sierść na bokach była tak pozlepiana żywicą, że tworzyła usmoł. O tym, że odyniec był stary, świadczyły jego rozrośnięte fajki. Krzyżowały się one z dolnymi kłami zwanymi szablami, tworząc bardzo groźny oręż.

Jeśli się wyruszyło w świat z tak małej wioski, jak moja – nie było odwrotu, należało iść naprzód, albo ginąć. Zwykle wymykałem się z większości pułapek, jak sprytny lis, a osaczony – gryzłem i drapałem. Sprytny Lis, takie bym zapewne nosił imię, gdybym był indiańskim wojownikiem. Okazałem się zdrającą swego świętokrzyskiego plemienia – uciekłem z rodzinnej ziemi, z pogardą spluwając za siebie. „Spryciarz świętokrzyski”, tak nazwał mnie jeden z krytyków piszących o mojej debiutanckiej książce. Lecz nie było w tym życzliwości.

Nigdy nie wiadomo, jaki zwierzę czai się za kolejnym drzewem, albo która ścieżka wiedzie w dobrym kierunku. Dlatego trzeba być czujnym, zawsze gotowym na walkę. Mały Książę, którym kiedyś byłem, odrodził się pośrednio jako Wiktor, mój syn. Spał teraz bezpiecznie w łóżeczku w Nałęczowie, babcia się nim zajmowała. Musiałem być księciem z Machiavelliego, żeby mógł przetrwać. Polubiłem swoją rolę, nie bałem się wybiegów ani brutalnej walki na łokcie i kopniaki. Sądziłem, że kiedy po kontuzji kolana przestałem być prawdziwym piłkarzem, nie będę już musiał rozpychać się łokciami ani nikogo kopać. Myliłem się: trwałe bezpardonowe przepychanki jak na boisku. Przeciwnicy mieli jeszcze mniej skrupułów ode mnie – żeby otrzymać nagrodę literacką, gotowi byli na nekrofilie (ruchanie emerytowanej sekretarki tej nagrody) albo sodomie (dupczenie sekretarza tej nagrody).

– Bauwoła mogłem zabić nim – oglądałem nóż – ciąć na ogniska trzaski, a gdy się włókł już gęsty dym, rzeźbić psi łeb na lasce...

Nóż dostałem od ojca, pod koniec podstawówki. „Zawsze uderzaj pierwszsz”. On sam tak nie potrafił, może mnie chciał tego nauczyć. I chyba mu się udało. Liczba pokonanych wrogów znaczyła szlak, który przebyłem.

Studując prawo w Lublinie nigdy nie zawitałem do Nałęczowa. Nie dlatego, że zakładałem paragrafy, po prostu nie było budżetu na przejazdki po okolicy. Dopiero sprzedając moją pierwszą książkę z chodników w tym miasteczku poznałem Renatę, dzięki której z czasem osiedliłem się w tych stronach. Wspólna szalona podróż po Francji – to ona nas zbliżyła. Z takiej wyprawy wraca się odmienionym – wróciłem z żoną w ciąży. I zaczęły się ukazywać moje książki. Jednych założenie rodziny ogranicza – idą do byle jakiej roboty, a ich ideały trafiają na śmietnik. Mnie zmusiło to do szukania nowych rozwiązań. Kolejne dni były dniami walki, z trudem dryfowaliśmy na powierzchni, podszczyptywani dodatkowo karami za stare grzechy. Ale płynęliśmy. Odważnie omijałem kolejne przeszkody, szydziłem z tych, którzy się na mnie zasadzali. Duch kieleckiego łotrzyska rozpiekał moją pierś.

Pisaną we wczesnej młodości powieść o wymyślonych przygodach indiańskiego wojownika dałem matce do spalenia – wołałem stworzyć księgi o własnych przypadkach, prawdziwych.

Niespodziewanie nadeszła Renata. Odyniec szykował się do szarży. Wiedziałem, że jego tarcza ryjowa jest naga, silnie unerwiona i dobrze

umięśniona. Ostrze noża błyszczało w słońcu. Czy zdolny byłem jeszcze do prawdziwej walki, na śmierć i życie? Na boisku, potem podczas lewych interesów – radziłem sobie. A teraz – tylko literatura. Jak to się stało? Czy nie za bardzo sflaczałem?

Skoczyłem na dzika, starając się wbić mu szczyryk w ryj. Ostrze noża rozorało jego tarczę ryjową, utkuło w niej. To musiało odyńca zboleć, bo kwiknął przeraźliwie i uciekł z moim nożem w ryju. Razem z nim uciekło moje dzieciństwo, wczesna młodość.

Renata zamarła z przestrachu. Otrzeptałem się ze ściółki i objąłem żonę.

– W kąciakach flechtów wieczór już lśni jak porzeczek krowawa, ukradkiem z rdzy wycieram nóż i między bajki wkładam – powiedziałem, a krew znów szybko krążyła w moich żyłach. Nie przestałem być świętokrzyskim szczyrykiem – moja młoda żona przywarła do mnie z dumą.

Wróciliśmy do domu. Teściowa czekała na nas z obiadem. Wiktorowi właśnie się obudził, wziąłem go na ręce. Czy będzie silniejszy niż dziadek spod Świętego Krzyża i ja?

„Ukradkiem z rdzy wycieram nóż i między bajki wkładam” – Z kompletu domowego wyciągnąłem niewielki nóż, nierdzewny i schowałem do swojej torby podróżnej.

Skazani na książki

Czekałem na niego w parku Decjusza. Miał przyjechać autobusem z Nowej Huty. Zerknąłem na zegarek, bo zrobiła się już noc. Na stadionie Cracovii kręcono dziś film o tym, jak zamiast piłkarzem zostałem pisarzem. Byłem ubrany w strój Reprezentacji Polskich Pisarzy. Opowiadałem o swojej drodze z boiska do literatury. Mimo wielu prób zdobycia konkretnego zajęcia na koniec pozostała mi tylko literatura – jedynie jako pisarz nie wyszedłem na kompletnego nieudacznika. Mogłem twierdzić, że te wszystkie nieudane inicjatywy – piłka nożna, lewe biznesy, studia prawnicze i polonistyczne, wyprawa emigracyjna – to było tylko zbieranie doświadczeń do przyszłych książek. Moja literatura karmiła się moimi porażkami, zostałem skazany na książki.

Wreszcie w mroku coś zamajaczyło, jakby gigantyczny ślimak. Czy to był on? Obląkany rysownik z Krakowa, który miał stworzyć mój portret. Futurystyczny. Szedł, ale powoli, jakiś ciężki toból dźwigał na plecach. Ślimak z wielką muszlą.

– Co ty, kurwa, cały dom ze sobą przywlokłeś? – zacząłem szorstko, bo typpek wydał mi się podejrzany z gęby, w dodatku z Nowej Huty przybył. A wiadomo, że ktokolwiek się tam wychowywał albo mieszkał – musiał być dziwny.

Nie myliłem się – pakuny stanowiły obecnie cały dobytek Kupermana.

– Nie mam gdzie mieszkać – przywalił bez ceregieli. – Czy możesz mnie przekimnąć?

Cuchnął. Opowiadał mętnie, jak to został wyrzucony z wynajmowanego mieszkania, bo hodował w nim koty. Koty się strasznie rozmnożyły i tak dalej. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że ten czubek po prostu nie zapłacił za pokój. Wziąłem od Kupermana torbę z zacernionymi arkuszami papieru. Gdy szliśmy dróżką obok pokracznych rzeźb Chromego, opowiadał, jak to niedawno był w Izraelu, gdzie szukał swoich korzeni. Ale nie znalazł. Miał narysować mój portret dla pisma Szary Puchacz. Po drodze zastanawiałem się, jak mego portrecistę przedstawić żonie. Ten gość był w stanie zapalić w nocy fajkę i spalić ten cały dom męki twórczej. Gdy wchodziliśmy do Domu Łaskiego, pudło z pracami Kupermana nie chciało się zmieścić w drzwiach – musiałem siłą wciągnąć te ogromniaste dzieła do środka.

– Uwważaj, kurwa, poniszczysz rysunki! – Kuperman z czułością zerknął na swe karteluski. – Co za człowiek! I ty niby pisarzem jesteś? Trochę szacunku dla sztuki, grafomanie!

Zrobiło mi się głupio. Oto prawdziwy artysta! Wyrzekł się domu, by tworzyć swą trudną sztukę. Tasczył swój skromny, przepocony dobytek na plecach. A ja tutaj żyję sobie jak pan na włościach. Moja żona jest

piękna jak modelka, obwoźę synka po Wiedniu i Berlinie. Mam prężnego wydawcę, kręcę filmy z Barańskim i Zanussim. Tłumaczę mnie nawet na wietnamski. Coś ze mną nie tak. Kuperman, ot prawdziwa sztuka. Ja – kumoterstwo jakieś, ożesz kurwa, cwaniactwo! Kuperman – mistrz nad mistrze. Tyle że, kurwa, mistrz trochę śmierdzi. Nawet nie trochę, mocno od niego jebie, woń roznosi się po całym korytarzu. Mistrz tym nie zrażony, umościł sobie norę we wnęce pod schodami. Jak fajkę w nocy przypali albo jakiegoś skręta, to się jeszcze alarm włączy, w końcu w zabytkowym budynku żeśmy są. Ja pierdolę, pomyślałem, przyjdzie ochroniarz, to wykopią mnie stąd i żadnego stypendium nigdy więcej nie dadzą.

– Chciałbym się wykapać. – Artysta rozgościł się pod schodami.
 – Ale gdzie?
 – U ciebie w pokoju.
 – Dzieciak już śpi – wykręciłem się.
 – To może w zlewie, w toalecie? – namolny był. – Tylko daj mi jakiś ręcznik.
 – Zaraz wrócę – pobiegłem po schodkach na górę. Powiedziałem Renacie, że portretu raczej nie będzie, a są kłopoty, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Nie interesował jej ten świątek dziwaków, wolała od nich kosmetyki i lustro. I to mi się w niej właśnie podobało, świetnie się dogadywaliśmy.

Zszedłem do kuchni z postanowieniem, że muszę się tego popierdoleńca jakoś pozbyć. Dałem mu ręcznik, który mieliśmy rzucić w łazience na podłogę. Kuperman ściągnął poplamioną kraciastą koszulę i ruszył do kibla.

– To kiedy zaczniesz ten mój portret? – chciałem zyskać na czasie.

Nie odpowiedział. Z łazienki dochodziły odgłosy pluskania. Miałem chęć zajrzeć do jego torby z rysunkami. Jeszcze nigdy nie widziałem jego dzieł, ponoć były odjechane.

– Jak coś zjem – wyszedł z toalety i poprawił okularki w stylu Johna Lennona. Niby taki flejtuch, a o imidż dbał.

Zaprowadziłem go do kuchni. Tutaj kiedyś jadaliliśmy kolację z innymi stypendystami, z Białorusi, Ukrainy i Niemiec. Po drodze opowiadałem Kupermanowi o Andym Warholu, którego miejsce pochodzenia odkryłem w okolicy Medzilaborców na Słowacji, to była wieś Mikova.

– Przeważają tam Rusini, ale mieszkają również Słowacy i Cyganie – tłumaczyłem, bo myślałem że jako malarz będzie tym zainteresowany. – Muzeum sztuki nowoczesnej, z dziełami Warholów – niesamowite. Jeśli Andrej Warhola, bo tak nazywał się po rusińsku, zostałby w tych stronach – kim byłby? Pisałby ikony? A zauważyłeś, że on sporo z pisania ikon zaczerpnął? Pamiętasz, jak przedstawił Marylin Monroe? – popisywałem się swoją wiedzą, ale Kupermana niezbyt to interesowało, bardziej obchodził go pusty żołądek. To zawsze problem prawdziwego artysty. Niestety, już dawno nie byłem głodny. I chyba dlatego coraz trudniej przychodziło mi pisanie. Nie było na co się ukurwiać, artysta syty to artysta bezpłodny.

– Pamiętasz, jak przedstawił Marylin Monroe? – Powtórzyłem pytanie, bo mnie nie słuchał. – To jest przedstawienie ikoniczne.

Zajrzał do lodówki. Bałem się, że wyżre jedzenie innym stypendystom, więc dałem mu to, co zostawiliśmy sobie na śniadanie. Bezczył pochłonął wszystko, wylizal okruszki ze stołu.

– Niedawno byłem na festiwalu filmowym. Pojawiła się na nim wzięta dziennikareczka z telewizji. „Czy to Pan jest tym pisarzem Markiem Nowakowskim?” – spytała mnie podczas kolacji. – zarechotałem, ale to nie rozbawiło Kupermana. – Nie możesz tutaj zostać – wziąłem talerze do umycia. – Może dam ci kasę na jakiś tani hostel?

– Na hostel? – obruszył się. – Człowieku, spałem w takim niedawno, wiesz, jak tam śmierdzi? Daj mi na hotel, znam niedrogi.

O żesz, kurwa! To ja tutaj kasę oszczędzam, żeby syn miał na rowerek, artysta nie ma taryfy ulgowej, żeby nie kupić dziecku rowerka, a ten dziadyga mnie z kasy obiera?! Co było robić, wyciągnąłem stówkę i mu dałem.

– Więcej nie mam – skłamałem. Honoraria ze spotkań autorskich, przekłady, prawa do ekranizacji książki – nieźle mi się ostatnio żyło. Tylko ta wątpliwość – czy ja w ogóle jestem prawdziwym pisarzem? Na przykład: ile razy byłem pijany w ostatnich latach? Raz mi się zdarzyło, jak walczyłem o nagrodę literacką. Typo od kultury przyjechał z kierowcą, ja byłem z żoną. Wiedziałem, że będzie popijawa, znałem gościa z opowieści. Piłem, bo od tego zależała moja nagroda. Wypiłem 14 kieliszków zubrówki. Trochę rozmawialiśmy o poezji. Mówiłem o tym, jak w Krakowie byłem na spotkaniu autorskim poety, który tworzył poezję koprofilską. Jego najważniejszym dziełem był „Wiersz–Nocnik”. Był to... zwykły nocnik. W punkcie kulminacyjnym wieczoru poeta siadał na nocniku i przy aplauzie publiczności robił kupę. Nie zawsze mu się udawało, bo czasem miał zatwardzenie.

Pijany wsiadłem do autobusu, który z Buska–Zdroju miał mnie i żonę zawieźć do Warszawy. A jechałem na ważną rozmowę z Krzysztofem Zanussim, do jego domu pod Warszawą. Podróżowało dużo ludzi – piątkowe popołudnie, studenci udawali się do Warszawy na zaoczne studia. Zacząłem wymiotować. Zarzygałem całe spodnie i koszulę. Ludzie uciekali ode mnie na drugi koniec autobusu. Na stacji benzynowej pod Radomiem kierowca chciał mnie wysadzić. Poszedłem się jakoś oporządzić. Zacząłem rzygać w kiblu. Był tam jakiś menel. Zmartał się: „Panie, żyjesz pan jeszcze czy umierasz?”. Dojechałem do Warszawy. Z trudem udało mi się doczyścić spodnie w galerii handlowej. Musiałem wyrzucić nową koszulę. Założyłem też gorsze buty. Pojechaliśmy autobusem podmiejskim do posiadłości Zanussiego pod Warszawą. Przed wejściem do domu Zanussiego popsikałem się jakimiś perfumami. Zanussi był jak zwykle miły, to najdowcipniejszy człowiek świata. Chyba że ktoś nie rozumie jego dowcipów. Biegało uszędzie stado labradorów, którymi rządził kundel Tasman. Zanussi zaczął opowiadać, jak biedował w Paryżu, jak miał jedne buty, w których zrobiła się dziura. Albo jak miał jedną koszulę, która kiedyś była biała, a stała się szara. I nie wiedziałem, dlaczego to do mnie mówi, dopiero potem zrozumiałem.

Kuperman wyszukał na moim laptopie jakiś niedrogi hotel i około północy zebrał się do wyjścia. Z tej radości postanowiłem go odprowadzić na przystanek nocnego autobusu. Kiedy znowu przeciskałem się przez drzwi

z arkuszami, te się rozsypały. Widniały na nich jakieś głowy i potworki. Takie, jak mój pięcioletni syn rysował w przedszkolu. Dla tych paru obrazków ten biedny facet poświęcił całe życie, a te obrazki były gównem warte. Dużo takich w Krakowie, to miasto przyciąga różnej maści pojebów.

Jestem skazany na książki, na typów takich jak Kuperman. Czy jest szansa, by się od nich uwolnić? Wsadziłem go do autobusu nocnego. Wątpiłem, że dotrze do hotelu. Wiedziałem, że z pewnością do mnie jeszcze kiedyś zadzwoni. Dzikim zwierzętom nie można okazywać litości.

Moje miasteczko?

Żona pojechała odebrać syna od teściów, a ja wziąłem się za pisanie. Czasem przez cały dzień potrafiłem napisać tylko jedno zdanie, które ostatecznie i tak kasowałem. Nowe książki wcale nie pisały się łatwiej, niż poprzednie. Tęskniłem za maszyną do pisania. Nie chodziło o to, że laptop nie miał tego uroku, co maszyna – po prostu jak pisałem na maszynie, musiałem dużo poprawiać, co przynosiło lepszy efekt literacki. Dobrze się czytało, ale z trudem pisało. Pocieszałem się, że Brazylijczyk swoją sprawność piłkarską także opłacają hektolitrami wylanego potu. Tylko tego nikt nie widzi, podziwiamy ich płynną grę.

Nie mogłem się jakoś skupić, bo dzisiaj były ciekawe mecze w hokeju. Poszedłem do kolektury zakładów bukmacherskich, która znajdowała się na obskurnym dworcu PKS. W tym zjeżdżałym miasteczku to była jedna z moich nielicznych rozrywek.

Dworzec był zupełnie podupadły. Dogorywał. Wszędzie śmierdziało moczem. Kiedy czasem czekałem tutaj na nocny autobus do Wrocławia, bo jechałem na spotkanie autorskie, czułem się, jakby to był Kazachstan albo Mołdawia. Co nie licowało zupełnie z resztą zadbanego – było nie było – miasta, gdzie działały bogate zakłady azotowe.

– Weszło coś? – ledwie wepchnąłem się do środka, tak tutaj było tłoczno. Widocznie hazardziści nie mieli się czym pochwalić, bo nikt się nie odezwał, pospuszczali oczy. W kolekturze trochę śmierdziało starymi skarpetkami i moczem.

– Ale tutaj śmierdzi! – dopchałem się do pliku kartek z ofertą na dzisiejszy dzień.

Obruszył się jeden z graczy i wyszedł.

– No i przestało śmierdzieć – zauważyłem, ale nikt się nie roześmiał.

Ten, który wyszedł, był kiedyś listonoszem, ale zdefraudował kasę z emerytur i przegrał w zakładach bukmacherskich. Został zwolniony z pracy, trochę siedział w pace, odeszła od niego żona. W pudle nie próżnował – słuchał muzyki poważnej. Po wyjściu na wolność wygrał jakiś teleturniej z wiedzy o twórczości Bacha. I znowu miał na grę u buków.

Wyszedł, ale smród pozostał. Może to inni hazardziści tak cuchnęli? Tak mogła pachnieć przemożna chęć wygranej, która nie chciała się zdarzyć. W Puławach były trzy punkty trzech różnych firm bukmacherskich. Niektórzy mieli taki codzienny rytuał – obiegaliby od rana wszystkie

przybytki, w każdym puszczając jakiś zakład, pijąc kawę, rozmawiając o ustawionych meczach i oszustach, którzy nie pozwalali im wygrywać.

Trafiłem tu, bo zacząłem pracę nad scenariuszem filmu o korupcji w polskim futbolu pt. „Transfer”. I chyba uzależniłem się od hazardu. Jak obstawiłem mecz, wtedy mogłem oglądać go z wypiekami na twarzy – wejdzie?/nie wejdzie? Nie grałem za wielkie stawki – czasem było to 10 złotych, a najwyżej – honorarium za dobrze płatne spotkanie autorskie. W kolekturach krążyły opowieści, jakoby ktoś wygrał 100 tysięcy, ktoś inny w ten sposób uzbierał podobno na dom. Częstsze jednak były to opowieści o tym, jak gość w tydzień przepuścił jeepa.

– Clipersi zremisują z Lejkersami! – wychudzony dziadek poprawił okulary o podwójnych denkach, których oprawki z jednej strony ledwie się trzymały. Zamiast kupić nowe – wolał grać. Czasem pożyczal ode mnie jakieś drobne, ale jeszcze nigdy nie oddał. Specjalizował się w remisach w koszykówce, a ponieważ zdarzały się bardzo rzadko, prawie nigdy nie wygrywał.

W zakładach bukmacherskich większość graczy stanowili byli futboliści, często niewydarzeni, którzy pokończyli kariery w okręgówkach, a mimo to mienili się znawcami futbolu. Jak kiepsko grali na boisku, tak fatalnie typowali.

A ja? Łatwa i szybka kasa wydawała się kusząca, ale nigdy nie udało mi się wygrać tyle, co zamierzałem. Często zdarzało się, że obstawiając bardzo wysokie kursy za 10 złotych wygrywałem tysiąka. Mimo że wiele lat grałem w piłkę nożną – najbardziej lubiłem obstawiać hokeja. Poznałem wszystkie kluby hokejowe do poziomu 3 ligi w całej Europie. Ach, te piękne nazwy klubów fińskich – KooKoo albo Jukkurit. Szwedzkie też ładne: Oskarshamn, Frolunda, Leksands, Farjestad. No i rosyjskie – Metalurg Magnitogorsk, Salavat Ufa, Bars Kazan. Najlepiej grać w hokeja wczesną jesienią, kiedy ligi startują i faworyci zwykle wygrywają, bo chcą zdobyć dużo punktów, żeby potem spokojnie kontrolować sezon. Środek rozgrywek to największe kunktatorstwo. Potem można jeszcze trafić coś wczesną wiosną, kiedy zaczynają się fazy play-off i silni grają ze słabszymi. Następnie wszystko się wyrównuje, każdy może wygrać z każdym.

– Widzieliście, jak wczoraj Legia dała dupy w eliminacjach Ligi Mistrzów? – ekscytował się wąsaty trener piłkarski. Szkolił głównie młodzież. Wychowany w starym systemie, wierzył, że wszystko da się kupić albo ustawić. Tego samego uczył swoich podopiecznych. Wygrywali

wszystko jako dzieciaki, a potem grali po ligach okręgowych. Kółku z nich także wpadło w nałóg obstawiania u buków, jak ich mentor.

Często było tak, że wchodził mi kupon na 10 tysięcy, brakowało tylko wyniku jednego z dwunastu meczów. Zespół prowadził 2:0 przez dwie tercje. Potem na pięć minut przed końcem tracił dwie bramki i robił się remis, który mnie nie urządził. Takimi kuponami mógłbym wydrukować ściany willi, którą za wygrane na nich mogłem kupić, a niestety, wciąż wynajmowaliśmy mieszkanie. Tyle że już nie była to kawalerka, a mieszkanie dwupokojowe z dużą kuchnią, w której mogłem pisać.

Ech, te piękne chwile, kiedy grałem za ostanie 10 złotych i wygrywałem kasę na miesiąc utrzymania rodziny. Chwile piękne, niestety zbyt rzadkie, żeby granie u buków traktować poważnie. Bo jak jednego razu nie wygrałem nic za tę ostatnią dychę, to potem nie miałem na kupno mleka dla małego dziecka. Był luty, zimno i śnieżnie. W dodatku niedziela. Nikogo w Puławach nie znaleźmy, żeby móc pożyczyć chociaż parę groszy. I wtedy pięć złotych znalazłem na śniegu przed marketem. Druga piątka leżała przed kwiaciarnią. I już było na mleko. Cud mleczny w Puławach!

Z powodu hazardu w naszym stanie posiadania były straszne dysproporcje – w jednym miesiącu stać nas było na fajne podróże i dobre hotele, a w innych bywało, że dzwoniłem po znajomych, żeby pożyczyć 100 złotych. Za które zaraz potem szedłem zagrać. Przegrywałem i znowu pożyczałem, tym razem 500 złotych.

– Złodziej! – gorączkował się gość, któremu znowu nie udało się trafnie wytypować wyniku meczu tenisowego. Tenisiści byli jednymi z największych oszustów. Ich najtrudniej było złapać na tym, że odpuszczali jakiś mecz ze słabszym przeciwnikiem, bo bardziej im się opłacało zagrać u buków na swoją porażkę.

Facet szybko się uspokoił i zaczął skreślać kolejny kupon – miał firmę budowlaną, która finansowała jego uzależnienie.

W kolekturze zakładów w Puławach poznałem Kretka. Typiek niziutki, grubutki i krótko ostrzyżony, zakazany ryjek. Taki mały Kretak – Kretacz. Ale czytał książki, tak mnie podszedł. Wyczytał w jakiejś lokalnej gazecinie, że jestem pisarzem i kupił ode mnie książkę z autografem. A potem do mnie, że ma ofertę nie do odrzucenia. Biznesową. „Perfumy będziemy robić – powiedział kiedyś, gdy spotkałem go na mieście. – Z twoim nazwiskiem na buteleczce. Co ty na to?”

To podbechało moje ego, które w tamtej chwili było lekko skisłe. Chłopak ze świętokrzyskiej wsi i własna linia perfum – tego jeszcze nie było. Cóż za droga przebyta, wszystkie marzenia zrealizowane – wywiad w prasie i telewizji, ekranizacja książki, a teraz swoje perfumy. Co potem – może wino? Jakaś linia odzieży? Może garniturów?

I zaczęło się nękanie. „To jak, zainwestujesz jakąś kasę w perfumki?” – pisał do mnie smsy, dzwonił. „Będziesz sprzedawał podczas spotkań autorskich”. Wiedziałem, że jest splukany. W Polsce miał kupę długów, swoją firmę musiał zarejestrować w Bułgarii, żeby go komornicy

nie ścigali. Tego dnia znów go spotkałem. Kretak myślał, że jak pisarz w Polsce wyda parę powieści, to może założy firmę albo dwie, inwestować, w co chce.

– Przyjdź na obiad do Tawerny Greckiej, to coś ci przyniosę... – zaproponował, gdy próbowałem zdecydować: gram dzisiaj za grubszą kasę na jedno zdarzenie, czy próbuję za drobniejszą kwotę obstawić dziewięćdziesiąt meczów? Ponieważ miałem trochę forsy z ostatniego tournée po bibliotekach, zagrałem na jeden mecz – lidera szwedzkiej hokejowej ekstraklasy SHL – Frolunda IF uznałem za pewnego zwycięstwa w meczu z wiceliderem – Linkopings. Kurs 2.0.

Wróciłem do domu, a tam w skrzynce pocztowej czekało na mnie wezwanie z biblioteki miejskiej. Miałem koniecznie oddać wypożyczoną książkę. Żeby było śmieszniej – była to moja powieść „Niech żyje wolność”. Będę miał zakaz korzystania z biblioteki, jeżeli nie oddam książki. Na nic tłumaczenie, że to moja powieść, a potrzebna mi ciągle na spotkania autorskie, bo prywatne egzemplarze mi się skończyły. W puławskich bibliotekach praktycznie nie było moich książek, ta była jedyna. Babki twierdziły, że są zbyt wulgarne. I nie kupowały kolejnych tytułów. Ot, prowincjonalna cenzura. Za karę nie wolno mi było korzystać z wypożyczalni ani z Internetu. Puławy nie mają litości dla swoich twórców. Urządzą na przykład Festiwal Książki, na który nie zapraszają prawdziwych pisarzy, tylko autorów książek o meteorologii. Albo jakieś leciwe aktorki. Nie odróżniają pisarzy od autorów książek, co jest w Polsce zjawiskiem powszechnym. Kiedy próbowałem im wytłumaczyć różnicę, stwierdzili, że jestem zazdrosny o nakłady Cejrowskiego. Wcale nie lepiej działa dom kultury w Puławach – nie umieją tam niczego wymyślić, chociaż mają – w odróżnieniu od wielu innych domów kultury w małych gminach lub miasteczkach – porządną budżet. Jak przyszła nowa dyrektorka, to starzy pracownicy, przywykli do dawnych czasów oraz do imprez discopolowych i kiełbasek z grilla, doprowadzili do jej zwolnienia w ciągu paru miesięcy. Jeden z lokalnych działaczy od kultury powiedział kiedyś do mnie, że czytał moje opowiadania w „Tece Puławskiej”. I że pora wreszcie wydać książkę. Ja mu na to, że wydałem już kilka, co go mocno zaskoczyło.

W Tawernie Greckiej znalazłem się po raz pierwszy. Zastanawiałem się, dlaczego Tawerna (leży w środku miasta, a nie przy porcie rzeczonym) i dlaczego grecka? Co Grecy mieli wspólnego z Puławami?

Dużo Greków było kiedyś w Opatowie, gdzie chodziłem do liceum – na górce koło szkoły znajdowały się pozostałości po greckim cmentarzu. W XVI i XVII wieku bogaci wędrowni kupcy osiedlili się tymczasowo w Opatowie, szukając schronienia przed tureckimi prześladowaniami. W tym czasie przez Opatów przebiegały szlaki handlowe ze wschodu na zachód i z południa na północ, zatem z wielkim rozmachem rozwinęli tu swoje interesy. Żyli tu, zakładali rodziny, tutaj też umierali. Jeszcze pod koniec XIX stulecia znajdowały się tu dobrze zachowane nagrobki z napisami w języku greckim. Do chwili obecnej zachował się tylko jeden – z nieczytelną już dziś inskrypcją i prawosławnym krzyżem. A uzgórze obok liceum wciąż nazywa się „Grecki”. Chłopaki i dziewczyny chodzą tam palić fajki. Tam też kwitną pierwsze miłości.

Na ścianach tawerny były namalowane widoczki z Grecji – to wszystko. Aha, jeszcze grecka muzyka płynęła z głośników. Niestety, w menu nie było typowych greckich dań. Za to był schabowy z frytkami i zupa ogórkowa – zestaw dnia. Z restauracjami w Puławach był generalnie problem. Jak kiedyś przyjechali do mnie dziennikarze z „Newsweeka” zrobić wywiad, nawet nie miałem gdzie ich zaprosić na obiad. Od jakiegoś czasu był tutaj za to bar wietnamski. Dzięki mnie – namawiałem Wietnamczyków, znajomych mojego tłumacza na wietnamski, żeby po tym, jak zlikwidowali lokal na Stadionie Dziesięciolecia – przenieśli swój biznes do Puław. Tak też się stało – mogę powiedzieć, że Puławy zostały przeze mnie wzbogacone kulturowo o Wietnamczyków. Za to Chińczycy do Puław trafili sami – posiadali tutaj parę centrów handlowych, było jak w jakimś czeskim miasteczku – Nachodzie albo Czeskim Cieszynie. Synowie Chińczyków, już urodzeni w Polsce, chodzili na boisko, gdzie grali ze mną w piłkę. I to był jedyny powiew egzotycznego świata, którego można było doświadczyć w Puławach.

– Zobacz! – zjawił się Kretek i od razu wręczył mi niewielki flakonik, oklejony nalepką, na której pisało „MASTERNAK EXOTIC”. – Będziesz je sprzedawał przy okazji spotkań autorskich – pękał z dumy. – Może w pakiecie z książkami? Co ty na to?

Myslałem ciągle o biedakach z zakładów bukmacherskich. Przygarbieni, przybrudzeni. Woleli zagrać kupon niż kupić sobie lepsze ciuchy. Tylko to niektórym pozostało. A Kretek kręcił. Handlował podróbkami znanych firm. Twierdził, że sprowadza je z Francji. Podobno sam je gdzieś na jakiejś wsi produkował. Jak patrzyłem na niego, to jakbym widział Rzeźnika albo Generała, gości od lewych interesów, z którymi miałem niegdyś do czynienia. Podobnie się czułem, gdy rozmawiałem z wydawcami albo producentami filmowymi – także widziałem w nich Rzeźnika albo Generała. A dostawałem coraz więcej propozycji. Niedawno zaprosił mnie wydawca z Warszawy, który chciał wydawać moje książki – nie podpisałem umowy, bo powiedział, że stara się mieć nad wszystkim „kontrol” w swojej firmie. Odpowiedziałem, że wolałbym, żeby miał nad wszystkim pełną kontrolę. A ten na to, że przecież mówi, że ma pełną „kontrol”.

– Mogę ci pomóc – gadał Kretek. – Mam niezłe chody w Bułgarii. Mogę ci załatwić robotę w konsulacie w Sofii. Może nawet konsulem zostaniesz..

Trzymałem w rękę flakonik i myślałem o tym, że „Puławy” to nazwa krateru na powierzchni Marsa o średnicy 51,5 km, leżącego na 36,8° szerokości południowej i 76,7° długości zachodniej. Został tak nazwany w 1979 roku Decyzją Międzynarodowej Unii Astronomicznej. Rok po moim urodzeniu.

– Ile musiałbym zainwestować?

– Sto tysięcy – odrzekł Kretek bez mrugnienia okiem. Rzeźnik jeden. Generał jebany.

– Dam ci jutro odpowiedź – wstałem od stolika, zabierając flakonik. Na pamiątkę.

Wróciłem do domu głodny, Kretek nie postawił mi obiadu. Nie potrafiłem gotować, więc wziąłem fasolkę po bretońsku z lodówki – na takie właśnie chwile czekała. Fasolka po bretońsku, parówki, ot, takie życie. A gdzież są ostrugi? A gdzie krewetki? Podgrzałem na patelni, wysypałem na talerz, zacząłem jeść i... nagle coś mi zgrzytnęło między zębami. Wypłułem, a to był spory kawałek szkła, o ostrych krawędziach. Zamarłem. Przecież połknięcie czegoś takiego równa się pocięte jelita! Zakażenie krwi. Poczytałem fora w Internecie i spanikowałem jeszcze bardziej. A jeżeli szkielec było więcej i połknąłem jednak jakieś kawałki, niczego nie zauważywszy? Czytałem o przypadku gościa, który miał podobną sytuację i zmarł w ciągu dnia, bo bakterie z kału przeniknęły do krwiobiegu i facet dostał sepsy. Człowiek boi się raka albo wypadku samochodowego, a umiera z powodu kawałeczka szkła.

Zawsze lubiłem kibicować samotnemu bohaterowi lub bohaterce, zmagającym się z wielką korporacją (systemem). Tacy bohaterowie przeuwijali się przez całą literaturę, od antyku począwszy, są obecni we współczesnym kinie. Tylko teraz przeciwnikiem zamiast Imperium Rzymskiego (casus Spartakusa) jest wielka korporacja przemysłowa. Zadzwoeniłem do producenta. Z trudem udało mi się skontaktować z odpowiednią osobą, bo odsyłali mnie z jednego miejsca w drugie. Mówię o zdarzeniu babce, a ta na to, że na pewno oddadzą mi słoik fasolki, pod warunkiem, że mam paragon! Wkurzyłem się i mówię, co mi tam fasolka za 5 złotych, czy w razie czego wymienią mi pocięte jelita? I żądam, żeby zbadali serię, z której pochodził feralny słoik – może kawałki szkła są też w innych słoikach i właśnie ktoś je zjada! Obiecała wszystko sprawdzić. Kazała sfotografować szkło i wysłać jej zdjęcie na mejla. Zagroziłem nagłośnieniem sprawy w mediach. Byłem wściekły, bo chciałem pisać „Jezusa na prezydenta!”, a nie mogłem się skupić.

Oddzwonili, że przedstawicielka tej firmy chce do mnie przyjechać. Wieczorem się zjawiła, przeprosiła mnie. W ramach rekompensaty dostałem kalendarz tej firmy oraz 4 słoiki: dwa zawierały mięso w sosie własnym, jeden flaki wołowe po zamojsku (czyżby wiedzieli o mojej sympatii dla Zamościa i okolic?) i... słoik fasolki po bretońsku (o fascynacji Francją pewnie też skądś musieli wiedzieć). Ale nie chciało mi się dłużej wyklócać. Tak byłem wkurzony, że prawie nie udało mi się nic napisać. Z tym pisaniem to ucale nie jest łatwo. Nauczyłem się pracować w domowym rozgardiaszu. Dziecko baraszkuje po podłodze, żona krząta się po kuchni, a ja i tak potrafię pisać.

Kiedy Renata i syn wrócili, poszliśmy spać. Obudził mnie hałas za oknem. Wystraszyła się żona, rozplakał się mój syn, śpiący w mniejszym pokoju. Wyglądam z balkonu, a tam po ścianie wdrapuje się jakiś młody pijaczek. Czacha mu dymi, czupurzy się.

– Masz coś do mnie? – Maniek to łysy osiłek–osiłek, którego już parokrotnie widziałem na osiedlu, bo ciągle był pijany albo naćpany, i bez przerwy się awanturował. Maniek i jego żona chodzili w takich samych dresach, ich dzieciaki także były ubrane w dresiki.

– A ty masz coś do mnie? – wychyliłem się przez barierkę balkonu na parterze. Był to blok typowo puławski. To miasto od początku miało

jakiś defekt. Coś, co irytowało. Poznałem wiele polskich miast i miasteczek, niektóre urocze (to pedalskie słowo, ale trafne), inne brzydkie, ale z jakąś duszą, duchem brzydoty właśnie, jakiegoś rozpadu albo braku umiejętności za władania nie swoimi formami – takie miasteczka z Dolnego Śląska na przykład.

W Puławach brakowało duszy. Barbarzyńcy z Gołębia, Końskowoli i Góry Puławskiej gnieździł się w ruinach cywilizacji pozostałej po Czartoryskich. Przybyli do Puław, żeby pracować w tutejszych Zakładach Azotowych. Był rozwój ekonomiczny, nie było kulturalnego. Wszyscy drżeli, że jak ktoś wykupi zakłady i przeniesie siedzibę w inne miejsce, wtedy miasto stanie się ekonomiczną pustynią. Był podział – na tych pracujących w Azotach i nie, na miejscowych i przybyszów z różnych części Polski. To miasto nie miało swojej tożsamości.

Właściciel mieszkania zamontował fotokamerę, która włączała się, jak tylko ktoś przechodził ścieżką obok naszego budynku. Urządzenie włączało się przez całą noc, irytując wszystkich nocnych marków, ale także nas. Niestety, gospodarz nie zgodził się zdemontować kamery – twierdził, że to niebezpieczna okolica i to na wypadek włamania w nocy. Miał rację. Pod blokiem gromady pijacków, na ławkach całe rodziny, matki i babki z dziećmi, jak to kiedyś po wsiach bywało. Wszyscy lecieli na tanim winie, kobiety i mężczyźni, czasem wydawało mi się, że dzieci też były na lekkim rauszu, bo albo były zanadto pobudzone albo zaskakująco ospałe. Jak przechodziliśmy, wszyscy spoglądali na nas podejrzliwie i z niechęcią – byliśmy tutaj obcy.

Podróżowanie po Francji tak nam weszło w krew, że nigdzie do końca nie mogliśmy sobie znaleźć miejsca, czuliśmy się kosmopolitami. Trzy miesiące u rodziców Reni, w Nałęczowie – zaraz po pourocie z Francji. Dwa miesiące w kawalerce na ulicy Polnej 17, w Puławach – mało mebli, ale przytulnie. Wspaniały dywan, na którym można się było kochać. Trzy miesiące w Wilii Decjusza w Krakowie (kwiecień, maj, czerwiec), stypendium literackie. Lipiec/sierpień/wrzesień/październik – znówu kawalerka na Polnej w Puławach – niezły czas – bo dostałem II ratę za film „Księżstwo”. Wakacje spędziłem grając na orliku w piłkę z kuzynami mojej żony, trochę pisałem. Wiktor rósł, potrzebne mi było miejsce do pracy, więc od listopada wynajęliśmy duże, dwupokojowe mieszkanie na ulicy Cichockiego w Puławach. Mieszkanie przyzwoite, ale brakowało mebli. W dużym pokoju wyrwany żyrandol – poprzedni najemca pakował się w pośpiechu, wyrwał dziurę w suficie. Brak kasy, żeby coś kupić. Właścicielka cały czas obiecywała, że coś dowiezie. Kibel ciągle się zapychał. Na wakacje wynieśliśmy się do teściów. We wrześniu powrót do Puław. Na Polnej 9 wynajęliśmy umeblowaną kawalerkę. Jakby normalniej. Odkrywam spotkania autorskie, co zasiłło mój budżet.

Mieszkamy tutaj pół roku, do końca lutego. Właściciel nie przedłużył mi umowy. Chudy, wściekły, łysy frajerzyna, pracownik puławskich Azotów. Wynajmuję kawalerkę na Wróblewskiego 7. Menelska okolica. Nie ma mebli. Czwarte piętro, bez windy. Mieszkamy tutaj... jeden dzień. Facet nie zuraca mi kaucji. Wyprowadzamy się do rodziców Renaty, do Nałęczowa. Mieszkamy do końca sierpnia. I znów Puławy, dwupokojowe mieszkanie w Puławach, na Norwida. Slamsowato. Lokalsi od początku szukali powodu do zwady. No i przyczepili się do tej fotokomórki, jakby jej wcześniej nie było. Maniek zagroził, że rozpiardoli tę fotokomórkę, bo go unerwia.

Gdzie jest mój scyzoryk? Oddajcie mi mój scyzoryk, bo nie zdzierzę. Trzeba ciąć. Scyzoryk zausze zostanie scyzorykiem. Mój nóż mnie obroń. Nóż ze mną. Ach, nóż straciłem w lesie, wbitą w dzika.

Postraszylem Mańka, że kiedyś studiowałem prawo (nie dodałem, że nie skończyłem) i się uspokoił. Wiedziałem, że tylko na chwilę. Postanowiliśmy zmienić mieszkanie. Tylko na jakie? Wszystkie bloki w Puławach są identyczne. Mają pięć kondygnacji, są długie na jakieś 100 metrów. Wszystkie pomalowane na żółto-pomarańczowo. Ci ludzie pochodzą głównie z okolicznych wsi. Wielu dalej mówi po wiejsku i po wiejsku myśli. Przed blokami ciągną się niewielkie altanki. Powinny na nich rosnąć kwiatki, a rosną, bardzo często – warzywa. Tylko jeszcze kóz brakuje.

Wstałem niewyspany, a wcześniej rano musiałem pojechać do Warszawy – na obiad zaprosił mnie ambasador Słowenii. Przeczytał ze mną jakiś wywiad, potem kupił jedną z moich książek i chciał mnie poznać. Włożyłem garnitur i pojechałem pociągiem. Wysiadłem z pociągu i ponieważ miałem godzinę zapasu do spotkania, postanowiłem zajrzeć do kolektury zakładów bukmacherskich. Była tam pani „kolekturowa”, jakiś dziadek, który pewnie przesiadywał tutaj całymi dniami. I jakiś gość w stylu warszawskiego cwaniaczka z Pragi. Czarny flek, włosy na żel, z 35 lat. Pewnie rządzi jakimś podwórkiem, albo nawet całą ulicą. Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Próbuje zajrzeć do wydrukowanej oferty – a ten zasłania ją jak pies kość skradzioną rzeźnikowi. Pochyliam się, a ten do mnie, żeby mi spadał. „Sam spadaj”, ja na to. Ten się podnosi, żeby mi patrzył na niego z góry, a ja go wtedy z bańki. Ruchem wyćwiczonej do perfekcji na boiskach. Gość dostaje w nos i zalewa się krwią. Zaczynamy się szarpać. Prawie wyuracamy stolik pani kolekturowej. Uciekłem, zanim zjawili się gliniarze, którzy na dworcu mają swój posterunek. Jakby mi sprawdzili dokumenty, dowiedzieliby się, że jestem poszukiwany listem gończym. Ale przez to zamieszanie nie poszedłem do ambasadora, moja książka nie wychodzi z Słowenii. I w dodatku nic nie udało mi się wygrać.

– Następnym razem na pewno wejdzie – wyrzuciłem kupon do kosza.

Mój prawdziwy ojciec

Pierdoła ujechał traktorem ciągnącym glebogryzarkę na pole położone nad rzeką Wieprz. To tutaj, w podzamojskim Krasnobrodzie, znajdowała

się „Swampions Arena” – nasz błotny stadion. A Krasnobród stał się stolicą błotnego futbolu. „Swampions Arena” bez kibiców i piłkarzy to

było zwykłe zaorane pole, jeszcze do niedawna – nieużytek. Pierdoła orał tutaj już wczoraj, dzisiaj poprawił. Potem miał jeszcze bronować. Pierdoła był naszym kierownikiem drużyny, człowiekiem, który potrafi wszystko załatwić. To on opowiedział mi o piłce błotnej, spotkałem go kiedyś w busie jadącym z Warszawy do Zamościa.

To ważne, żeby błoto było jak „najczystsze”. To znaczy – pozbawione kępek trawy i chwastów. W ciągu ostatnich kilku miesięcy rozegraliśmy jako BKS wiele meczów i wiemy, jaka konsystencja błota jest najlepsza, żeby się dobrze grało. O ile gra w takich warunkach może być „dobra”. Przez pewien czas szukałem dla siebie szansy na powrót do futbolu, w jakiegokolwiek odmianie. Z klubów A-klasowych byłem przepędzany. Nie miałem zamiaru zbyt szybko się starzeć. To zadufanie trenerka z A-klasy, że teraz, po awansie do ligi okręgowej, to już sobie nie poradzę! Nie zależało mi na tym, że na mecze naszej drużyny w piłce błotnej przyjeżdżało wiele mediów rozmaitych – ważne było, że czułem się tutaj potrzebny.

Trudno było przewidzieć, jak zachowa się piłka przy kontakcie z błotem. Potrafiła się zatrzymać na linii bramkowej i nie upaść do bramki. Na normalnej nawierzchni niefortunny strzelec zostałby wygwizdany, tutaj rozlegał się co najwyżej jęk zawodu. Kibice, których ciągle nam przybywało, poznali już zasady piłki błotnej i świetnie się przy naszych rozgrywkach bawili.

– Swamp Soccer to odmiana futbolu, która narodziła się w Finlandii... – nasz trener udzielał wywiadu dla lokalnej telewizji.

Po Pierdole do akcji przystąpili strażacy. Bo do uprawiania tego sportu oprócz traktora i glebogryzarki potrzebny jest wąż strażacki. I tysiące litrów wody. Im więcej wody (a dzięki niej – błota), tym większa frajda. Strażacy lali wodę, bo im burmistrz kazał. Żeby się lepiej przykładali, daliśmy im butelkę ukraińskiego bimbrowa, przywiezionego wczoraj ze Lwowa przez zaprzyjaźniony zespół LC Chełm. Od razu im się humor poprawił, więc leją wodę i leją, żartujemy, że poziom całego Wieprza spadnie, w końcu znajdujemy się u jego źródeł. Wcześniej mieliśmy drewniane bramki, zbite z trzech żerdeł, ale już się to komuś nie spodobało (nie wszyscy nam kibicują), zostały połamane. Udało się w końcu zdobyć bramki żelazne, z pobliskiego boiska grającego w okręgówce Igrosu. Chłopaki z Igrosu (cóż za nazwa!, podobno powstała podczas igrzysk w Moskwie, po rosyjsku grać to „igrać”) patrzyli na nas trochę krzywo, bo oni nie wyszli nigdy z ligi okręgowej, chociaż ich utrzymanie sporo miasto kosztowało, a my kroczyliśmy od zwycięstwa do zwycięstwa, przy czym byliśmy znacznie tańsi w utrzymaniu.

– Piłka błotna to ciągle sport niszowy – trener drapał się po jajach. Miał ksywę Parzyjajo. – Szacuje się, że w tej chwili istnieje na świecie około tysiąc klubów uprawiających tę dyscyplinę. Oprócz krajów skandynawskich miłośnicy do ciężkiego terenu zapalali również gracze m.in. w Belgii, Holandii, Czechach, Szwajcarii, Brazylii, Rosji czy w Chinach. Ar-mud-geddon, Mudchesthair United, De Rode Modderduivels, Real Mudrid, Swamp Dog Millionaire – tak brzmią nazwy niektórych drużyn. Przebierać się, panowie! – ryknął, kiedy zauważył, że przysłuchujemy się jego słowom; zawsze miał parcie na szkło.

Nie udało mi się wrócić do gry na normalnej trawie, spróbowałem na błocie. Przebierając się na leśnej polanie nad rzeką w strój piłkarski myślałem o mojej matce. W jej pokoju na biurku zawsze stało zdjęcie, przedstawiające mężczyznę z czarnym zarostem. Sądziłem, że to jakiś krewny. Matka nigdy nie chciała powiedzieć, kto to jest. Myślałem, że to jakiś wujek albo inny krewny. Kiedy pytałem, o co z tym zdjęciem chodzi, machała zniecierpliwiona ręką i powtarzała: „Kiedyś zrozumiesz”. Mój ojciec patrzył na tę fotografię z nienawiścią – w końcu zaczął pić. Kłócili się o to często. Ale matka nie zgodziła się zdjąć fotki ze swego biurka.

Kiedy tylko zacząłem dobrze chodzić, matka wypędzała mnie na boisko, żebym grał w piłkę. Wolałem czytać książki, ale ona się uparła. Graj w nogę, no czemu siedzisz w domu? Na boisko, ale to już! Więc grałem. Moje pierwsze treningi odbywały się na błotnistym boisku za naszą starą stodołą. Schodzili się inni mali gracze z sąsiedztwa i graliśmy całymi popołudniami. Z czasem już nie trzeba mnie było na boisko ciągnąć, sam szedłem. Tylko ojciec się uściękał, gdy widział mnie z piłką przy nodze. Gonił mnie wtedy do roboty w polu albo w oborze.

Wiele z Suchym żonglowaliśmy, urządzaliśmy slalom z piłką między pachołkami, ćwiczyliśmy przyjęcie piłki nogami, klatką piersiową i głową. Od początku najbardziej imponował mi Diego Maradona. Potrafił strzelić gola z niczego. Niestety, nie przypominałem go stylem gry. Nie byłem nazbyt szybki, nie miałem bajecznego dryblingu ani atomowego uderzenia. Zwykle kręciłem się gdzieś w okolicy pola karnego i czyhałem na okazję do zdobycia bramki. Zazwyczaj coś upadało. Moje bramki to były zwykłe „szmaty”. Niektórzy twierdzili, że nie powinno się ich w ogóle uznawać. Bo co to za gol, jak piłka ledwie co wtoczy się za linię bramkową? Matkę szczególnie cieszyło moje upodobanie do gry podczas deszczu. Jak tylko była brzydka pogoda, sędzia zastanawiał się, czy dopuścić do meczu, wtedy wiedziałem, że będę groźny dla obrony i bramkarza przeciwników.

Z boiska za stodołą trafiłem do ligi regionalnej, a stamtąd, pod koniec liceum – miałem trafić do Korony Kielce, która gra obecnie w Ekstraklasie i walczy o Mistrzostwo Polski. To by już było prawdziwe granie. Niestety, niedługo po maturze doznałem poważnej kontuzji lewego kolana, która sprawiała, że odciechało mi się profesjonalnego futbolu. Poszedłem na studia prawnicze, które były nieporozumieniem.

Do gry wróciłem koło 30-ki – pracowałem nad scenariuszem filmu „Transfer” – o korupcji w polskim futbolu i zacząłem grać, żeby sobie przypomnieć zapach szatni. To był klub z lubelskiej klasy A – FC Cisowianka, spod Nałęczowa. Po udanej wiośnie za pięć piłek trafiłem do klubu w Puławach. W okresie przygotowawczym zrobiłem błyskawiczne postępy – w meczu z KS Zaborze, wygranym 12:5, zdobyłem 5 goli! Niestety, moja rosnąca dyspozycja strzelecka uzbudziła zazdrość kolegów z drużyny. Przed pierwszym meczem w oficjalnym sezonie poszarpałem się z jednym z nich. Myślał, że jak pisarz, to w mordę nie da. Był po czterdziestce, a ciągle nie mógł dorosnąć. Kiedy przyszedłem do klubu, trafił go szlag. Chciał mnie ośmieszyć, sprowadzić do zera. On zaczął, ja skończyłem. Powiedziałem w szatni: „Jeszcze raz coś do mnie powiesz, skomentujesz, kopnę cię w łeb, aż się potoczysz po boisku.” Zdębiał. Trener posadził mnie na ławce rezerwowych. Wszedłem na ostatni kwadrans. I od razu zdobyłem gola na 3:1, potwierdzając nasze

zwycięstwo. Pokazałem mojemu oponentowi międzynarodowy znak przyjaźni. Koledzy z drużyny wołali na mnie „Redaktor”, bo innych piszących nie znają. Podczas meczu nie było dla mnie taryfy ulgowej – krzyczeli: „Zap...dalaj, Redaktor!” Jeszcze gorzej traktowali mnie kibice – gdy coś zawałiłem, robiło się wulgarnie. Ktoś może zapytać, po co mi ta piłka? Użeranie się z Kropą (układacz asfaltu) czy Gzymsem (budowlanka)? Otóż jak zostałem zbluzgany przez kibiców lub kolegów, to czułem jakbym wrócił tam, gdzie kiedyś zaczynałem. I niewiele brakowało, że mogłem tam skończyć.

Niespodziewanie z Puławiaka trafiłem do klubu piłki błotnej. Gramy pierwszy mecz, z Arsenalem Lublin, i co? Nie mogłem się odnaleźć, tak jak chciałbym – nogi grzęzły w błocie, nie dało się właściwie ustawić stopy, wyjść w tempo na pozycję. Parę okazji, które na zwykłej murawie wykorzystałbym z zamkniętymi oczami, tutaj zmarnowałem. Byłem kompletnie zagubiony. Wszędzie błoto i woda. Z czym mi się to kojarzyło? I wtedy przypomniał mi się mecz Niemcy – Polska z 1974 roku. Mecz na wodzie! Wszystko zaczęło się od potężnej ulewy oraz awarii systemu drenów, przez co boisko stało się jedną wielką kałużą. Błotem. Kałuże wody uniemożliwiały Polakom szybką grę, która była do tej pory ich najmocniejszą stroną. Atakowaliśmy, a Niemców przed stratą bramki ratował jedynie Sepp Maier. Jednak to Biało-Czerwoni przegrali, a jedynego gola niespełna kwadrans przed końcem zdobył Gerd Mueller. Potwór błotny.

I nagle wszystko stało się dla mnie jasne! Ta fotografia Gerda Muellera na biurku mojej matki! Jako młoda dziewczyna wyjeżdżała do pracy w Niemczech, niedługo po jednym z takich powrotów wyszła za mojego ojca i się urodziłem. Tak, w tym przebłyku wszystko stało się dla mnie jasne! To Gerd Mueller jest moim ojcem! Mistrz w granitu na wodzie, na błocie! Jestem jego nieodrodnym synem! Więc to jest ta rodzinna tajemnica, która doprowadziła mojego ojca do pijaństwa. To dlatego matka kazała mi grać w piłkę, a ojciec – zabraniał! Gerd Mueller, podobny do mnie wzrostem i sylwetką, i stylem gry. Mój prawdziwy niemiecki ojciec, mistrz gry na błocie.

Nagle lepiej zacząłem uderzać z przewrotki, ustawiać się do piłek wyrzucanych przez bramkarza, dogrywanych przez kolegów. I zdobywałem gola za golem. Zostałem najlepszym strzelcem drużyny, niedługo później wywalczyłem z Roztoczem Mistrzostwo Polski i koronę Króla Strzelców. Fotografie Gerda Mullera zabrałem ze sobą, stała na moim biurku w Puławach, obok portretu matki.

Miałem na sobie czerwoną koszulkę z orzełkiem i czerwone spodenki. Moi koledzy także byli już przebrani. Rozgromiliśmy do tej pory takie kluby, jak Los Brokeros 90 Lublin (6:0 dla nas), Orły Błotnowola (9:3), Da Grasso Chełm/Zamość (6:0), pora wreszcie było spróbować swoich sił w meczu międzynarodowym. Dlatego mecz z Niemcami. Drużynę Polski utworzyli zawodnicy BKS-u, jako aktualni mistrzowie kraju.

Kiedy Parzyjajo zbiera nas obok boiska, myślę o tym, że piłka błotna to jest sport dla ludzi ze wsi. Patrę na tych chłopaków, którzy na co dzień pracowali jako kamieniarze, masażyści, kasjerzy. Tutaj mieli szansę się dowartościować – walczyć o mistrzostwo Polski, grać w reprezentacji. Byłem taki jak oni, parę książek i kilka wywiadów mnie nie zmieniło.

Podczas rozgrzewki, którą przeprowadził trener, duma w sercu się telepała. Wreszcie spełnienie marzeń z dzieciństwa! Zagrać z orzełkiem na piersi – i to już będzie wszystko, o czym marzyłem, biegając jako dzieciak po boisku za stodołą! Cena za to była wysoka, piłka błotna to dość brutalny sport. Frajda, ale także zażarta walka – w ciągu tego sezonu miałem już złamane żebro, naderwane mięśnie, wybity obojczyk, wybite paluchy u nóg.

Wreszcie pojawili się Niemcy i także zaczęli się rozgrzewać. Myśleliśmy o rocznicy meczu na wodzie – 3 lipca 1974 roku na Waldstadionie we Frankfurcie w półfinale piłkarskich Mistrzostw Świata Niemcy pokonali Polskę 1:0. Kiedy grają Mazurka, przeżymy klaty z orzełkiem na piersi. Przybywało kibiców, zwabionych rozwieszonymi po całym miasteczku plakatami. Była niedziela, mogliśmy liczyć na dużą publikę. Niemcy wyglądali na dużo młodszych od nas. Czy dzięki temu byli szybsi, sprawniejsi? Spoglądaliśmy na nich z respektem. Miałem 33 lata. Niektórzy w tym wieku kończyli kariery, dla mnie ona rozpoczynała się na nowo. W błocie.

Parzyjajo zrobił nam przed meczem odprawę.

– Panowie, musimy wygrać! Za 1974 rok! Pamiętacie?!

Obiecujemy wygrać, choć to nic pewnego, nogi zaczęły mięknąć w kolanach. Słyszeliśmy, jak trajkotał trener Niemców. Niewiele rozumieliśmy, ale chyba mówił do swoich, że muszą wygrać, bo my w porównaniu z nimi to jesteśmy piąta liga!

Wbiegliśmy na boisko, które miało wymiary 60 x 35 metrów, ale czasem może być znacznie mniejsze. I cóż za zbieg okoliczności – zaczęło padać, lało jak z cebra! Czyżby historia zatoczyła koło? Trzeba chować aparaturę nagleśniąjącą, żeby nie zamokła. Publiką wiernie nam kibicowała – wszyscy wyciągnęli biało-czerwone parasole!

Mecz piłki błotnej trwa 2 x 13 minut, z 10-minutową przerwą. Na placu gry spotykają się dwa 6-osobowe zespoły. Gracze nie mogą w trakcie potyczki zmieniać obuwia. Rzuty różne, karne i podania z autu wykonuje się poprzez kopnięcie piłki z ręki („z powietrza”). Wszystkie rzuty wolne są pośrednie. Nie ma spalonego. Obowiązują zmiany lotne, „hokeyjowe”, można przeprowadzić ich dowolną ilość. Pole karne zaczyna się pięć metrów przed bramką, ale golkipier może dotykać piłkę rękami jedynie w promieniu trzech metrów od bramki.

Niestety, to Niemcy szybko objęli prowadzenie. Ale wyrównywałem, po strzale z rzutu karnego, między nogami bramkarza, który z wyglądu przypominał Seppa Maiera. Poprawiłem piękną przewrotką i do przerwy było 2:1. Schodzimy na przerwę strasznie poobijani – Niemcy to jednak Niemcy. Nasz bramkarz się zmartwił, bo mu pękły reprezentacyjne gatki w kroku i dziewczyny się śmiały.

Trener miał do nas sporo uwag – za mało uważnie graliśmy w obronie, wszyscy pchaliśmy się do ataku. Do mnie też coś miał – nie wykorzystałem stuprocentowej okazji z pół metra. Miałem mu ochotę powiedzieć, żeby sam uszedł i pokazał klasę, ale zacisnąłem zęby i nic nie powiedziałem, bo Parzyjajo to drażliwy człowieczek.

A po przerwie górą wciąż byli biało-czerwoni! Wcieliliśmy się w rolę Jana Tomaszewskiego, Władysława Żmudy, Roberta Gadochy, godnie ich zastępując. Zwyciężyliśmy Niemców aż 8:3! Zdobyłem pięć goli, koledzy dorzucili trzy. To był udany rewanż!

Gdy zegnaliśmy się po meczu z Niemcami, wszyscy byliśmy tak bardzo ubłoceni, że trudno było odróżnić, kto jest Niemcem, kto Polakiem.

Park Czartoryjskich

Kręcina patrzył na mnie szklanym wzrokiem. Wiedziałem, że szykuje się do jakiegoś oświadczenia.

„Żeby tylko miłości mi cholera nie wyznał” – myślałem gorączkowo. Kto się z kim zadaje, takim się staje. A Kręcina zadawał się z gejami. Książki im wydawał. Promocje robił.

Coraz bardziej się przybliżał i coś bełkotał.

„Jak coś wyzna – co zrobić? Dać w mordę?” – odsunąłem się nieco, bo z rzyjka mu jechało jak z zadka borsuka.

– Coś ci muszę powiedzieć... – nachylał się nade mną, pijany piwem, bo Kręcina tylko piwo żłopał, brzuch mu od piwuska urósł. Potrafił pójść do kogoś do domu i mu tam narzygać. Ot, wysoka kultura, prima sort. – Tyż ze wsi jezdem... Nie z Włocławka, ino z... Biskupina. Ni moge o tym głośno mówić, ale wieś popirom, ważno jes dla mnie. Wieśniok zem, z krwi i kości.

„Tuś mi bracie, wieśniaku, buraku, żytianiaku!” Dawno to podejrzewałem, bo Kręcina wymykały się czasem takie wiejskie zbitki słowne. Mówił na przykład: „wartalobyj” zamiast „warto by”.

– Kręcina – roześmiałem mu się w twarz – jakbym był z Biskupina, to bym to sobie na czole wypisał. A ty się wstydzisz. Tajemnicze trzymasz.

– Zjedliby mnie na mieście. Jak kiełbasę wiejską wędzoną na dębowym drzewie.

A miastem tem był Kraków. Tutaj wszyscy są skądś. Z Sosnowca i Paczkowa. Z Jasła i Sanoka. Spod Zamościa. I z Ostrowca Świętokrzyskiego. A prawdziwe krakusy z urodzenia – niemrawe. Dziadek był mocny, ojciec jechał na jego nazwisku, a wnuk – zwykłe popłuczyny. Plemniki, który nie dobiegnie do mety, jakby się mu nawet szpaler ustawiło. I mieszka toto na Woli Justowskiej, albo przynajmniej przy ulicy Królowej Jadwigi.

Kręcina wierzył, że zostanie królem Krakowa, po śmierci chciał leżeć na Wawelu. Nawet wynajął niedaleko mieszkanie, żeby mieć blisko, jakby coś. Schlany, opowiadał mi, że zamierza stworzyć kościół wyznający Krecinę. Żeby się przewietrzył, ruszyliśmy w miasto, raczej – w miasteczko, w którym zamieszkałem przypadkiem, w Puławach. Nie zamierzałem być księciem tego miasteczka, Puławki także nie chciały mojego panowania. Można je było przejść w kwadrans.

– Odnowiono chyba wszystko, bloki, chodniki i place zabaw. I to są jedne zalety mieszkania w Puławach. Mieliliśmy tutaj mieszkać rok, zostaliśmy na dłużej. Próbowałem Łwów, Lublin, Kraków, Wrocław – i ciągle powroty na prowincję. Małe miasteczko, choć od zawsze mam w dupie małe miasteczka.

– Małe miasteczko jest czymś zupełnie innym, niż wieś i duże miasto... – przerwał mi Kręcina. – Tak twierdzi Andrzej Barański. Niby nic odkrywczego, a jednak – mówił, kiedy mijaliśmy niedawno oddany do użytku nowoczesny stadion.

Pomyślałem, że na półkach w moim pokoju książki i puchary stoją obok siebie, literatura przy futbolu, nie widziałem między nimi jakościowej różnicy. Długą drogę pokonałem z boiska piłkarskiego na literackie salony. Moim kolegom z murawy trudno było w to uwierzyć. Rzecz w tym, że... znów grałem w piłkę. Nie miałem jeszcze 30 lat, moje kolano wróciło po latach do całkowitej sprawności, wciąż byłem silny i szybki, miałem potężne uderzenie z obu nóg, dobrze wychodziłem na pozycję. Zabrzmiało to jak laurka zawodnika z Bundesligi, a nie opowieść o niespełnionym piłkarzu? Ech, te przebłyski zagrań z rzeczywistości, w której mogłem żyć, gdyby nie kontuzja. Myślałem o tym, że większość pucharów i medali, które zdobyłem jako piłkarz, poginęła podczas częstych przeprowadzek, reszta została w rodzinnym domu pod Świętym Krzyżem, gdzie rdzewiała w pudle na strychu.

Kręcina nie chciał rozmawiać o futbolu, o życie na wsi mnie wypytywał. A ja niewiele już o tej wsi wiedziałem, w rodzinne strony przyjeżdżałem bardzo rzadko. Prawie wszyscy mnie tam nienawidzili za to, że ich opisałem.

– Mogę tam przyjeżdżać tylko w nocy i wyjeżdżać wcześniej rano, żeby w mordę nie dostać... – wyjaśniłem.

Kręcina zgłodniał, więc wstąpiliśmy do restauracji, która nie wiedzieć czemu była grecka. Grecka była jednak tylko z nazwy, bo serowała głównie kotlety schabowe z kartoflami i surówką. Oprócz kilku greckich widoczków na ścianach z Helladą nic tego przybytku nie łączyło.

– To miały być kiedyś Nowe Ateny – rzuciłem znad kotleta z surówką. – Ale za mało było antycznego ducha w tych wieśniakach z Gołębia i Końskowoli.

Kręcina zamówił schaboszczaka. Wcinał go, tylko uszy mu się trzęsły.

– W zasadzie nie mam tutaj z kim rozmawiać... – piłem cienkie piwo z lokalnego browaru. – Ludzie z okolicy przybyłe, z Końskowoli i Gołębia, za awansem ekonomicznym nie poszedł awans intelektualny. Puławy chcą być miastem turystycznym, ale wszyscy je omijają jadąc do Kazimierza Dolnego i Nałęczowa. Nieszczęśliwa lokalizacja... – urwałem, bo Kręcina nie słuchał, kończył jeść surówkę.

Poszliśmy do Mariny. Nie była to żadna ukraińska krasawica, dorabiająca na boku, których wiele zjechało do Puław i w okolicę, tylko port rzeczny nad Wisłą.

– Jednego razu wjeżdżałem do Puław autokarem od strony Radomia – uśmiechnąłem się – i podsłuchałem rozmowę starszych ludzi, którzy nie byli w Puławach od 20 lat. Facet powiedział: „Zobacz Henia, jaką w Puławach fajną oczyszczalnię ścieków wybudowali”.

Kręcina zarechotał, kiedy się napił, bawiły go moje żarty, które były specyficzne, niektórzy chcieli mi za nie gębę obić. Niedawno miałem spotkanie autorskie w Kole. Siedziałem przy stoliku czekając na czytelników, w eleganckiej koszuli. Wszedł jakiś dziadek i spytał, czy tutaj można zapłacić składkę stowarzyszenia weteranów wojennych, które mieściło się po drugiej stronie korytarza. Powiedziałem, że oczywiście, tylko pokwitowanie oddam mu jutro. Dziadek wyciągnął kasę, a ja w śmiech. Dyrektorka pewnie już mnie więcej nie zaprosi. Jeszcze głupsza od niej jest dyrektorka z Puław. Zrobiła mi jedno spotkanie, za które jako jedynne miejsce w kraju – nie dostałem honorarium. Jeszcze była obrażona, że mało ludzi przyszło w grudniowy deszczowo-śnieżny wieczór. Mała prymitywna dziewczina w wieku sześćdziesięcioletnim. Brzydkie to i głupie, nie ma się co dziwić, że nikt tego nie chciał.

Ruszyliśmy z Kręcina deptakiem wzdłuż Wisły. Jej poziom bardzo opadł, widać było kamienie, a także mnóstwo śmieci. Oglądałem kiedyś przedwojenne fotografie, na których miasto było zwrócone do rzeki. Ludzie wypoczywali na piaszczystej plaży. Dopiero niedawno wycięto nadrzeczne chaszczki i zrobiło się tutaj ładnie. Szliśmy, a w pewnej chwili absurd – deptak się skończył. Nad rzeką znajdowała się czyjaś posesja. Trzeba było wrócić do głównej drogi, obejść zagrodę i wrócić na deptak.

– Ktoś nie dogadał się z magistratem – wyjaśniłem miejskiemu wieśniakowi – i nie sprzedał kawałka tej ziemi nad rzeką.

– Mógłby przynajmniej frytki tutaj sprzedawać – beknął praktyczny Kręcina. – Albo budkę z lodami postawić... – rozmarzył się. – Jak skończę z wydawaniem książek, zajmę się małą gastronomią. Zawsze tak chciałem, tylko mi nie wyszło. Ale może się jeszcze uda... – w jego oczach widziałem zapiekanki i hot-dogi, a także ludzi płacących za nie po cztery złote.

– W Puławach jest najwięcej profesorów w stosunku do liczby mieszkańców, ze względu na obecność tutaj kilku instytutów – rzuciłem. – To paradoks, bo nigdzie nie spotkałem tak wielu durniów. Wszystkim tutaj brakuje rozmachu. Niby bogato, ale każdy jakiś taki stłamszony, jest w tym coś upokarzającego. Ludzie żyją, ale jakby na niby, ledwo, ledwo. Co jakiś czas puszczają szwy i ktoś popełnia samobójstwo

– powiedziałem, kiedy szliśmy wzdłuż ogródków działkowych. – Niedawno gość pokłócił się z żoną, poszedł na działkę i się powiesił.

Ludzie nie wytrzymywali presji. Kredyty, praca, ambicje. I tak się to kończyło. Takie czasy.

– Wszyscy, którzy mają rodzinę w Azotach, żyją dobrze. Inni – dużo gorzej – mówiłem. – Taki urok przemysłowych miasteczek. Tak jest w pobliskich Kozienicach, gdzie obowiązuje niepisany podział na tych, co pracują w elektrowni i pozostałych. Kozienice są miasteczkiem zapyziałym, niektórzy twierdzą, że skurwiały. Tam często dochodzi do rękoczynów, nienawiść jest powszechna... – myślałem o tym, że w Puławach nienawidzono głównie Cyganów, a było ich tutaj wielu, cała dzielnica zwana Romowem. W Kozienicach zaatakował mnie jakiś lokalny pisarz z córką, którzy prowadzili do spółki moje spotkanie. Cytowali podczas niego wpisy z forów internetowych pod recenzjami moich książek. Tylko te nieprzychylnie. Chciałem dać mu w mordę, ale jego córka mnie powstrzymała. A właściwie – jej atak padaczki, którego dostała, chyba z emocji. Następnym razem mu zajebię, jak będzie bez córki. Czasem żałuję, że muszę się hamować, jak atakuje mnie jakiś krytyk. Kiedyś to były czasy, jak grałem w nogę, mogłem wszystko. Gramy mecz ligowy, nasz obrońca kasuje wślizgiem od tyłu napastnika przeciwników w polu karnym. Powinna być czerwona kartka i rzut karny, a tu nic. Zaraz kontra i ja wpadam w ich pole karne. I tu mnie kosi brutalnie ich stoper. A sędzia nic. Zaczyna mnie od patałachów wyzywać nasz kibic. Zbieram się, przeskakuję przez barierkę i biegnę do niego. Pytam, czy był już w kościele, bo mecz graliśmy w niedzielę. Ten potakuje. Kopię go wtedy w głowę, ten spada z ławki i traci przytomność. Dostałem za to pięć meczów dyskwalifikacji – kopnąłem niewielki kamyczek, a ten upadł przez drzewiczki na czyjąś działkę. Moje uderzenia ciągle były celne, ale na wielką karierę piłkarską już nie mogłem liczyć. Musiałem ją sobie jakoś zrekompensować. Tylko jak zostać mistrzem Polski, królem strzelców i zagrać w reprezentacji z orzełkiem na piersi?

– Krytyka złośliwego trzeba bezlitośnie tępić – ciągnąłem, chociaż Kręcina był nieco zażenowany tym, co mówiłem. Załatwiał swoim pisarzom rozmaite nagrody, z krytykami był często w znowie. – Zwłaszcza wtedy, kiedy tylko krytyk sączy jad, a recenzja, którą popełnił, jest mało merytoryczna. Recenzję złośliwą, ale fachową, na której napisanie krytyk poświęcił nieco czasu i energii, przerył dzieło od okładki do okładki, jeszcze jestem w stanie strawić. Niekiedy jednak ewidentnie widać, że facet się odgrywa, bo kiedyś autor omawianego dzieła nastąpił mu na odcisk. Sfrustrowany pisarz z Łodzi stał się moim zawziętym krytykiem. Zwyczywał mnie na jakimś forum od grafomanów, ewidentnie nie mając moich książek w rękę (wskazywały na to liczne błędy w interpretacji, gdzieś tam coś wyczytał w Internecie, ale to w innym kościele zwykle dzwonił, niż mu się to zdawało) oraz naubliżał mi od łamag sportowych. Puściłem mu to jednak płazem, bo byłem zajęty grą w piłkę błotną. Ale kiedy niedawno zarządzany przez niego portal zamieścił bardzo niesprawiedliwą recenzję filmu „Księżstwo”, nie zdzierżyłem. Recenzja została podpisana przez jednego z jego redakcyjnych podwładnych, który zajmuje się tam... dziennikarstwem sportowym i zbieraniem reklam. Cóż za zbieg okoliczności, że akurat była to pierwsza recenzja napisana przez tego sportowca? Łódź to filmowe miasto, widocznie magia kina udziela

się tam wszystkim. W recenzji są takie kwiatki, jak „sprawna gra aktorów”, albo że „nie ma musu” (żeby obejrzeć ten film). Styl informacyjny miesza się ze stylem „od siebie”. Autorowi recenzji Puławy zdają się leżeć w północno-wschodniej Polsce, a ja – wydałem niby wszystkie swoje książki własnym sumptem. Oto, co pisze: „*I trudno się dziwić – kim jest ten człowiek? Zapewne 95% społeczeństwa nie ma pojęcia. I nie będzie. Czy warto go poznać? Nie ma musu i nie trzeba nawet się nad tym zastanawiać. Lokalny celebryta gdzieś z północno-wschodniej Polski ma jednak sporo zapachu*”. W recenzji filmu atakuje autora książki? Sic! Recenzja ukazała się 13 maja, a film w łódzkich kinach szedł od końca maja... Nie sądzę, że krytyk widział ten film gdziekolwiek indziej, chyba że w Goa albo w Kalkucie... Wyglądało na to, jakby ktoś poczytał trochę w necie i wypocił coś na szybko, żeby tylko mi dokopać – w imieniu szefa, na życzenie szefa, czy też – używając tylko szefowi swego nazwiska?

Zapanowała cisza. Czy kogoś obchodziły problemy pisarzy? Myślałem o tym, jak jeden producent filmowy sugerował, żebym został nocnym stróżem, wtedy będę miał pewną pensję i czas na pisanie książek. Nocnym stróżem! A ten palant będzie się woził bryką za moją krwawicę!

– Zadzwoniłem do owego recenzenta, który przyjmuje także reklamy i przedstawiłem się jako przedstawiciel firmy produkującej prezerwatywy. Zaproponowałem, że moja firma wykupi baner na cały miesiąc na ich portalu, rozumiesz, niezła kwota, i czy im to nie przeszkadza, że to kondomy. On, kuszony wizją prowizji, że nie. W takim razie mówię, że to specjalna limitowana seria, dla... homoseksualistów. I czy to by im nie przeszkadzało. Ten na to, że absolutnie nie ma przeszkód. Mówię więc, że to świetnie, tylko jest jeszcze jeden problem, bo ta seria nazywa się „Chuj ci w dupę!”. Delikwenta nieco przytkalo, ale mówi, że zapyta szefa, no bo to jednak wulgaryzmy. Ale dalej traktuje moją ofertę poważnie, bo już widzi prowizyjkę na swoim koncie. Każę, by spytał szefa, czy „Chuj ci w dupę!” może być i obiecuję wysłać oficjalną ofertę na mejla.

– I co było potem? – spytał Kręcina, gdy przechodziliśmy obok pizzerii na rogu ulicy. W tym miejscu na rogu ktoś ciągle coś otwierał. Była agencja bankowa, ciuchland, dom obuwniczy, a od paru lat co pół sezonu jest pizzeria. Co pół roku nowa, inny właściciel. To miejsce się nie sprawdza, ale ciągle ktoś wierzy, że to jemu się uda. A w Puławach niewiele się udaje. Państwo raczej wykańcza drobną przedsiębiorczość zamiast ją wspierać. I nikogo to nie obchodzi. Dlatego młodzi ludzie wolą emigrować na Wyspy albo do Niemiec. Tam start był łatwiejszy.

– Potem śmiałem się z tego pół godziny. Ulżyło mi, bez wątpienia – ruszyłem brzegiem rzeki do parku.

Napotkaliśmy tam grupkę Czartoryjskich oraz Książnina, który właśnie przemawiał. Wyglądał jak Woland, który instruuje swoją świtę. Książnina to była tylko jego ksywa. Dlatego, że był poetą. Może raczej: pisał wiersze. Próbował pisać, bo słabo mu to wychodziło. Były to gówniane wiersze gównianego prowincjonalnego wieszca. W tym mieście nie było poetyckiej aury – co najwyżej unosiły się tutaj opary z zakładów chemicznych. Jakie miasto, taki wieszcz. Czasem, kiedy pojawiała się mgła, miała ona

odcień zielony. Jeszcze niedawno zanieczyszczenia były takie, że jak kobiety szły do pracy, to im się pończochy rozpuszczały od tej chemii.

Azazello, kot Behemot, Fagot, Abbadon i Hella – to była cała świta Wolanda-Książnina. Pili tanie wino.

Kiedyś to byli prawdziwi wieszcz. Teraz ludzie chcieli tylko zreć, pić i pieprzyć, taka prawda, a nie wierszy słuchać. Powoli traciłem wiarę w prawdziwą poezję. W prozę jeszcze trochę wierzyłem. Produkowaną dla własnego pożytku. Sobie pomnik stawiającą. Dokumentującą czas, w którym się żyje.

Czartoryjscy siedzieli pod wielkim klonem kanadyjskim, chyba trzystuletnim. Ponoć zasadiła go sama Izabella Czartoryska. Jej duch w nocy nawiedzał park, tak przynajmniej twierdzono. Dlatego na noc go zamykano. W parku rosło wiele starych drzew. Co jakiś czas przychodziła wichura, która niszczyła kolejne, wyrzucała z korzeniami albo łamała gałęzie. I tych śladów po wielkości Puław było coraz mniej. Ale co to była za wielkość? Nieduża wieś kiedyś, a teraz takie aspiracje. Zabudowania folwarczne wokół pałacyku Czartoryjskich, ot, to wszystko. Czymś takim mógł być choćby Nieborów, gdyby tam powstały zakłady chemiczne, albo elektrownia.

Kiedy wiał wiatr, nie można tutaj było przebywać. Nie chodziło tylko o stare drzewa, których konary mogły spaść na głowę. Po prostu Czartoryjscy trochę śmierdziali, jak powiało od ich strony, trzeba było wykręcić głowę w innym kierunku.

– Nazwę miasta wyjaśnia opowieść ludowa – szepnąłem do Kręciny. – Zawisza Czarny zmęczony podróżą do pobliskiego Garbowa zatrzymał się w osadzie, aby odpocząć. Kiedy usiadł na łące, ta pod jego ciężarem złamała się na pół. Rycerz wtedy krzyknął: – A niech to będzie pół łący!

Książnin napuszył się na mój widok. Pisał ody, wierzył w moc przestarego gatunku. Wierzył w moc gatunku ludzkiego, który reprezentował – był poetą. Wygłaszał swe wiersze stając na pniaku po jakimś wielkim drzewie. Czartoryjscy mieli ubaw, kiedy go słuchali. Duchy Czartoryjskich także musiały mieć niezłą zabawę, jeżeli kręciły się po parku.

Każdy bał się lwów Sybilli. Były dwa, kamienne. Strzegły wrót do dawnej świątyni dumania, którą wymyśliła jaśniepani Izabela Czartoryska.

Książnin czytał Odeę do samego siebie. Czartoryjscy bili mu brawo. Dali wiśniówki w nagrodę. Zadowolony wieszcz patrzył na mnie z pogardą, jakby chciał mi dać w ryj.

– Co się franco gapisz? – Wyszedłem mu naprzeciw.

Był kiedyś strażakiem w pobliskiej Końskowoli, ale go zwolnili za pijaństwo. Kiedyś podesłałem jego tomik mojej koleżance krytyczce, która zrobiła z niego miazgę. Jego zięć groził jej potem pobiciem na portalu społecznościowym. W Końskowoli byli także tacy, którzy tworzyli wiersze patriotyczne, cała grupa, Bóg, Honor, Ojczyzna – tak się zwali. Książnin przydreptał do mnie wymachując swymi tłustymi łapskami, którymi pewnie trudno mu nawet trzymać fiuta przy sikaniu, nie mówiąc

o zwaleniu konia. Wyglądał jak pingwin, który udaje orła.

Jakąś odę na chwałę wsi Końskowola zaczyna głosić. Zrobiłem unik, prawie rozplaszczyl się na starej sośnie. Zwód typowo piłkarski. Może jest jeszcze dla mnie jakaś futbolowa nadzieja, nie straciłem refleksu? Tylko teraz już nie za każdą piłką będę gonił.

– O, to takie wiejskie, mów! – zachwycił się mój pijany kompanion Kręcina. Wieś siedziała w nim głęboko, wieś, którą starał się stłumić. Dlatego lubił moje pierwsze książki, bo były takie wiejskie, prawdziwe.

Zabrałem go stamtąd prawie siłą.

– Ludzie tutaj żyją w mieście, a jakby na wsi byli. Puławy są miastem od niedawna – tłumaczyłem Kręcinnie. – Dlatego pewnie dobrze się tutaj czujesz. Trochę zadupie, ale przynajmniej spokojnie. Jeszcze nie tak dawno była to wieś. Dlatego największą imprezą kulturalną jest tutaj majowy festyn disco polo. Jest jeszcze święto truskawki w Górze Puławskiej. Największe gwiazdy przyjeżdżają – druwiłem, bo żał mi wiejskich przyspiewek mojego ojca spod Świętego Krzyża. Kiedyś mnie śmieszyły, teraz wydawały mi się czymś ciekawym. Może to z sentymentu do dzieciństwa, które przeminęło.

– Wysłałem ofertę do niewielkiej biblioteki w Łagowie pod Kielcami. Pytam, czy mnie kojarzą, bo ja z ich stron i może bym zajechał kiedyś na jakąś imprezę literacką. A babka pisze: Oczywiście, że Pana kojarzymy. 15 lat temu pożyczył Pan książkę o Gombrowiczu i do tej pory nie oddał... Nieważne. Życie kulturalne praktycznie tutaj nie istnieje – powiedziałem. – Miejscowy dom kultury najlepiej organizował dożynki,

a biblioteka powiatowa zajmowała się głównie wydawaniem książek o tematyce kucharskiej. To była strategia upowszechniania kultury. Była jeszcze wydawana na ksero gazetka powiatowa, jakiś tygodnik. I to wszystko. Cała spuścizna po Czartoryskich.

Obszedłszy miasteczko, znowu przechodziliśmy przez okolice parku. Była godzina 22, park był zamknięty. Kręcina upierał się jednak, żeby wejść.

– Muszę lwy pogłaskać po łbach... – przelazł przez ogrodzenie.

Ostrzegłem go, żeby nie szedł, bo one w nocy grasują po parku, dlatego się go na noc zamyka. Takie są lokalne legendy. Nie uwierzył. Przelazł przez ogrodzenie i poszedł. Po jakimś czasie rozległ się jego głośny krzyk i coś jakby porykiwanie lwów. Wzdrygnąłem się i zadzwoniłem. Okazało się, że telefon musiał wypaść mu, kiedy przechodził przez ogrodzenie, bo zaświecił w trawie, tuż za kratami. Obawiałem się przejść przez ogrodzenie. Wróciłem przestraszony do domu.

Rano żona wróciła z synkiem od teściów. Pyta mnie, co się stało z Kręcina, czy już pojechał, bo jego aktówka została.

– Chyba zjadły go lwy.

Rozbawiło ją to do łez. Kazała mi szukać redaktorka. Poszedłem do parku, do lwów. Miały krew na kamiennych mordach! Przed jednym z nich leżał but Kręciny! Stwierdziłem, że chyba musiały go pożreć w całości. Wróciłem do domu, a tam siedział Kręcina i pił kawę, skacowany. Całą noc chlał bimbler z Czartoryjskimi. ●



Zbigniew Masternak
Fot. Renata Masternak

Proza

Bezdeń

Maciej Melecki

Zapiski II

– To kiedy moglibyśmy się tego spodziewać?

– Kiedyś w przyszłym roku.

Nicestwienie życia i świata odbywa się na skutek spiętrzenia procesów rozpadu i atomizacji, jest coraz bardziej faktyczne, namacalnie odbieralne, wkradające się w postrzegalność bieżącej wydarzeniowości. Rozplenianie się nicości – jako subiektywnego stanu – wywołuje intensywne wrażenie widmowości przestrzeni realnych, ujawniając tym samym ich fikcyjny charakter, oparty na złudnym poczuciu trwałości i ważności, na umowności norm i zasad, odpowiedzialnych za międzyludzkie relacje. Wszystko zdaje się być podszyte bliskim schyłkiem, poczuciem wszechobecnego kresu. Śmierć wydaje się panować niepodzielnie – anektuje nawet te obszary, które wcześniej były odbierane jako bardziej swobodne i stanowiły witalistyczne źródła nie tylko poetyckiej energii. Jak twierdzi Emil Cioran: „Tylko jeśli w każdym momencie ocieramy się o śmierć, mamy możliwość pojąć, na jakim szaleństwie ufundowana jest wszelka egzystencja”. Życie to więc rozszerzająca się stale pułapka, z której nie sposób się wyszamotać, ze względu na jej wielopostaciowość, czyhającą nieomal konkretnie na każdym kroku.

Poezja jako nieustanny przekładaniec różnych form i rejestrów językowych – w swych doskonałych realizacjach – jest domeną nieprzezwidywalności wynikającej z ruchów ujawniających paradoksalny świat, wyzuty z rozumowych i logicznych ujęć. Taką właśnie poezją była dla mnie twórczość poetycka Jerzego Górzeńskiego. Cierpka i przewrotna, na styku magii i powszedniości, bliska w swym sugestywnym anturazie, acz przedstawiająca krainy swobodnych asocjacji. Górzeński – jak żaden bodaj poeta polski – nie odstąpił od hołdowania takim właśnie grom i ruchom aż do końca. Poetycka Kontrabanda przeprowadzona aż po skraj silnego głosu i nieustannie jawiącego się skończonego życia – ów *Święty brud*.

Ciosy spadają zazwyczaj z najmniej spodziewanej strony. Dziwna jest więc natura owych znanych, opatrzonych stron. Ale wystarczy odwołać się do towarzyszącego, niekiedy bardzo mocno, przeczucia, ażeby odnaleźć w tym jakąś mętną logikę, podszeptującą, że – tak czy siak – ma się wpływ tylko na siebie. Kiedy oddaje się siebie innym, powierza swoje zamiary jakimś mocom – zazwyczaj się przegrywa. Zrób to sam! – tak brzmiało niedłusiejsze hasło. I brzmi wciąż odpowiednio wobec coraz to nowych okoliczności, które usiłują cię zmielić na proszek.

Księżyc szczydry w swej pełni jak obol nicości, pieczętujący docięnięte wargi stulonej gęby nieba.

Ślizgawka dreszczy.

Zamarznięte błoto. Ośnieżony chodnik. Zza rogu wyłania się młody mężczyzna i z trzymanego w lewej dłoni plastikowego worka wyrzuca łopatką szarą, sypką materię. Przechodzę po niej i zauważam, że jest to zmieszany z solą popiół. Gęsto sypiący śnieg szybko opada na te żrące ślady, lecz po chwili wyłania się spod tych warstw szary pas brukowej kostki.

Poproszono mnie, żebym opowiedział o najważniejszej osobie mojego życia. Redaktorka gazety zasugerowała mi, żebym jak najszybciej napisał o tej osobie. Po krótkiej chwili namysłu odpowiedziałem jej, że żadnego tekstu nie napiszę, że jedynie mogę jej opowiedzieć. Zgodziła się. Cała noc myślałem o tej jedynej osobie. Nikt nie przychodził mi na myśl. Nikomu widocznie nic nie zaawdziejcam.

Homo suspens.

Stoję przy pocztowym okienku. Nadaję przesyłkę z książką Wojaczka dla Konrada Wojtyły. Zauważam leżące na biurku urzędniczkę znaczki z czyjąś podobizną. – Przepraszam, a te znaczki to z czyją podobizną? Urzędniczka leniwym okiem spogląda na serię tych samych znaczków, bierze je do ręki, przygląda się z bliska. – A to z jakimś przedwojennym aktorem. – Mogę zobaczyć? Dopraszam się. – Tak, proszę. Na znaczku istotnie jest podobizna jakiegoś aktora. Jego nazwisko niewiele mi mówi. Oddaję więc znaczki urzędnicze. – Mogliby wypuścić znaczki z poetami – prowokacyjnie zagaduję. – Tak, najlepiej z poetami-aktorami – cierpko konstatuje urzędniczka. – Takimi, jak ten pana kolega. Ten sobie použíwał z tą Ostałowską na filmie – dopowiada. – No tak, použíwał sobie bardzo – dodaję.

Żyjemy coraz bardziej i intensywniej w czasach narastającej ekspansji konsumpcji, stanowiącej zarazem bezpośrednie zagrożenie dla wszelkich form ewidentnie niepodlegających komercji czy społecznej użyteczności. Rzeczywistość została pojmana i wprowadzona przez sieć niekończącej się symulacji, w której znaczące elementy przestały już być znaczone przez autentyczne, wyjątkowe wydarzenia. Dyktat prymitywnego epatowania faktami, które w komentarzu urastają do rangi determinującego nasz los zdarzenia, doprowadza do wykluczenia tych przestrzeni aktywności ludzkiej, które – ze swej natury – są niemierzalne, niesprawdzalne i niepoliczalne, a które stanowią zarazem kamień węgielny dla rozwoju

kultury jako takiej. Owe wyparcie czyni coraz większe zagrożenie i uaktywnia mechanizmy niwelujące wszystkie formy nie mieszczące się w ciasnych ryzach definiowalności.

Stoję w długiej kolejce do kasy w Biedronce. Jest duszno. Zewsząd oblepiają mnie ludzie. Na swoich plecach czuję pomruki irytacji stojących za mną. Kasjerka bardzo prędko uwiija się z naliczaniem towarów. Sprawia urażenie, jakby była w amoku. Większość czynności i odzywek wykonuje niemal mechanicznie. W pewnym momencie, po naliczeniu paru towarów, zwraca się do starszego, pokancerowanego kupującego: Gotówka czy karta? Pokancerowany, trzymając 50-złotowy banknot w popękanych, spracowanych dłoniach szybko ripostuje: Piniądze.

O malarstwie Agnieszki Czyżewskiej: Zniesienie jakiegokolwiek transparentności i unicestwienie figuratywności w polu odbioru świata zdają się być podstawowymi kwestiami kierunkowych napięć, które są podobrazem poszczególnych wizji nanoszonych w efekcie na obrazy Agnieszki Czyżewskiej. Albowiem widać wyraźnie dominujące w malarstwie Czyżewskiej zasady wywodzące się bezpośrednio z tradycji filozoficzno-estetycznej – związane z postrzeganiem zjawiskowości rzeczy, realizowane w kategoriach niwelujących jakakolwiek możliwość klasycznie proporcjonalnego przedstawiania, które wywoływane są raz po raz szerokim kątem namysłu nad sposobami unaocznienia nieprzedstawialnej obecności wszelkich postaci emocji, wrażeń czy intelektualnych myśli. Skłębienie linii, zakrzywienie planów, ostre zacieranie konturów oraz gwałtowne przeskoki podejmowanych wątków to atrybuty niewątpliwie służące osiągnięciu przez autorkę głębokiej dynamiki przekazu, który zarazem umyka jakimkolwiek próbom definiowania samej treści. Byłaby to swoista realizacja Czystej Formy – posługując się terminologią Witkacego – wsparta ekspresjonistycznym i abstrakcyjnym rodowodem mającym swoje silne zakotwiczenie w malarstwie Jacksona Pollocka i Willema de Kooninga. Tegoż rodzaju proveniencja okazuje się zmienną ogniskową, idealnie mieszczącą postulatyczny charakter prac malarskich autorki. To właśnie w owej zmienności – jako jednostkowym zoomie, wyłaniającym się częstokroć z ukosa, energicznie pokazującym szereg linearnych zerwań i niezwykle sugestywnie ukazującym załamywanie się wszelkich postaci widzialnego – trwa nieustannie rodzaj malarskiej fluktuacji, wytwarzanej dzięki nacierającym na siebie wizjom, która generuje w konsekwencji stan ujawniający proces wkradania się w iluzję klasycznej percepcji naturalnego zaburzenia. Dzięki niemu możemy również obserwować skalę degradacji sfalsyfikowanych treści, uchodzących za prawdziwe w tradycyjnych ewokacjach. Obraz byłby tedy – w autorskiej, przypisywanej mu intencji – niezależnym od wszelkiej powinności spektrum wykluczających się i częstokroć antynomicznych wymiarów, a także niepodległym prawu ciężenia zbiorowiskiem niewyhamowanych niczym przemieszczeń, które to elementy, dzięki swej stałej płynności, naruszają zastygłą klatkę realistycznego kadru czy fragmentu, jako odprysku rzeczywistości zewnętrznej. Ostentację ową uruchamia zawsze potrzeba gestu. W tym

wypadku – wymierzonego w dyktat osaczenia racją faktu, ujmowaną – dodajmy – zawsze werystycznie, którego to bezpośrednią emanacją jest rozpleniona kultura obrazkowa. Agnieszka Czyżewska zdecydowanie lokuje się w kontrze wobec takiej opresji, manifestacyjnie sięgając w zdeformowane i widmowe zaświaty nie tylko swoich odczuć czy przeżyć, i z wielką swobodą, graniczącą z dezynwolturą, skutecznie je transponuje w swój – jedyny i konieczny – świat spiralnych i meandrujących uwidoczeń. Walorem takich wyborów, wynikających z głęboko zakorzenionych artystycznych doświadczeń, jest nieustanna praca w toku, przynosząca stałe rozszerzanie zakresu coraz to bardziej radykalizujących się form, których istoczeniem jest narastający natłok spiętrzeń – brauurowo wykraczających poza konwencjonalną ramę odbioru – stanowiących dla autorki wypadkową sumę pęknięć i rozszczępień, składających się na spolaryzowany obraz życia i świata.

Gdybym tylko mógł ostatecznie pogrzebać w sobie choćby jeden kajdan, forsowanie kolejnych barier byłoby swobodniejsze. Marne ostatnie dwa dni są tego kapitalną egzemplifikacją. Po takiej porcji zniewag, jakie w piątek otrzymałem, nie powinienem z powrotem się tu pojawić, tylko natychmiast, raptownie, zakończyć tę absurdalną już w istocie relację. Ale ów trzymający mnie ciasno w swym uchwycie kajdan zewnętrzności znów zaczął powodować dopuszczanie skrupułów, wyrzutów sumienia, wreszcie: przejawy wygodniejszych, bieżących zachowań, w samej swej postaci potwornie złudnych. Jest to, w efekcie, jednakowoż odrażające, jak i ponętne, bo smakuje jak jakaś gorzko-słodka mieszanina paru popolitych smaków, której spożycie niesie ze sobą iluzoryczną obietnicę chwilowej poprawy, lepszego – acz niebywale ulotnego – samopoczucia. Do tego fatalny stan – zapalenie oskrzeli, które być może przeradza się w coś większego. Klęska więc całkowita. Jawię się samemu sobie jak sprasowany placek łajna. A poczucie straty to – nie tylko w tym wypadku – ścierwo czasu.

A' propos czasu. Rzadko odczuwam jego ubytek. Zazwyczaj wydaje mi się, że mam go pod dostatkiem. Jest to niebywałe, oczywiście samooszustwo, graniczące z infantylnym wmauwianiem sobie istnienia rzeczy niemożliwych. Ale to właśnie – być może – jakoś mnie przed nim ratuje, choćby incydentalnie, chwilowo, w wąskim paśmie przedzierania się przez gąszcz rzeczy, których uosobieniem są ludzie napędzający się nieustannie potrzebą permanentnego wykonywania jakichś czynności, które – wedle nich – zapewniają im poczucie ważności, gdyż czują się dzięki nim użyteczni. Tak zachłanne oddawanie się owym czynnościom jest z pewnością rodzajem sublimacji. Najprawdopodobniej w ten sposób chcą samych siebie przechytzyć, aby się przed dotkliwą jego – czasu – pracą zwieść. Uśmierzenie bólu kawałkami zamrożonych pompy.

Na pewno znów nie wiosnę zobaczę, tylko sparszywiały kraj wypełniony tępą masą, kierującą się żądzą odwetu i pomsty, która, jak piana z jego pyska, będzie się jeszcze bardziej wylewać na ekranach i gdzieniegdzie

na ulicach. Przyjdą i wywalą cię na suchą mordę ulicy, a na niej będzie już stał kordon z ujadającymi owczarkami polskimi.

Problematyka opisu głosu posiada swą długą i zagmatwaną historię. Od momentu zwrócenia baczniejszej uwagi na to, czym ewentualnie jest głos i czym, zarazem, może głos być, wyłoniono szereg – niekiedy sprzecznych mocno – teorii z różnych pól nauki, w których ów fenomen stanowił coraz bardziej zagadnienie dominujące lub odbierany był jako silny punkt odniesienia. Głos jako dźwięk będący nośnikiem treści, ale też głos jako dźwięk czysty, teje treści pozbawiony – oto dwie podstawowe kategorie rozróżniające, z których pierwsza należy ewidentnie do sfery użyteczności, druga zaś leży poza nią. Użyteczność głosu jawi się jako konwencjonalnie tradycyjna kwestia słownego przekazu, gdyż słowo pozbawione dźwięku nie istnieje w komunikacyjnym kanale, albowiem dźwięczność modeluje krój słowa, nadając mu określoną nośność, a także zespała sam głos z literą, dzięki czemu słowo przyobleka się w domniemaną figurę, która jest odpowiedzialna za stworzenie postaci znaczenia. Arystoteles – pierwszy w dziejach ludzkości autor tegoż rodzaju wizji głosu jako kształtu zatopionego w słowie – niewątpliwie stanął u zarania takiego podziału, narzucając tym samym wielowiekową wykładnię dychotomicznego ujęcia, a także kładąc podwaliny pod fonocentryzm – główny obiekt ataku Jacques’a Derridy. Arystotelesowskie definicje zjawisk ontologicznych, w swym rozplenieniu i głębokim wnikięciu w dziejową świadomość, stanowiły i stanowią nadal próg w tradycyjnym odbiorze odpowiedniości rzeczy do słowa i ich rzekomego spotkania, budującego przestrzeń oczywistości, która ruguje z myślenia o życiu czy świecie podstawowy składnik fałszu – czyli umowność. To, że dany głos o czymś może nas powiadamiać, wynika właśnie z takiej strefy ludzkiej zgody na przyjęcie zdeponowanej w znaku litery treści, oznaczonej przypisanemu mu znaczeniu. Historia uwikłań w tegoż rodzaju zasadzki pokazuje gigantyczny miraż, jakim jest teoretyczna adekwatność przywołanej rzeczy do słowa mającego oddać jej tyleż znaczenie, co kształt lub formę. Głos byłby więc napędem owego znaczenia wykwitającego ze słowa, skierowanym w stronę rozczytania nie tyleż ogólności zawartej w owym słowie, co raczej pojedynczości – niewątpliwie przechowanej w słowie.

Po dziesięcioletniej przerwie od opublikowania w 2006 r. poprzedniej książki poetyckiej *Morze i inne morza* Marek Krystian Emanuel Baczeński ogłasza swój nowy tom wierszy *Projekt Orfeusz*. Tytuł brzmi nieco kryptologicznie, a zawartość tomu rozpisana jest – jak ma to miejsce w liryce Baczeńskiego – na wielogłosowy rejestr najróżniejszych zagadnień epistemologicznych. Dla Baczeńskiego wiersz jest szerokim polem podejrzeń wobec mistyfikacji współczesnego świata i zdanego na niego życia, częstokroć ukazywanego – autorskim piśmem – poprzez pryzmat odniesień filozoficznych czy literackich. Baczeński od samego początku dawał się poznać jako poeta sprzęgający narracje intertekstualne z problematyką wyrażalności prawd nie do końca oczywistych, skrywanych lub odrzucanych przez opresyjny tygiel kultury. W nowo

wydanym tomie dzieje się nie inaczej. Liczne nawiązania w początkowych partiach książki do Kalki, Becketta czy Pessoa kierunkują tropy odczytań, lecz charakter kontynuacji dystyngtywnych motywów tych pisarzy jest niekiedy mocno przewrotny lub zaprawiony – wielce zbawienną – ironią. Daje to w sumie spore możliwości odbierania dalszych wierszy pochodzących z tej książki jako – właśnie – projektów, fundowanych na prawie otwartości tekstu, w którym czynnik poetycki staje się motorem napędowym, zaogniającym i problematyzującym kwestie przekazu treści. Wedle Baczeńskiego zmagamy się nieustannie z fałszywą naturą samego słowa. Zawiera bowiem ona sensotwórczą podwójność, zależną od przypisywanej słowu intencji, która wytraca i rozszczepia przydane mu pierwotne znaczenie, traktowane dotąd jako stabilne ogniwo w komunikacyjnym łańcuchu. Stąd traktatowy model samych wierszy, wypełnionych różnymi rodzajami krytycznej i cierpkiej medytacji nad dobywanymi zjawiskami historyczno-filozoficznymi czy tekstologicznymi. *Projekt Orfeusz* sięga bez mała do tradycji awangardowych, ma swoich patronów (Wirpsza, Karpowicz, Borges) i ewidentnie ustawia się w kontrze wobec – tak modnej ostatnio – poetyckiej publicystyki, dając możliwość otchłannego wejrzenia we współczesne mitologie.

Wbrew pozorom nazwiska – szczególnie te coś znaczące lub zawierające cząstkę lub szczyptę znaczącego – są niezwykle istotne w danym kontekście, a już na pewno w kontekście literackim. I tak, na przykład, spotkanie z Krzysztofem Siwczykiem poprowadził w pewnej bibliotece Jerzy Zdechlikiewicz.

Prawdopodobnie idealna do zamieszkania wioska ze względu na nazwę właśnie: Miały.

Kasa PKP. Kasjerka podaje mi kupiony bilet przez okienko. Nagle wyłania się za mną korpulentna kobieta z biletem w dłoni, nerwowo nachyla się do okienka i z nieskrywanym zaniepokojeniem w głosie pyta kasjerkę: – Przepraszam bardzo, ale ja mam na bilecie numer wagonu 486. To tyle jest wagonów w tym pociągu? – Nie, proszę pani – odpowiada lekko zaskoczona kasjerka, oglądając jednocześnie podany jej bilet. I dodaje: – To taka numeracja. Wagonów w tym składzie jest sześć. ●

Proza

Robert Rutkowski

NIC Z WYJĄTKIEM

Z okna stojącego przy zatłoczonym przystanku autobusu obserwuję mężczyznę, który chowa się za wiatą. Przekonany, że nikt go nie widzi, robi znak krzyża, składa ręce i zaczyna się żarliwie modlić, co chwilę unosząc wzrok ku ciemnemu jeszcze, grudniowemu niebu. Gdy autobus rusza, znam co najmniej kilka historii, które mogły doprowadzić go do tego miejsca. Każda z nich kończy się tym samym, nachalnie pouracającym pytaniem: „Jak bezsilny musi być człowiek, któremu nie pozostało już nic z wyjątkiem Boga?”.

PODSŁUCHANE

- Jaki temat wybrałaś sobie na ustną maturę z polskiego?
- Będę mówiła o biografii jako kluczu do odczytania twórczości Jana Kochanowskiego.
- A dlaczego nie weźmiesz czegoś ze współczesności?
- Ze współczesności? Przecież ja nic nie wiem o współczesności. Do tego nie ma książek.

DYSTANS

Z miękkiego fotela śledzę w telewizji relację ze zbombardowanego szpitala dziecięcego w Aleppo. Według Google od tamtego miejsca dzieli mnie teraz w linii prostej dokładnie 2225 kilometrów. Bezpieczny dystans, który z każdą chwilą maleje.

CZY WIESZ, JAK TO SIĘ SKOŃCZY?

Musiałem wyglądać naprawdę parszywie, skoro zwrócił na mnie uwagę. Już prawie się minęliśmy, z tą ostentacyjną, czujną obojętnością, z jaką mijają się obcy sobie ludzie w wąskich i ciemnych uliczkach, gdy niespodziewanie zwolnił.

– Przepraszam pana... – powiedział, otwierając metalową kłamrę skórzanej teczki. – Może byłby pan zainteresowany?

Trzymał w ręku broszurę zeszytowego formatu. Był na niej mężczyzna, którego mógłbym uznać za Jezusa, gdyby nie twarz nosząca ślady nieudanego zabiegu wstrzyknięcia botoksu. Klęczał, a jego zaróżowione policzki i uległe spojrzenie skierowane ku górze kojarzyły się dość niefortunnie. „Czy wiesz, jak to się skończy?”, pytał mnie krzykliwą czcionką tytułu u dołu strony.

Kiwnąłem przecząco głową i odszedłem. Ale pytanie pozostało. Nie mogłem wyrzucić go z głowy. „Czy wiesz, jak to się skończy?”, „Czy wiesz, jak to się skończy?” – powracało nieustannie jak banalny refren piosenki usłyszonej przez przypadek w radiu.

Pomyślałem, że to zdarzenie mogłoby posłużyć za doskonałą puentę opowiadania, które wówczas pisałem. Jednak Jezus stanowczo się sprzeciwił. ●

Proza

Tatuaż

— Joanna Skwarek —



Rys. Martyna Dziechciarz

Miała smukłą sylwetkę i twarz jak z obrazu Modiglianiego. Gdy uwolniła włosy spod czapki, sprężysta, rudawomleczna fala spłynęła jej na plecy. Przodem wypuściła dwa cienkie strumyki, po jednym z każdej strony jej wysokich policzków, wąskich ust, strzelistego nosa. Zdjęła skórzaną kurtkę, która – jak reszta garderoby – zupełnie do niej nie pasowała i powiesiła ją na wieszaku. Oduwiała się z ohydneho, niebieskiego szalika w drobne trupie czaszki. Wytarte dzinsy były poplamione białą farbą, a z dziury na kolanie wystawał skrawek zaczerwienionej skóry, bo na dworze było tylko kilka stopni. Do tego wszystkiego buty: ni to trampki, ni kozaczki, wysokie, sznurowane, na sportowej podeszwie.

Zamiast wydawać pieniądze na tatuaże, powinna zainwestować w kobiece stroje, pomyślał. Dziewczyno, twoje portrety wiszą w muzeach na całym świecie! A ty chodzisz w łachmanach, chciał powiedzieć, ale się powstrzymał. Czekał na jej pierwsze słowa.

Nie przywitała się, wchodząc, a on nie chciał przerywać tej sceny. Jej uwolniona z szalika szyja była wysmukła, delikatna i szczupła, przechodziła łagodnie w lekko opadające ramiona. Zapatrzył się w nią, wzruszony. Mimo stycznia jej skóra miała brzoskwiniowożłoty odcień, jakby dziewczyna niedawno wróciła z wakacji. Modlił się, by przyszła tu w sprawie brata albo sąsiadki, a jeśli już koniecznie we własnej, to żeby przynajmniej wybrała coś drobnego, pojedynczą literę, kwiat, jakiś symbol. Na kostce, ewentualnie na nadgarstku. Ostatnim, czego potrzebowało to ciało, był tatuaż.

Wszystko wciąż odbywało się w milczeniu. Prawie zadrżał, gdy wyjmowała z torebki kartkę formatu A4, w foliowej koszulce. Położyła ją na biurku rysunkiem do dołu i pewnym ruchem, bez śladu skrępowania, zdjęła z siebie bezkształtną bluzę. A więc chodzi o nią, domyślił się. Stała teraz przed nim w białej koszulce wykończonej koronką, pierwszym fragmentem garderoby, który do niej pasował. Pomyślał, że takie postaci mogliby tatuować sobie szorstcy faceci na kłacie. Dziewczyna odwróciła się do niego tyłem, płynnym ruchem zebrała włosy z karku, pochyliła głowę i lewą ręką wskazała miejsce u góry pleców, pomiędzy łopatkami.

– O, tutaj. – To były jej pierwsze słowa. – Tutaj niech mi pan go zrobi.

Zrobi jej, jasne. O ile jest to różany pąk albo gałązka bluszczu. Zaskoczyły go te myśli. Od kiedy zajmował się fachem, jeszcze mu się taka refleksja nie zdarzyła. Przychodził klient, pokazywał, co chce, Marcin robił swoje jak najlepiej. Uprzedzał tylko, że dla bardziej skomplikowanych albo kolorowych tatuaży potrzeba będzie kilku sesji. Barwy trzeba nakładać etapami. Naprawdę, zdarzało mu się już nieraz szpecić ludzi niewiarygodnym obrzydlistwem, ale skoro taki był ich wybór, jemu nic do tego. Miał nawet stałego klienta, który po roku regularnych odwiedzin w jego studiu więcej miał skóry pokrytej tatuażami niż tej koloru człowieka. Wyglądał jak monstrum. Nawet wobec niego powstrzymał się od rad i komentarzy. Uważał się przecież za profesjonalistę: dopóki klient był pełnoletni, trzeźwy i zdawał się zdrowy na umyśle, nie zdarzało mu się odmawiać wykonania usługi. Tłumaczył sobie, że gusta są różne, a on przecież nie zmieniał świata, jedynie ludzkie ciała.

Z tą dziewczyną był to więc pierwszy raz. Przyszło mu do głowy, że może budziło się w nim coś na kształt zawodowej etyki.

Mlecznowłosa wyprostowała się, podniosła kartkę z biurka i odwróciła ją przodem do Marcina. Na ten widok krew odeszła mu z mózgu i pospieszyła do kończyn. To nie był pąk róży ani gałązka bluszczu. Rysunek przedstawiał ogromnego czarno–czerwonno–zielonego smoka, o wylupiastych oczach i przeraźliwej paszczy upstrzonej krzywymi kłami.

– Piękny, prawda? – powiedziała, a oczy jej zaśniły. – Takiego chcę mieć na karku. Jeden do jednego.

– Jeden do jednego? – upewnił się. W takiej skali smok sięgałby jej od nasady włosów aż po dolną krawędź łopatek.

– Proszę pani, ja oczywiście zrobię, jak pani będzie chciała. Ale moim zdaniem ten tatuaż źle wpłynie na pani dalsze życie.

Nie mógł jej powiedzieć, że jego zdaniem był po prostu brzydki. Potrzebował mocniejszego argumentu. Zły wpływ na jej życie to pierwsze, co przyszło mu do głowy.

– Co pan mówi? Przecież to tylko tatuaż.

– A widziała pani taki filmik? To był eksperyment. – Pospiesznie, w popłochu, wymyślał tę historię w trakcie mówienia. – Facet ubrany jak biznesmen zasnął i upadł na ulicy. Przechodnie natychmiast pospieszyli mu na pomoc, wezwali pogotowie. Potem się przebrał za bezdomnego i zrobił to samo. Zasnął i upadł. Ludzie mu się przyglądali, ale po pomocy nikt nie zadzwonił. Nikt nawet nie sprawdził, czy żyje.

– Nie rozumiem co to ma wspólnego z moim smokiem.

– Widzi pani, już samo ubranie potrafi człowieka zmienić.

– Nie człowieka, ale to, jak go widzą inni – poprawiła.

– Istotnie. Ale tatuaż to więcej niż strój. Będzie częścią pani ciała. Znam wiele takich przypadków – skłamał – kiedy rysunek przenika do środka człowieka i go modyfikuje. Czy chciałaby pani stać się smoczyką z wylupiastymi oczami i krzywymi uzębieniem?

– To jest bóstwo, proszę pana.

– Ale jeśli być bóstwem, to chyba lepiej ładnym, co? – próbował wprowadzić żartobliwy ton.

– Faceci. – Zaskoczyła go. – Wszyscy tacy sami. Jeśli być bóstwem, proszę pana, to lepiej prawdziwym. Ja to zdjęcie znalazłam w internecie. Oryginalny smoczy bóg.

– Ale pani twarz do tego nie pasuje! – poniosło go.

– Jak to: nie pasuje?

– Pani ma twarz z początku dwudziestego wieku. Wtedy nikt nie tatuował się w smoki.

– Niech mnie pan tu nie podrywa – zgasiła go. – Przyszłam po tatuaż, nie w odwiedzinę.

– Jedno już tylko pani powiem i zamilknę. Od tej pory tę smoczyką będzie widział każdy, kto... Przepraszam. – Nie skończył, bo jednak się zawstydział. Fala wzburzenia widocznie już się cofała. Zaczynał się poddawać.

- Nie musi pan kończyć – wzruszyła ramionami. – To robi pan, czy nie?
- Chciałem ustrzec panią przed nieodwracalnym.
- Mimo wszystko chcę smoka. W piątek jadę na festiwal.
- W piątek? W ten piątek?
- Tak, w ten, a w który?
- Do piątku to się nie zagoi. Nie ma mowy. Zresztą, dziś mogę położyć tylko czarny.
- Dlaczego tylko czarny?
- Bo tutaj są trzy kolory, a na każdy potrzeba co najmniej tygodnia. Nie chce pani chyba, żeby się wymieszały? Trzeba je nakładać oddzielnie, a pomiędzy zabiegami skóra musi się wygoić.
- Ja muszę mieć smoka w ten weekend – uparła się.

Bardzo był ciekaw, po co jej smok na festiwalu w styczniu. Przecież i tak nie wystąpi w koszulce na ramiączkach; było na to o wiele za zimno. Jednocześnie zaczął się obawiać, że dzieło sztuki, które miał przed sobą, mogłoby pójść do innego salonu i na zawsze już dać się oszpecić.

- Proszę pani, a gdybym ja pani zrobił coś, co moim zdaniem naprawdę do pani pasuje, w przeciwieństwie do tego smoka? Za darmo?

Wydeła usta, stanęła w lekkim rozkroku i powiedziała:

- No bardzo ciekawe. Proszę mówić.
- Różany pąk na nadgarstku. Gałązka bluszczu na kostce.

Wybuchła śmiechem.

- Różany pąk, ja nie mogę!

Dziewczyna śmiała się histerycznie, nie mogła przestać.

Coś najwyraźniej nią zawiądnęło, coś z zewnątrz. zaproponował, żeby usiadła. Ładnie jej było ze śmiechem, oczy ułożyły się w skośne szparki, włosy gładko spływały na koszulkę. Miała piękne zęby, w przeciwieństwie do smoka, który za chwilę miał usiąść na jej plecach.

- Może szklaneczkę wody? – zaproponował.

Skinęła głową. Wyszedł na chwilę na zaplecze.

- Co panią tak rozbawiło? – spytał, gdy już się uspokoiła.
- A jak pan myśli? Faceci. Widzą w nas różane pąki, gałązki bluszczu, dziewczyny z muzeum. Ale ja jestem, kurwa, smoczycą! – Przekleństwo nieprzyjemnie zagrzytało w jej ustach.
- Jeśli w tę sobotę musi pani dobrze wyglądać, nie zaczynałbym teraz tego tatuażu. Niech pani przyjdzie w poniedziałek.
- Ale ja muszę coś mieć na sobotę.
- Niech sobie pani zrobi tymczasowy.
- Tymczasowy? – Zrobiła zdegustowaną minę.
- Tak, kalkomanie.
- Nie, to musi być prawdziwy tatuaż.
- Mamy za mało czasu. Mógłbym nałożyć co najwyżej kontury.
- Dobra. Niech będą kontury. – Poddała się.

Ustawił fotel w pozycji poziomej, wręczył jej trykotowe wdzianko bez ramiączek, zapinane na rzepy tuż nad biustem. Poprosił, by się w nie przebrała i położyła na brzuchu. Sam odwrócił się w stronę okna i włączył lampę do pracy.

- Gotowa? – zapytał.

Gdy odpowiedziała wesołym „tak”, przysunął swój obrotowy stółek do fotela, na którym leżała, usiadł wygodnie i skierował światło lampy na jej kark. Objął wzrokiem złote, gładkie plecy, które za chwilę bezpowrotnie już miał oszpecić.

Przychodziło mu do głowy już tylko jedno rozwiązanie.

Zdezynfekował jej skórę i udał, że nakłada na nią tusz pędzelkiem. W rzeczywistości był to roztwór soli fizjologicznej. Już od dawna nie pracował w ten sposób. Tak skomplikowane tatuaże jak ten, który przyniosła, należy najpierw przenieść na kalkę, a następnie odbić na skórze. Barwnik wprowadza się maszynką.

- W jaki sposób tatuaż może zmienić człowieka, niech mi pan opowie – poprosiła. – Bo to ciekawe.

- Oj, zmienia, zmienia – powiedział, roztworem soli rysując smokowi zęby. – Zdarza się, że od błyskawic spokojni dotąd ludzie stają się bardziej wybuchowi – wymyślił na poczekaniu. – Innych od skrzydeł anioła coś zaczyna jakby unosić do góry. Od róż dziewczyny stają się jaszcz...

- Auuuu! – Szarpnęła się i odwróciła na bok, patrząc mu z wyrzutem w twarz. – Co to było?

– Jak to co? Wprowadzam tusz pod skórę. To dopiero pierwsze ukłucie.

- Pierwsze ukłucie? Każde będzie tak bolało?

– Każde, a jak ma być inaczej?

- Nikt mi nie mówił, że to aż tak boli.

No cóż, lepszy chwilowy ból niż oszpecenie do końca życia, pomyślał.

- Mam przestać? – spytał.

– To naprawdę dopiero pierwsze ukłucie?

- Tak. Wcześniej tylko rysowałem. Chce pani zrezygnować?

– Nie, niech pan robi. Jakoś wytrzymam.

- Tylko proszę się nie ruszać, bo ręka mi się omsknie.

– Postaram się.

Ukłuł ją jeszcze raz tą starą, tępą igłą, należąca kiedyś do jego wujka, od którego przejął studio. Tym razem nie protestowała, chociaż na pewno bardzo ją bolało. Kolejne ukłucie. I następne. Poddała się dopiero przy ósmym.

- Już nie wytrzymam – syknęła. – Naprawdę nie ma jakichś innych sposobów?

– Coś małego mógłbym pani zrobić maszynką, ale całego smoka, który na dodatek do soboty miałby w miarę przyzwoicie wyglądać, nie da rady.

– A całego smoka maszynką się nie da?
 – Jeśli chce pani smoka maszynką, niech pani przyjdzie w poniedziałek i przygotuje się na kilkanaście sesji.

– Kilkanaście?!
 – Tak, nie da się inaczej. To skomplikowany wzór, na dodatek kolorowy. Takie rzeczy wykonuje się stopniowo.
 – A maszynką, dziś, tak żeby było na sobotę, to co by można?
 – Jakiś krótki napis na przykład. Jedno słowo.
 – Ale jakie? – Usiadła. – Ja się nie znam na napisach. Ma pan jakiś pomysł?
 – Nie wiem, to pani plecy. Tylko proszę pamiętać, że słowa zostaną pani na zawsze.
 – Może coś egzotycznego, czego nikt nie zrozumie – zastanawiała się głośno.
 – Proszę sobie wybrać. – Podał jej katalog z czcionkami.

Zaczęła przeglądać strony.

– O, ta – powiedziała, wskazując na pochylą, o secesyjnym kroju. Dobry wybór, ocenił.
 – Ale co piszemy?
 – Jedno słowo. Może po włosku – zdecydowała.
 – Jest pani pewna?
 – Zna pan włoski?
 – Znam. A pani?
 – A ja nie. To niech pan coś wymyśli.
 – Może „amore”? Czyli „miłość”? – zaproponował nieśmiało.
 – Nie ma mowy. Żadnych romantycznych bzdet. Coś na „m?? „M” bardzo ładnie wygląda.
 – Masochismo?
 – Masochizm? Niech się pan zastanowi! Kto by chciał mieć napisane na plecach „masochizm”?

Ktoś, kto chciałby na plecach mieć smoka, odpowiedział jej w myślach.

– Więc co robimy? Może „Mmmmm”?
 – Nie jestem kawałkiem befsztyku. – Zaśmiała się. – Już wiem. Niech pan napisze mi jakieś zaklęcie.
 – Zaklęcie na „M”, mówi pani... Już wiem! Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy! – ożywił się.
 – Co takiego?
 – Modigliani.
 – A co to znaczy?
 – Po włosku: „Obyś była smoczyką”.
 – Ładne – zgodziła się. – To oni mają na to jedno słowo?
 – Tak, smoki są we Włoszech bardzo popularne.
 – Modigliani, modigliani – powtarzała. – Podoba mi się. Niech pan zaczyna. Tylko ostrożnie.

Kazał jej się położyć się na nowo i zrelaksować.

– To chwilę potrwa – uprzedził. – Muszę sobie przygotować kalkę.
 – Dobra, niech się pan nie spieszy. Mam czas do soboty.

Po kilkunastu minutach napis był gotowy. Odbił go na jej skórze, wyjął maszynkę i przystąpił do wprowadzania tuszu. Najdelikatniej jak potrafił.

– I jak? Nie boli za bardzo? – zapytał, gdy skończył literę „M”.
 – Niebo a ziemia, proszę pana – uspokoiła go.

Gdy stawiał kropkę nad „i”, przyszedł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale to było silniejsze od niego – tak jak jej niedawny atak śmiechu. Obok nazwiska, już bez kalki, dostawił jedynekę. Za nią dziewiątkę. I znów jeden. A na koniec osiem. Jego najlepszy okres.

Gdy skończył, przetarł ranę środkiem dezynfekującym i szybko nakleił na nią żelowy opatrunek.

– Chcę zobaczyć – powiedziała, siadając na fotelu.
 – Oj, już nałożyłem opatrunek. Wyszło bardzo dobrze, zapewniam panią. Lepiej nic nie ruszać, jeśli ma się wygoić do soboty.
 – No, skoro tak... – Dotknęła tylko ręką karku, próbując wyczuć szerokość tatuażu.
 – Jest o wiele mniejszy, niż się pani wydaje. Zakleiłem z zapasem.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

– Proszę go nie dotykać. Ubierać się ostrożnie i nie moczyć pleców co najmniej przez dwa dni – instruował. – Trzeciego może pani ostrożnie odkleić plastry i usunąć opatrunek. Założyłem pani specjalny, przyspieszający gojenie.

Dziewczyna ubrała się, owinięła szalikiem, zdjęła kurtkę z wieszaka.

– Ile płacę? – spytała.
 – Uregulujemy po smoku – powiedział.
 – Jest pan pewien?
 – Tak. To na kiedy panią zapisać? Poniedziałek?
 – Dobrze, niech będzie. O siedemnastej?
 – Poniedziałek o siedemnastej. – Zanotował w kalendarzu, z adnotacją: „smok”.

Dziewczyna przewiesiła torbę przez ramię, podziękowała i znikła za drzwiami.

Policzki mu płonęły. Pierwszy raz w życiu dopuścił się czegoś takiego. Był wtorek, wróci do niego z pretensjami najwcześniej w piątek. Miał kilka dni, żeby coś wymyślić.

Ale nie przyszła. Nie pojawiła się też w poniedziałek. Nigdy więcej już jej nie zobaczył. ●

Proza

Sztukmistrz z Hammermühle

Miroslaw G. Majewski

Lipcowym przedpołudniem kilku chłopców ganiało w berka na skrzyżowaniu ulic Buczka i Kościuszki. Niby nic takiego, a jednak była to jedyna oznaka życia, którą mogła się pochwalić ta część miasteczka.

...

A przepraszam, był tam jeszcze zadzierający głowę pan Konstanty, obserwujący przymrużonymi oczami Słońce, które leniwie dochodząc zenitu, podnosiło przy okazji słupki rtęci w termometrach do 40 stopni Celsjusza. Skutkowało to nie tylko wygludnieniem ulic, ale przede wszystkim topieniem smoły, którą ulice były połatane po srogiej zimie.

– Żarko – westchnął z ukraińska zatroskany pan Konstanty, czując na barkach ciężar odpowiedzialności za czystość i lekkość ulic.

...

Niebo było bezchmurne niczym starzec bez zmarszczek.

...

Od wielu dni upał dawał się mieszkańcom we znaki, i to nie tylko tym ze skłonnościami do nadciśnienia, czy chorób serca. Tym zdrowym również, a może przede wszystkim tym zdrowym, którzy narzekali dwa razy więcej od chorych.

...

Poziom rzeki Wieprzy znacznie się obniżył.

...

Psy przestały wychodzić ze swoich bud, i w ogóle przestały szczekać, ptaki zaniechały swoich porannych treli, ucinając sobie drzemki w zacienionych miejscach, i jedynie ciepłolubne koty wygrzewały się w najlepsze.

Te bezdomne – na murku śmietnika, a te udomowione – na parapetach, leniwie obserwując świat przez nagrzane szyby. Jeden z takich udomowionych kotów, syyam pani Emilii Wiśniewskiej, znanej akuszerki, zaczął ni to miauczeć, ni szczekać na widok stada kóz, które pojawiły się na składnicy drewna, po czym w podskokach przebiegły przez tory – tak, jakby znały rozkład jazdy pociągów, po czym zniknęły za kioskiem ruchu i sklepem rybnym, aby przepaść gdzieś w okolicach ulicy Szkolnej.

...

Jednak większość dorosłych mieszkańców nie zwracała sobie głowy lipcowym upałem ani innymi dyrdymałami.

Większość dorosłych mieszkańców Hammermühle skupiała swoją uwagę na tonach bydłych skór, które trzeba była wygarbować – co prawda w chłodnych, ale jakże dusznych halach pobliskiej garbarni. Garbowali tak rozstawieni na różnych etapach garbowania, z niecierpliwością czekając na przenikliwy ryk zakładowej syreny ogłaszającej koniec zmiany.

A że dziś była sobota, fajrant był o godzinie dwunastej.

...

Dlaczego ta syrena jeszcze nie wyje, zacięła się, czy jak?

...

Co niektórzy mężczyźni czuli już goryczkę zimnego piwa w ustach. A jeden z nich, imieniem Piotr, nie czekając na syrenę (bo być może się zacięła), jednym susem przeskoczył betonowy płot oddzielający garbarnię od rozlewni piwa i wytwórni wód gazowych, aby po chwili delektować się chłodnym, złocistym napojem, ku zmartwieniu kierowniczkę rozlewni i wytwórni wód gazowych, która, tak się akurat złożyło, była jego matką.

...

Na robotników garbarni czekali sprzedawcy nielicznych geesowskich sklepów i jednej knajpy. A że była to martwa godzina, sprzedawcy zabijali czas polowaniem na muchy, paleniem papierosów marki Klubowe, czytaniem „Głosu Koszalińskiego” lub „Przyjaciółki” (w zależności od płci sprzedającego) czy ewentualnie – jak pani Kasia Orlik – popijając kawę z tak zwanego odzysku, czyli tę już wypitą zaparzając raz jeszcze, aby wycisnąć z fusów resztki aromatu. Co niektórzy smakosze kawy w tamtych siermiężnych czasach posuwali się o krok dalej, dodając do fusów łyżkę cukru i bełtając, aby z lubością zjeść taką mieszankę, co ocierało się wręcz o profanację!

...

Który to mógł być rok, skoro w ten sposób traktowano kawę? Być może 1966. Nieważne.

...

No, ale co z chłopcami?

Wróćmy do nich czym prędzej, bo się jeszcze obrażą i będziemy mieli wszyscy pozamiatane!

Najmłodszy, a zarazem najszcuplejszy z nich, przecisnął się przez szparę w ogrodzeniu, po czym co sił w nogach uciekł wijącą się leniwie pod górkę ulicą Kościuszki.

Biegł, biegł, aż w końcu, zmęczony, przystanął, bo ileż to można biec, skoro nikt nie goni? Wyrównał oddech i na wszelki wypadek rozejrzał się dookoła. Nikt go nie goni? Nikt! Nikt to nikt! Wszelkie wątpliwości zostały rozwiane.

Uff! Co za ulga! Uciekł swoim prześladowcom, a właściwie jednemu, Irkowi-berkowi.

Chłopiec zastanawiał się, co teraz zrobić ze swoją okupioną potem ucieczką. W którą to udać się stronę, aby jak najszybciej dotrzeć do domu, i – co najważniejsze – nie zostać berkiem? Niestety, żadna godna uwagi myśl nie zaprzątnęła mu głowy, więc zrobił to, co chłopcy w jego wieku robią najlepiej – postanowił maszerować przez życie bez wyraźnego celu; aby tylko przed siebie, aby dalej, czyli tam, gdzie nogi same zaprowadzą.

...

Szedł tak, obliczając w myślach, ile będzie miał lat w dwutysięcznym roku. Wyszło, że trzydzieści dziewięć, ale pewności nie miał, mógł się pomylić, przecież nie chodził jeszcze do szkoły. Co prawda, potrafił policzyć do tysiąca, znał nawet tabliczkę mnożenia, ale nie chodził jeszcze do szkoły, więc mógł się pomylić, no nie? Abstrahując od tabliczki mnożenia, będzie już w tym dwutysięcznym roku bardzo, bardzo stary, starszy od swojej mamy, a nawet od taty, który był starszy od mamy o sześć lat! I być może będzie miał już swoje dzieci. Swoje dzieci! Ale to śmieszne!

...

Po kilku krokach podniósł z ziemi patyk i grając po sztachetach płotów mijanych domostw, po raz pierwszy w swoim życiu rozkoszował się błogim stanem egzystencji beztroskiego dziecka. Niestety, nie trwało to długo, gdyż w końcu zatrzymał się przed domkiem pani Strzelczyk.

Dom pani Strzelczyk był ponad wszystkie inne domy w Hammermühle, był Mekką wszystkich dzieci z miasteczka, ilustracją wyciętą z bajek z serii „Poczytaj mi, mamo”.

...

Makary podrapał się pomiędzy pośladkami, gdyż od jakiegoś czasu strasznie go tam swędziało.

...

Za metalowym płotem, na równo przystrzyżonym trawniku, krzątało się dwunastu kolorowych krasnali z brodami po pas, a nawet dłuższymi. Jeden z nich trzymał grabie, inny taczkę z wielkim, żółtym kołem o czterech szprychach, jeszcze inny siedział pod muchomorem, wpatrując się w zieloną zabę, z której pyszczka tryskała woda. A ten, który najbardziej się chłopcu podobał, miał zieloną konewkę i był, jakby to ująć, najbardziej żywy.

Makaremu zdawało się, że krasnal z konewką hupnął w jego kierunku swymi wielkimi, zielonymi oczami. Chłopiec, nieco zdezorientowany, odskoczył od płotu, a jego serce zaczęło walić jak oszalałe.

...

Minęła dobra chwila, a nawet dwie.

...

Po tych dwóch dobrych chwilach, jak nietrudno się domyślić, jego dziecięca ciekawość zwyciężyła wszelkie irracjonalne obawy. Ostrożnie zbliżył się do płotu i odważnie spojrzął krasnalowi w oczy.

A co tam!

...

Jakby co (myślał), dzielił ich przecież płot, i to porządny płot! Nie jakaś pospolita siatka po sąsiedzku, ale płot wykuty przez prawdziwego artystę, mistrza kowalstwa. U pani Strzelczyk wszystko było prima sort, wszystko z Niemiec, a Niemcy były nawet dalej od Słupska, który był na końcu świata. Makary nigdy jeszcze nie był w Słupsku, ani tym bardziej w Niemczech, ale to nic straconego, skoro Niemcy były w ogródku pani Strzelczyk.

...

Przez chwilę nic się nie działo. Krasnal znieruchomiał, bo jakże mogło być inaczej? Był przecież tylko ogrodową ozdobą wykonaną z fajansu i pomalowaną olejnymi farbami. Ale, ale, co to? Z konewki, którą rubaszny krasnal trzymał w swej wielkiej niczym bochen chleba prawicy, zaczął wydobywać się strumyczek mgiełki, który z każdą sekundą pęczniał, nabierając ludzkiego kształtu. Wydawać by się mogło, że ten ludzki kształt jest ulepiony z chmury znanej jako cumulus, ewentualnie z cukrowej waty. To drugie porównanie było chłopcu bliższe.

Zahipnotyzowany Makary zadarł głowę, wpatrując się w przyjazną twarz zjawy, której sterczące jak u Irokeza włosy sięgały komina.

– Hej, sztubaku, jestem Sztukmistrzem z Hammermühle. – Zjawia uśmiechnęła się przyjaźnie. – Nie bój się. Keine Angst...

No, ale jak tu się nie bać, widząc zjawę wychodzącą z konewki i gadającą ludzkim głosem, w dodatku po polsku?

– Nie boję się... – wydusił z siebie niepewnym głosem. Następnie wytarł rękawem nos i na wszelki wypadek rozejrzył się dookoła, sprawdzając, czy czasem ktoś nie przechodzi obok. Tak w razie czego i jakby co...

...

Czy czasem ktoś nie przechodzi?! Masz, babo, placek! Jakby na zawołanie przechodziło, nie wiadomo skąd i po co, bardzo wielu ludzi. Jedni szli pod górkę, inni schodzili z górki. Przy tym, przechodzili tak, jakby przez siebie, jakby byli z wody albo powietrza.

Zdziwiony chłopiec otworzył szeroko oczy. Nigdy wcześniej nie widział takiego tłumu, ani na pochodzie pierwszomajowym, ani na procesji Bożego Ciała, ani na jednym i drugim do kupy! Kogo tam nie było! Może tylko Japońców nie było, a poza tym chyba wszyscy byli: i młodzi, i starzy, mundurowi i cywile, kominiarze, piekarze, stolarze, kierowcy, nauczyciele, a nawet sam pan Olek. Poza panem Olkiem jeszcze wielu, wielu innych, których Makary nie mógł znać, ani nawet zdefiniować, czy są duchami przeszłości, czy kimś w tym rodzaju.

Był jeszcze na to za mały.

I nie chodził jeszcze do szkoły.

Wiedział tylko tyle, że jest, i nic poza tym.

...

No właśnie. Poza tym nikt z tej enigmatycznej kawalkady nie spojrział w ich stronę. Ani na niego – Makarego, ani na tamtego z konewki – Sztukmistrza z Hammermühle. Wszyscy byli tak bardzo zajęci swoimi sprawami! Sprawami nieadekwatnymi do roku 1966, sprawami zakłętymi w czasie niczym mucha w bursztynie, którą kiedyś w Dźwirzynie pokazała Makaremu babcia Weronika.

...

– Kiedy już dorośniesz – do uszu chłopca dotarł tubalny, pochodzący z konewki głos, który swym tembrem przypominał głos pana Maksymiliana, sąsiada z góry – opowiem ci historię tych wszystkich ludzi i moją własną. Choć nie jest najciekawsza, to przecież jest naszą historią, Makary. Historią mieszkańców Hammermühle.

– Sie verstanden?

...

Przy ostatnim zdaniu chmura zamieniła się już w strużkę i zniknęła w konewce.

...

– Berek! – Mocnym plaśnięciem w plecy przywrócił Makarego do rzeczywistości Irek, kolega z klatki.

Irek...

Ale Irek zniknął już w pobliskiej brzezynie, która z jakiś tajemniczych powodów, o których być może opowie w swoim czasie Sztukmistrz z Hammermühle, zachowała się pomiędzy ulicami Kościuszki, Mickiewicza a Placem Wolności.

...

Makary pobiegł za kolegą, całkowicie zapominając o niedawnej iluminacji. Ale *iluminacja*, co bardzo istotne, nie miała zamiaru zapomnieć o Makarym. ●

Jarosław Nowosad

Hamburger na autostradzie

„Nazywam się Andy Warhol. Właśnie skończyłem jeść
hamburgera”.

(Andy Warhol po zjedzeniu hamburgera)

„Jedziemy, jedziemy, jedziemy autostradą”.

(Kraftwerk: „Autobahn”)

Pamięci Andy'ego Warhola (1928–1987)
w 30. rocznicę śmierci.

Zmęczony długą podróżą kierowca zjeżdża z autostrady do przydrożnego baru typu *fast-food*. Kupuje coca-colę i dwa lub trzy hamburgery. Jednego z nich w drodze powrotnej do auta przypadkiem upuszcza. Ponieważ hamburger nie jest opakowany, kierowca nie podnosi go już. W chwilę później wielka ciężarówka rozjeżdża hamburgera, czyniąc zeń kolorową plamę na asfalcie.

W krótkim materiale filmowym, pochodzącym najprawdopodobniej z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, Andy Warhol, siedząc na tle jasnozielonej ściany, rozpakowuje hamburgera, zjada go powoli, potem przez chwilę patrzy bez słowa w kamerę, wreszcie informuje widzów, kim jest i co właśnie zrobił.

Ów niespełna pięciominutowy filmik początkowo nie prowokuje do myślenia. Zbyt dobrze konweniuje z całością popartowej twórczości swego bohatera, by natychmiast kogoś zastanowić. Warhol przewodnim tematem swej sztuki uczynił przecież nie tylko masową kulturę z jej gwiazdami, lecz także masową konsumpcję. Wśród jego obrazów – obok portretów m.in. Marylin Monroe, Elvisa Presleya, Micka Jaggera, Johna Lennona, Sylvestra Stallone – znajdziemy wizerunki butelki coca-coli, pudełka płatków kukurydzianych, czy bodaj najśłynniejszy: puszeki zupy pomidorowej firmy Campbell. Przedstawienie w dziełach sztuki zwyczajnych przedmiotów, produkowanych masowo i spotykanych na co dzień, miało stanowić swoistą nobilitację tych ostatnich, a jednocześnie „upowszednienie” samej sztuki. Nakręcenie filmu o artyście jedzącym hamburgera jest świadomym doprowadzeniem takiej koncepcji sztuki do ekstremum, a zarazem... sprowadzeniem jej do absurdu.

Ktoś mógłby w tym swoistym *performance* dopatrywać się autoironii ze strony samego artysty; kpiny z własnego statusu celebryty, a może ze statusu gwiazdy w ogóle? Skoro ślub piosenkarza, rozwód aktora, stłuczka drogowa z udziałem sportowca, narodziny dziecka modelki – urastają do rangi sensacji medialnej, to i konsumpcja hamburgera, czynność najbardziej banalna (szczególnie w Ameryce), nabiera doniosłości, gdy wykonuje ją słynny malarz, projektant okładek płyt Rolling Stones i Velvet Underground. Podobnej natury kpina z przemysłu filmowego (zamierzoną lub nie) mógłby stać się kontrowersyjny film „Sen”, gdyby Warholowi udało się w nim – jak pierwotnie zamierzał – sfilmować śpiącą przez osiem godzin Brigitte Bardot: nieważne, o czym jest film; ważne, kto w nim gra...

Interpretacja taka jest oczywiście możliwa, lecz byłaby raczej chybiona. Nie uzyskalibyśmy tego samego efektu, sadzając na miejscu Warhola np. Ala Pacino nad porcją pizzy. Zauważmy, że gdy w filmie Adriana Mabena „Pink Floyd w Pompei” kamera pokazuje zespół w trakcie posiłku w barze, jest to tylko dokument, nie kreacja artystyczna – ta dokonuje się w pompejańskim amfiteatrze oraz w londyńskim studiu EMI, gdy Floydzi wykonują swą muzykę. Zresztą – wracając do Warhola – programowym założeniem jego twórczości jest brak jakiegokolwiek „drugiego dna” (a wręcz odżegnywanie się od posiadania takowego) i przemawianie do odbiorcy samą powierzchnią. Film, w którym Andy je hamburgera, serwowany jest widzowi jako dzieło sztuki, ponieważ ten a nie inny artysta, głoszący i praktykujący taką a nie inną filozofię sztuki, konsumuje w nim taki a nie inny posiłek.

Hamburger – kwintesencja gastronomicznej popkultury – znika w ustach króla popartu. Co więcej: hamburger – danie, przynajmniej w potocznym wyobrażeniu, bardziej „amerykańskie” nawet od szarlotki (którą Kerouac żywił się podczas swych eskapad; którą Don McLean uczynił wręcz symbolem swojej ojczyzny) – pada ofiarą artysty z upodobaniem portretującego motywy stereotypowo kojarzone z Ameryką, takie jak krzesło elektryczne, samobójca skaczący z wieżowca, symbol dolara...

W 1974 roku mało znany (wówczas) zespół z miasta Düsseldorf, grający eksperymentalną (wówczas) muzykę, nagrał utwór, którym zdobył świat – w tym Amerykę. Zespół nazywał się Kraftwerk, a kompozycja nosiła tytuł „Autobahn”, czyli „Autostrada”. Nowością były elektroniczne brzmienia syntezatorów (Jarre miał zostać gwiazdą dopiero za dwa lata), ale intrygował również tekst, odległy od wszystkiego, o czym w tamtych czasach śpiewano.

„Jedziemy, jedziemy, jedziemy autostradą... Jedziemy, jedziemy, jedziemy autostradą... Przed nami rozległa dolina oświetlona jasnymi promieniami słońca. (...) Jezdnia jest jak szara taśma, białe linie, pas zieleni. Jedziemy, jedziemy, jedziemy autostradą...” – napisał Emil Schult, „nadworny” tekściarz zespołu. Podróż autostradą – to w Niemczech (kraju o chyba najlepszej sieci dróg na świecie) czynność równie banalna, co jedzenie hamburgera w USA. Owszem, o jeździe samochodem lub motocyklem śpiewano wiele – jako o manifestacji własnej wolności (Steppenwolf: „Born to be Wild”), upojeniu szybkością (Deep Purple: „Highway Star”), okazji do poznania fajnej dziewczyny (The Beatles: „Got To Get You Into My Life”, The Doors: „Queen of the Highway”)... Ale czysta kontemplacja widoku przez okna, czy wręcz pasów na asfalcie!?

„Obsługuję mój kieszonkowy kalkulator. Dodaję, odejmuję, kontroluję, komponuję. Gdy nacisnąć specjalny przycisk, zagra melodijkę”. To tekst innej piosenki, „Pocket Calculator”, dzięki której Kraftwerk wszedł (dosłownie!) przebojem w lata osiemdziesiąte. I znów – czy to temat do śpiewania?! Do końca lat siedemdziesiątych minikalkulator tak się upowszechnił (przynajmniej w świecie kapitalistycznym), że u progu następnej dekady miał już stałe miejsce w świadomości masowego konsumenta, niemalże na równi z autostradą czy hamburgerem.

„Nazywam się Andy Warhol. Właśnie skończyłem jeść hamburgera”. Te dwa zdania tak doskonale do siebie pasują, że na pierwszy rzut oka trudno dostrzec w nich jakąkolwiek niezgodność. A jednak przy bliższym zastanowieniu wydają się nawzajem wykluczać.

Imię i nazwisko, którymi się przedstawiamy – podobnie jak twarz, którą pokazujemy – są (przynajmniej w potocznym rozumieniu) czymś najbardziej indywidualnym spośród wszystkiego, co prezentujemy światu. Z kolei masowa konsumpcja w swym założeniu jest bezosobowa. Jako klienci dużej sieci barów z hamburgerami jesteśmy równie anonimowi, co jadąc autostradą lub... robiąc zakupy w hipermarkecie. Tam, obok identycznych puszek z zupą pomidorową, butelek coca-coli czy elektronicznych kalkulatorów, na półkach stoją płyty Kraftwerk... Kto wie, może i jakieś popularne wydanie albumu z najbardziej znanymi obrazami Warhola?

Owa powtarzalność masowej produkcji bywa dla stereotypowej „artystycznej duszy” obiektem wręcz nienawiści. Między innymi z tego powodu Londyn musiał jawić się Blake’owi piekłem, podobnie, jak Ginsbergo-

wi Nowy Jork. Stąd najpierw romantycy i neoromantycy, a potem hippisi, uciekali z pejzażu industrialnego, by szukać natchnienia w przyrodzie. Przy takiej optyce widok miasta oświetlonego neonami (Kraftwerk: „Neon Lights”) lub zdjęcie modelki z kolorowego magazynu (tychże: „The Model”) – podobnie, jak fotografie gwiazd filmowych (zob. seria portretów Marylin Monroe lub Jamesa Deana przez Warhola) – wydają się w najlepszym razie surogatami prawdziwego piękna, a ich kontemplacja zajęciem godnym jednostki przeciętnej i niewyrobionej, w żadnym zaś wypadku artysty.

Nie od parady wspomnieliśmy Williama Blake’a. Wedle jego słynnej sentencji: „głupiec widzi inne drzewo niż człowiek mądry”. Oczywiście pod symbol „drzewa” możemy podstawić cokolwiek. I tak np. powiemy, że osoba o przeciętnej umysłowości je innego hamburgera, a także jedzie inną autostradą i obsługuje inny kalkulator niż człowiek obdarzony wrażliwością artystyczną.

Główny bohater filmu „Gorączka sobotniej nocy” (reż. John Badham), chłopak z nizin społecznych, podczas sceny w barze nie tyle zjada, co pałaszuje hamburgera. Na uwagę kolegi, iż „zre jak pies”, reaguje głośnym ujadaniem. W wykonaniu Andy’ego Warhola podobnych ekscesów nie ujrzymy. Co prawda i tu konsumpcja odbywa się „według obowiązujących reguł” – artysta swoją bułkę przełożoną kotletem trzyma w palcach, maczając ją w ketchupie rozlanym na papierze, z którego ją odpakował – lecz mimo to przebiega w sposób zaskakująco dystygnowany. Artysta je powoli, nieomal rozkoszując się każdym kawałeczkiem, jak gdyby raczył się wymyślnym daniem w najlepszym lokalu Nowego Jorku. Niemal przypomina się wiersz Jacka Podsiadły o piosenkarzu Alpha Blondym, który „je banana (...), jakby każdy kęs był odkrywaniem Ameryki”.

Słynne Warholowskie *serigrafie* powstawały metodą sitodruku, wynalezionej do szybkiego powielania zdjęć na papierze drukarskim, którą malarz zaadaptował dla potrzeb płótna i farby olejnej. „Masową” w założeniu technikę artysta potraktował jednak przekornie: malując serie „identycznych” obrazów, używał za każdym razem innych barw, nadając tym samym każdemu „egzemplarzowi” rys indywidualny. Wydaje się to proste, gdy się już na to wpadło; w istocie jednak Warhol na podobieństwo buddyjskiego *koanu* rozwiązał paradoks powtarzalności i niepowtarzalności.

Kto, poza Andym Warholem, może bez popadania w śmieszność powiedzieć do kamery: „Nazywam się ***. Właśnie skończyłem/am jeść hamburgera”? Kogo stać na ponowne odkrycie odkrytego? Istnieją miliony takich osób – są to dzieci.

Dziecięca świeżość spojrzenia, płynąca ze stykania się z każdą rzeczą po raz pierwszy, pozwala wołać w stronę kamery trzymanej przez ojca: „Jestem Ania, właśnie skończyłam jeść hamburgera!”, albo intonować z tylnej kanapy rodzinnego samochodu: „Jedziemy, jedziemy, jedziemy autostradą”, albo cieszyć się otrzymanym właśnie kalkulatorem aż po układanie hymnów na jego cześć. Wsluchajmy się zresztą w „Pocket Calculator” grupy Kraftwerk (polecam pierwszą i najlepszą wersję z 1981 roku), a bez trudu zauważymy, iż ma on rytm... wyliczanki! Dziecięcy punkt widzenia mógł więc zostać przyjęty w pełni świadomie – na płycie „Computer World” (Kling-Klang, 1981), z której nagranie pochodzi, pomiędzy utworami słychać odgłosy wydawane m.in. przez elektroniczne zabawki. Równie wiele

zdaje się mówić książeczka dołączona do najnowszego wydania płyty „Autobahn” (Kling-Klang, 2009), stylizowana jest bowiem na... książkę z obrazkami dla dzieci! Kolejnym wersom tekstu tytułowego utworu (reszta płyty jest instrumentalna) towarzyszą kolorowe ilustracje. Także wśród „sportretowanych” przez Warhola obiektów masowej konsumpcji – oprócz butelek, pudełek i puszek – znajdziemy ucale pokaźną ilość zabawek.

Jak wiemy z Biblii, „wejść do Królestwa Niebieskiego” możemy jedynie będąc „jak dzieci”. Również aby przeżywać życie w pełni, potrzebujemy – na równi z „dorosłą” trzeźwością patrzenia na świat, potrzebną do sprawnego w nim funkcjonowania – „dziecinnej” świeżości i entuzjazmu. Wydaje się, że właśnie połączenie obu tych pierwiastków (Blake nazwał je kiedyś „niewinnością” i „doświadczeniem”) uczyniło Andy’ego Warhola twórcą jedynym w swoim rodzaju. Artystą na nowo – w najdosłowniejszym tych słów znaczeniu – odkrywającym Amerykę: w uśmiechu Marylin Monroe, płasie Elvisa Presleya, a nawet pod postacią hamburgera z ketchupem, o ile za każdym razem je się go po raz pierwszy w życiu. Można przypuszczać, że podobne zestawienie cech charakteru pozwoliło muzykom Kraftwerk postrzegać nasz stechniczowany i skomercjalizowany świat jako miejsce przyjemne, zabawne i inspirujące – mimo świadomości występujących w nim zagrożeń: kurczenia się sfery prywatności (patrz: „Computer World”, a zwłaszcza niemieckojęzyczna wersja pt. „Computerwelt”), zaniku bezpośrednich kontaktów międzyludzkich („Computer Love”), czy wręcz uprzedmiotowienia człowieka jako kolejnego towaru do konsumpcji („The Model” budzi nieodparte skojarzenie z twórczością Warhola, niejako zrównującą przecież Elvisa, Marylin, Deana z butelką coca-coli i puszką zupy).

Hamburgera, wprasowanego oponą ciężarówki w asfalt, znajdują chłopiec i dziewczynka, których ojciec, zmęczony wielogodzinną jazdą, zjechał z autostrady do przydrożnego baru po hamburgery i coca-colę. Dzieci nie wiedzą, skąd wzięła się kolorowa plama, lecz jej kształt zdaje się im coś przypominać – może postać z filmu animowanego, może kontur wymarzonej zabawki albo zwierzę, o którym była ostatnio mowa na lekcji przyrody? Dzieci zaczynają się spierać o to, do czego plama jest podobna. Rozduszony hamburger stał się obrazem, który znalazł swych interpretatorów.

Autorami obrazu byli: kucharz, który przygotował hamburgera; klient, który upuścił hamburgera; kierowca, który rozjechał hamburgera. Żaden z autorów ani przez chwilę nie myślał o stworzeniu kompozycji dającej się interpretować. Andy Warhol na pytanie, co sądzi o interpretacjach swoich obrazów, odpowiedział: „bla, bla, bla”. Sam jednak w cieniu sfotografowanej przez asystenta czaszki – zwyczajowego symbolu śmierci, nieodłącznego rekwizytu Hamleta – dopatrywał się konturu twarzy dziecka i nie omieszczał uwiecznić go na obrazie...

Dziewczynka mówi z dumą: „Właśnie zjadłam hamburgera”. Jej brat, bezwiednie wycierając dłoń o bluzę, przygląda się zdjęciu modelki na okładce kolorowego czasopisma w witrynie pobliskiego kiosku. Ojciec woła dzieci do samochodu.

Auto włącza się do ruchu. „Jedziemy, jedziemy, jedziemy autostradą” – intonuje dziewczynka. Chłopiec bawi się kalkulatorem wyjętym z kieszeni bluzy, na której przed chwilą pojawiła się plama z hamburgerowego sosu, ale jeszcze nikt jej nie zauważył... ●

Karina Stempel

Śliwki
na cmentarzu,
Eliade, życie i śmierć



Wesoły Cmentarz
Fot. Karina Stempel

O powieść o sliwkach na cmentarzu rozpoczyna się w okolicach maleńkiej polskiej wioski, położonej tuż przy granicy rumuńsko-ukraińskiej, niedaleko miasta Siret, i noszącej polską nazwę Ruda, a oficjalną Vicșani (Wikszany). Zanim do niej trafiłam, była dla mnie głównie miejscem, do którego nie sposób się dostać, ponieważ nie kursowały tam żadne autobusy. Oczywiście, nie wszędzie można dojechać łatwo i wygodnie, ale istnieją takie miejsca, do których dociera się znacznie trudniej niż do innych. Ruda od razu wydała mi się interesująca, bo pod względem dostępności przypominała moje rodzinne Podlesice II, wioskę na krańcach powiatu olkuskiego, przed którą jeszcze niedawno, jak twierdzili niektórzy, „kończyły się wszystkie drogi”. I tam, i tu jeżdżą co prawda pociągi, ale po pierwsze – o dziwnych porach, a po drugie – konia z rzędem temu, kogo nie zaskoczyły nigdy rozkłady jazdy w Rumunii (inne w Internecie, inne na dworcu, właściwie pewnie tylko wtedy, gdy już się siedzi w wagonie).

W Rudzie niektórzy historycy i badacze doszukiwali się mitycznego miejsca pochówku Jakuba Szeli, który dokonał żywota właśnie na Bukowinie. Co prawda, podważono tę hipotezę, jednakże w informacjach przekazywanych z ust do ust imię Jakuba Szeli i nazwa wioski pod Siretem ciągle się pojawiają.

O tym wszystkim wiedziałam, zanim trafiłam do Rudy. Nie przypuszczałam jednak, że ta miejscowość kryje magię, którą w swoim kraju, Rumunii, odkrył jej słynny syn Mircea Eliade. Magię wzajemnego przenikania się życia i śmierci, a jednocześnie magię tak wyraźnego oddzielenia żywych od umarłych, że nawet symbioza dwóch porządków nie jest w stanie naruszyć granicy, która wyznacza ścieżki ludzkiego myślenia o świecie i swoim w nim miejscu.

Eliade pisak: „Rumuni identyfikują się ze wspaniałym, poetyckim poematem ludowym, noszącym tytuł Miorița (...), który najpełniej odzwierciedla postawę duszy rumuńskiej wobec śmierci. Śmierć nie jest postrzegana jako akt obracania się w nicłość ani jako pseudo-egzystencja zmarłych dusz w podziemnym królestwie. Wręcz przeciwnie, uważa się ją za mistyczny akt ślubu, za pośrednictwem którego człowiek ponownie zostaje przywrócony naturze”¹. „Mistyczny akt ślubu” zmarłego z naturą ma w Rumunii wymiar, którego próżno doszukiwać się w naszej, polskiej kulturze.

Przodkowie mieszkańców Rudy osiedlili się w „krajnie łagodności” w II połowie XIX wieku. Koleje losów Polaków na Bukowinie były bardzo skomplikowane, dość jednak powiedzieć, że ponad półtora wieku to czas wystarczający, by kultura rumuńska, a wraz z nią elementy myślenia o świecie, została w mniejszym lub większym stopniu zinternalizowana przez naszych rodaków. Katolicyzm w zderzeniu z rumuńskim prawosławiem nie przegrał przy tym, ale zyskał, zwłaszcza w sferze obrzędowości, niepowtarzalny, unikatowy koloryt i charakter. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że tutejsza obrzędowość i kultura są tak wyjątkowe jak język – nie ma dwóch miejscowości, w których Polacy posługiwali się taką samą mową, podobnie jak nie ma dwóch miejsc, w których myśleliby tak samo.

Rumuńskie postrzeganie śmierci różni się od polskiego; do jego przybliżenia może posłużyć metafora, jaką w tym kontekście jest słynny Wesoły Cmentarz w miejscowości Săpânța. Nekropolię tworzą drewniane, malowane nagrobki, na których oprócz wizerunków zmarłych umieszczone zostały krótkie wiersze – niezwykle epitafia, pisane w pierwszej osobie. Nie ma tu mowy o przestrzeganiu zasady „o zmarłych mówi się dobrze albo wcale” – nie! O zmarłych mówi się prawdę. A nawet więcej – oni tę prawdę mówią o sobie sami, jak na przykład człowiek, który korzystając z tego, iż już zza grobu otrzymał możliwość wygłoszenia résumé,

¹ Mircea Eliade, *Rumuni*, przeł. Anna Kaźmierczak, Bydgoszcz 1997, s. 79.

za pomocą wersetów umieszczonych na mogile ostrzega innych przed nałogiem, który dla niego okazał się śmiertelną pułapką:

Cujka to prawdziwy jad
Łzy i mękę niesie w świat

Ja sam tego doświadczyłem
Śmierć na ziemię mnie rzuciła

Ci, którzy się nią raczą
Podobnie jak ja zapłaczą

Cujkę kochałem najwięcej
Zmarłem, trzymając ją w ręce².

Wydaje się, że – paradoksalnie – dla pochowanych na Wesołym Cmentarzu kres życia wyznacza nagrobna puenta, a nie zgon czy poprzedzający pochówek pogrzeb.

Czy życie może kończyć się w czasie pogrzebu? W Rudzie zmarłych z domu do kościoła niesie się lub przewozi nadal w otwartych trumnach. W ostatnich latach wykorzystuje się do tego celu karawany, wcześniej były to konie i wozy. Niezależnie jednak od tego, w jaki sposób nieboszczyk pokonuje ostatnią drogę, wyrusza w nią z odkrytą i widoczną dla wszystkich twarzą.

Coś, co może wydać się dziwnym, inspirowanym pogrzebami prawosławnymi obyczajem, traci nieco na swej wyrazistej odmienności, kiedy przypomnimy sobie, jak jeszcze kilkadziesiąt czy nawet kilkanaście lat temu wyglądały pogrzeby w Polsce. W niejednym archiwum rodzinnym z pewnością znajdzie się zdjęcie uczestników ceremonii przy otwartej trumnie. Niektórzy z przodków nie doczekali się nawet innej fotografii niż fotografia trumienna – indywidualna lub grupowa, w otoczeniu wszystkich członków rodziny. Zmarły w takim przypadku żyje w pamięci dzięki portretowi pośmiertnemu. Żyje, bo śmierć go unieśmiertelniła.

Rumuński zwyczaj zapraszania na stypę wszystkich żałobników uczestniczących w ceremonii, obdarowywania uczestników pogrzebu drobnymi podarunkami (najczęściej w postaci jedzenia) czy też msze za zmarłych



Jabłka na cmentarzu w Klimowcach
Fot. Karina Stempel

odprawiane sześć tygodni po pogrzebie, niekiedy po pół roku, a regularnie w każdą rocznicę śmierci sprawiają, że o zmarłym nie zapomina się szybko i łatwo. Czasem w Rumunii można usłyszeć żart, że na śmierć trzeba sobie zapracować, ponieważ nie każdego stać na to, by mógł umrzeć spokojnie, nie obciążając rodziny nadmiernymi kosztami.

Cmentarz rumuński jest jednak nie tylko miejscem rozpacz, czego dowodzi już wspomniana nekropolia w Săpântu. W takim właśnie miejscu można przypomnieć sobie znany z polskich lektur szkolnych obrzęd dziadów, bowiem do zwyczajów prawosławnych należy i ten, który dopuszcza jedzenie i picie na cmentarzu – traktowane jako ofiara składana za zmarłego.



Cmentarz przy kościele katolickim w Rudzie
Fot. Karina Stempel

Związek pomiędzy życiem i śmiercią w ojczyźnie Eliadego wydaje się wyraźniejszy i bardziej namacalny niż w Polsce, gdzie umieranie staje się coraz częściej odległe i sterylne, pozbawione między innymi elementu przygotowania ciała do pogrzebu, a wspomnianie zmarłych przede wszystkim napędza ważną gałąź gospodarki związanej z produkcją zniczy. W Rumunii, nawet w „polskiej” wiosce takiej jak Ruda, zaskoczyć może więc widok otwartej trumny i zmarłego, który – kto wie? – może ciągle jest obecny wśród żałobników.

Z wzajemnym przenikaniem się dwóch porządków mają związek tytułowe śliwki na cmentarzu, które same są tylko symbolem koegzystencji świata żywych i umarłych. Pewnego wrześniowego dnia dzięki uprzejmości panów Józefa Paraniaca i Mircei Carsta z Rudy zobaczyłam kościół Lipowanów w pobliskich Klimowcach (Climăuți), a przy nim rozległy, pełen zieleni rusiński cmentarz. Tuż obok znajdowała się duża pasieka, a w obrębie cmentarnego ogrodzenia piękny sad – szczególnie wrażenie robiły w nim dojrzałe, soczyste jabłka rosnące na niskich drzewkach. Jabłonie z krzyżami w tle nie potrafiły jednak zmienić mojego stereotypowego myślenia („Pamiętaj, z cmentarza niczego się nie zabiera”, mówiła moja babcia³), jednak w kategorii pokusy i zakazanego

³ Z tym poglądem koresponduje obowiązująca w Polsce ustawa z dnia 31 stycznia 1959 r. o cmentarzach i chowaniu zmarłych, a także szczegółowe rozporządzenie Ministra Gospodarki Komunalnej z dnia 25 sierpnia 1959 r., mówiące o wymogach sanitarnych odnoszących się do miejsc pochówku: „§ 3. 1. Odległość cmentarza od zabudowań mieszkalnych, od zakładów produkujących artykuły żywności, zakładów żywienia zbiorowego bądź zakładów przechowujących artykuły żywności oraz studzien, źródeł i strumieni, służących do czerpania wody do picia i potrzeb gospodarczych, powinna wynosić co najmniej 150 m; odległość ta może być zmniejszona do 50 m pod

² Tłum. własne – K.S.



Cujka to prawdziwy jad
Fot. Karina Stempel

owocu w mojej świadomości znalazły się bardzo wysoko (były wyjątkowo dorodne; podobnie jak ślimaki winniczki w opowiadaniu Pawła Huelle – najpiękniejsze na cmentarzach, ponieważ: „Tam krzewy i liście mają specjalny smak, bo ciągną z ziemi trochę lepsze soki”⁴). Rozterki wywołane poczuciem dysonansu, kulturową niezgodą na bezwarunkową akceptację widzianego obrazu, pogłębiło jeszcze tłumaczenie wiersza Radu Vancu pt. „Geneza metafory i znaczenie pamięci”, którym zajęłam się po powrocie z Rumunii. Poeta przywołuje w nim postać dziewczyny opisanej przez Luciana Blage: je ona śliwki z cmentarza, „aby sprawdzić, czy zmarli, z których wyrosły, byli dobrzy czy źli”⁵.

Tajemnica śliwek i jabłek, czyli innymi słowy sekret, jak pogodzić ze sobą groby oraz soczystość owoców, znalazła wyjaśnienie podczas mojej kolejnej podróży do Rudy, w następującej rozmowie przeprowadzonej z jednym z jej mieszkańców:

– [Tu rosną] pokrzywy! Ale [zerwane] z cmentarza to [chyba] nie za dobre...
– Ej, u nas tam są te... jagody, to te jagody mają tylko korzenie [w ziemi], nie? A ten [nieboszczyk] ma [grób] dwa metry [w dół], nie? Ja, tam [są] jagody...

– Jagody są na cmentarzu?

– Tak.

– I zrywają [je ludzie], tak?

– Tak. Są czereśnie, orzechy...

– I to nie przeszkadza, że [to wszystko] na cmentarzu rośnie?

– Nie... Umarty z umartym, żywy z żywym...⁶

Umarty z umartym, żywy z żywym. Otwarta trumna czy owoce rosnące na cmentarzu niczego nie zmieniają – oba porządki, życie i śmierć, mogą się przenikać na wielu poziomach, ale nigdy nie staną się tożsame⁷.

warunkiem, że teren w granicach od 50 do 150 m odległości od cmentarza posiada sieć wodociagową i wszystkie budynki korzystające z wody są do tej sieci podłączone” itd.

⁴ Paweł Huelle, *Winniczki, kałuże, deszcz* [w:] tegoż, *Opowiadania na czas przeprowadzki*, Gdańsk 1999, s. 51.

⁵ Radu Vancu, *Geneza metafory i znaczenie pamięci*, „Helikopter” 2/2017.

⁶ Wywiad z marca 2017 r. przeprowadzony w ramach badań grantowych *Mowa polska na Bukowinie Karpackiej. Dokumentacja zanikającego dziedzictwa narodowego* – 2015-2018, NPRH, nr projektu 1bH 15 0354 83, afiliacja: Instytut Slawistyki PAN w Warszawie.

⁷ Oddzielenie porządku życia od porządku śmierci opisał m.in. w swojej świetnej

Podobnie jak cała Bukowina Ruda jest miejscem magicznym. Położona tuż przy granicy z Ukrainą, wymierająca, a jednocześnie pełna życia. Przecięta przez dwie rzeczki, wypełniona słońcem, wiatrem i deszczem. W tym roku tam właśnie zdarzyło mi się przeżyć pierwszą wiosenną burzę, którą rozpuł zachodni wiatr. Miejscowi mawiają: „Burza od zachodu oznacza, że lato będzie mokre” – jednak zanim przyjmie się to do wiadomości, trzeba sobie uzmysłowić, że zachód w Rudzie oznacza Ukrainę. I już inaczej patrzy się na horyzont.

Czasem trzeba pojechać na koniec świata, żeby znaleźć siebie, jak pisał Andrzej Muszyński w „Miedzy”⁸. Czasami dopiero na końcu świata jesteśmy w stanie odkryć wzorce i reguły, które ukształtowały nasz sposób myślenia o rzeczywistości. Ruda potrafi zmienić człowieka, który do niej



Rumuński kondukt pogrzebowy
Fot. Karina Stempel

trafi, podobnie jak wiele miejsc na rumuńskiej Bukowinie. Wszędzie tam, pytając o tożsamość innych, należy sobie samemu odpowiedzieć na pytanie, kim się jest. A raczej kim się było przed staniem się osobą, która nigdy już nie przejdzie obojętnie obok rosnących na cmentarzu śliwek, jabłek czy czereśni. ●



Droga do Rudy
Fot. Karina Stempel

książce *Trup: od biologii do antropologii* Louis-Vincent Thomas (Łódź 1991, przeł. Krzysztof Kocjan).

⁸ Andrzej Muszyński, *Gemeinschaft* [w:] tegoż, *Miedza*, Wołowiec 2013, s.111.

Fot. Wiktor Zborowski -
oficjalny fanpage



Specjalnie dla kwartalnika **AFRONT!**

„Pokot” wstrzelił się w dychę

Z **Wiktorem Zborowskim** o filmie trafionym w czas
i o granii w ogóle rozmawia **Mirosław G. Majewski**.

Mirosław Majewski: *Zacznę od końca. W jednym z wywiadów powiedziałaś o filmie Agnieszki Holland „Pokot”, w którym grasz jedną z głównych ról, cytując: „że jest w dychę trafiony w czas”. Czy mógłbyś rozwinąć tę myśl?*

Wiktor Zborowski: Hm... To jest niesłychane... Agnieszka Holland ma rzadki dar, taki wewnętrzny, artystyczny sejsmograf w sobie, i to taki, który iskrzy ostrzegawczo, zanim cokolwiek się stanie...

M.M.: *Może to kobieca intuicja?*

W.Z.: Bo ja wiem? Na siłę można to podciągnąć pod kobiecą intuicję. Jeżeli już, to jest to przede wszystkim intuicja profesjonalnego filmowca,

ocierająca się o profetyzm, ponieważ film ten precyzyjnie diagnozuje naszą rzeczywistość, i to nie tylko – dodajmy, aby wszystko było jasne – rzeczywistość naszego polskiego piekielka. „Pokot” dosłownie wstrzelił się w dychę, myślę, że tak jak „Powidoki” Andrzeja Wajdy. To są twórcy z najużyźszej półki...

M.M.: *Ale wcześniej musiała wstrzelić się w dychę swoim tekstem Olga Tokarczuk.*

W.Z.: Tak. Z tym, że Agnieszka wyczuła idealnie czas na sfilmowanie książki, która tak jak film, porusza bardzo ciekawe tematy, że przywołam patriarchalne spostrzeganie świata, ekologię, szowinizm, a nawet seksizm. Boję się, że wkrótce trzeba będzie słono zapłacić za ten wysta-

wiony nam, nie tylko przez naturę, rachunek. Nie chcę zdradzać fabuły. Powtórzyć, jest to bardzo mocne, mądre, skłaniające do refleksji kino. Zapraszam.

M.M.: „Ausma”, film łotewski, w Polsce znany pod tytułem „Świt” – tam też grasz jedną z głównych ról. Gdybyś mógł zachęcić nas jednym zdaniem...

W.Z.: Jednym zdaniem to raczej się nie da. To zupełnie inny film, chociaż można znaleźć jakąś wspólną płaszczyznę. „Ausmę” również reżyserowała kobieta – Laila Pakalnina, a scenariusz, jej autorstwa, został oparty na tekście samego Siergieja Eisensteina opisującego biografie Paulika Morozowa, który zadenuncjował swojego ojca przeciwstawiającego się kolektywizacji wsi.

M.M.: Tak, to głośna sprawa, słyszałem o niej już jako dziecko. Cóż, zmieńmy może ten mroczny klimat i przejdźmy do filmu Janusza Majewskiego „Ekscentrycy, czyli...”

W.Z.: ...czyli po słonecznej stronie ulicy”. Zastrzegam, jednym zdaniem się nie da.

M.M.: Skoro nam się rozjaśniło, proszę o słów kilka.

W.Z.: Słów kilka, no, może nut kilka, gdyż przede wszystkim jest tam muzyka, a dokładnie stary, dobry jazz, firmowany przez gigantów klasycznego jazzu, których długo by wymieniać. Co do samego filmu, akcja ukomponowana jest w schyłek lat 50., w gomulkowską odwilż. Do Ciecocińska wraca z emigracji zdolny, ambitny muzyk Fabian, w tej roli Maciek Stuhr, który ma plan skrzyknięcia big-bandu, jednym słowem taki mezalians jazzu i socrealizmu! Trzeba dodać, że w tamtych siermiężnych czasach, o których już niewiele pamięta, trzeba było nieźle się nagimnastykować, aby żyć – wbrew obowiązującej szarości i nijakości – po tej właśnie słonecznej stronie. Z tym, że dla ówczesnej władzy bynajmniej nie była to słoneczna strona; raczej zgniała, taka spod ciemnej gwiazdy, politycznie niepoprawna. Nie wiem, czy zauważyłeś, że to, co słoneczne dla jednych, niekoniecznie jest takie dla drugich. Myślę, że Janusz Majewski ten optyczny paradoks doskonale przedstawił.

M.M.: No właśnie, Janusz Majewski. Zagrałeś sympatyczną postać profesora Syfona w innym filmie Majewskiego – „Mała Matura 1947”. Czy uważasz się za aktora Janusza Majewskiego?

W.Z.: (po chwili) W pewnym sensie tak. Wszystko zaczęło się od roli Moryca Habera w filmie „CK Dezerterzy” z 1985...

M.M.: Wiesz, w ilu przedsięwzięciach Majewskiego brałeś udział?

W.Z.: Z Teatrem Telewizji zbierałoby się sporo.

M.M.: Ja naliczyłem 16.

W.Z.: Myślę, że mogło tego być więcej, nigdy tego nie księgowałem. Chyba masz rację co do tego, że jestem aktorem Janusza Majewskiego, ale muszę zastrzec, że nie tylko jego.

M.M.: Oczywiście, że nie tylko jego, ale mnie niezmiernie cieszy fakt, że najwięcej grasz u Janusza Majewskiego.

W.Z.: Mnie też to cieszy. Janusz jest moim przyjacielem i Mistrzem.

M.M.: Skoro już sobie to wyjaśniliśmy, zapytam cię o debiut filmowy, a dokładnie o to, czy odcisnął na tobie jakieś piętno. Debiut to zawsze debiut. Młody aktor musi to chyba mocno przeżywać.

W.Z.: Na mnie niczego nie odcisnął. To był film Romana Wionczka, nazywał się „Padalce” Wiesz co, dziś nawet nie za bardzo pamiętam, z kim tam grałem.

M.M.: A pamiętasz, kogo grałeś?

W.Z.: Wikarego.

M.M.: Grałeś tam między innymi z Płotnickim, Rachwalską, Szykulską, Baerem, Dzwonkowskim, Benoitem. Jednym słowem, ówczesna pierwsza liga.

W.Z.: No tak, obsada z górnej półki, film raczej nie. W każdym razie nie przywiązywałem dużej wagi do mojego debiutu.

M.M.: W takim razie twój debiut teatralny.

W.Z.: To jak miałem 11 lat...

M.M.: Ale taki profesjonalny.

W.Z.: „Antygona” u Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym.

M.M.: No masz! Wymarzony debiut! Nie dość, że u Hanuszkiewicza, którego darzę niesamowitą estymą, to jeszcze w Narodowym. Nie każdy debiutant ma tyle szczęścia.

W.Z.: Przez urodzoną skromność nie zaprzeczę.

M.M.: A już w niecały rok później wcieliłeś się w Chochlika w głośnej na całą Polskę inscenizacji „Balladyny”... No i teraz trzeba przywołać hondy. To było artystyczne wydarzenie najwyższych lotów i gdzieś podprogowo odcisnęło swoje piętno i na mnie, nastolatku zapatrzonym w Winnetou i Janka Kosa z „Pancernych”.

W.Z.: Podzielał twoją fascynację Adamem Hanuszkiewiczem. On, jak nikt inny wcześniej, potrafił połączyć awangardę z klasyką. Może nie tyle połączyć, co poruszać się swobodnie w jednej i drugiej materii, wydawać by się mogło przeciwstawnych sobie przestrzeniach teatralnych, a to rzadka umiejętność. Myślę, że Adam Hanuszkiewicz przetańczył takim tuzem teatru jak Lupa, Jarzyna, Klata, Warlikowski, żeby wymienić tych najbardziej znanych.

M.M.: Miałeś etat w teatrze, czy byłeś wolnym strzelcem?

W.Z.: Oczywiście, miałem etat, w Narodowym, Kwadracie, Ateneum, ale od kilkunastu lat jestem wolnym strzelcem.

M.M.: *Zaczęliśmy naszą rozmowę od filmu „Pokot”, czyli od końca, i powoli zbliżamy się do początku, skoro roztrząsamy twój debiut teatralny. A więc – chcąc nie chcąc – muszę zadać to banalne pytanie, czyli: jak to się stało, że zostałeś aktorem? Obciążenie genetyczne?*

W.Z.: Zapewne to aluzja do moich dziadków, którzy grali w amatorskim teatrze, ale przede wszystkim wujka Jana Kobuszeńskiego. Z moimi warunkami fizycznymi miałem idealne predyspozycje do gry w koszykówkę i jak zapewne wiesz, byłem koszykarzem w Polonii Warszawa, a nawet reprezentantem Polski juniorów. Niestety, w klasie maturalnej nabawiłem się kontuzji i moja sportowa kariera legła w gruzach.

M.M.: *Być może nie powinienem tego mówić, ale bardzo się cieszę z twojej kontuzji. Kariery sportowe trwają krótko i są kruche. A aktorskie, cóż, jeżeli chodzi o twoją, to bez żadnej wazeliny, publicznie stwierdzam, że jest jak skrzypce i wino! Wiem, wiem, przez urodzoną skromność nie zaprzeczysz.*

W.Z.: Trudno, co robić, nie zaprzeczę ☺

M.M.: *Wujek aktorem, żona aktorką, a teraz i córka. Nie zniechęcałeś jej do tego zawodu, który – jak sam stwierdziłeś – nie jest łatwy?*

W.Z.: A co ja miałem do gadania...

M.M.: *No tak... Jesteś aktorem filmowym, teatralnym i estradowym. Czy w tych trzech przestrzeniach gra się jednakowo, ze sztancy, czy do każdej trzeba podejść inaczej? Pytam, bo nie wiem.*

W.Z.: Inaczej gra się w filmie, kiedy pracujesz z kamerą, a inaczej w teatrze czy na estradzie, kiedy masz kontakt z widzami. Ja nagrałem się w teatrze i myślę, że w tej przestrzeni mojego zawodu wypowiedziałem się dość mocno, czego nie mogę powiedzieć o filmie, którego wciąż czuję niedosyt. Jestem pewien, że czeka na mnie jeszcze rola życia.

M.M.: *Zaskoczyłeś mnie! Czujesz niedosyt nawet po zagranii w „Austrii” i „Pokocie”?*

W.Z.: Tak.

M.M.: *No to życzę ci takiej roli, w której się spełnisz w 100 procentach, a teraz zajrzyjmy na chwilę do innej formy aktorskiej, czyli dubbingu.*

W.Z.: No to cię zmartwię, jako widz nie przepadam za dubbingiem.

M.M.: *No nie! Dobry dubbing nie jest zły, a bywa, że jest lepszy od oryginału. Słyszałem, że Obelix Zborowski jest lepszy od Obelixa Gérarda Depardieu.*

W.Z.: Też to słyszałem, od Daniela Olbrychskiego ☺ Ale z dubbingiem bywa różnie. Najbardziej wymagające są kreskówki, w których oprócz

tekstu trzeba wydobyć z siebie różne dźwięki, często nie do wydobywania. Przy czym takim podkładaniu głosu takiemu Gandalfowi jest dziecinnie proste.

M.M.: *Aktorzy, chociaż nie zawsze się do tego przyznają, marzą o niektórych rolach. Czy tak też jest w dubbingu? Na przykład: „Boże, jakbym chciał podkładać swój głos Kaczorowi Donaldowi”!*

W.Z.: Nic mi na ten temat nie wiadomo. Przynajmniej, jeżeli chodzi o mnie.

M.M.: *Zostały nam jeszcze audiobooki. Czy aktor podchodzi do tego zadania tak samo jak do dubbingu? A może inaczej? Jak to jest z tobą?*

W.Z.: Nie wiem jak inni, ale ja do audiobooków podchodzę bardzo poważnie. Gdy czytasz, powiedzmy, „Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa, toż to sama przyjemność! Ale z książkami dla dzieci jest to już ciężka praca. Tak czy owak, czytanie audiobooków sprawia mi prawdziwą frajdę. A do tego dochodzi świadomość, że ktoś cię słucha, nie męcząc przy tym wzroku, ba, nawet nie używając światła. Same plusy.

M.M.: *No, to przekonałeś mnie do audiobooków, tym bardziej że wzrok już nie ten. A poza tym, kiedy Wiktor Zborowski będzie czytał mi Bułhakowa, to żyć nie umierać. Wiktor, bardzo ci dziękuję, że znalazłeś 20 minut na ten telefoniczny wywiad, nie wiem tylko, czy zdajesz sobie sprawę, że minęła właśnie 80 minuta naszej rozmowy... ●*



Fot. Wiktor Zborowski - oficjalny fanpage



W y w i a d

Jesteśmy szczęściarzami...

Z **Martyną Flemming**, autorką książki *Życie pechowej emigrantki*,
rozmawia **Agnieszka Zub**.

Agnieszka Zub: „Życie pechowej emigrantki”, twoja pierwsza książka, to zbiór różnorodnych historii, czasem śmiesznych, czasem wzruszających, opowiadających o dziewczynie, która szuka w życiu swojego miejsca – o tobie. Jak zmieniło się twoje życie po wydaniu tej powieści?

Martyna Flemming: Wydanie książki ułatwiło mi jedną, zasadniczą rzecz – dało pieniądze na podróżowanie, najważniejszą rzecz w moim życiu. Z racji tego, że książka otrzymała wiele nagród, otworzyła również wiele drzwi, które wcześniej były dla mnie zamknięte. Muszę wymienić jedną rzecz, która zmieniła się w moim nastawieniu do życia: wydanie książki, w której sukces mało kto wierzył, dało mi wiarę, że nie ma przede mną niemożliwego. Nie wiem, co jest w stanie teraz mnie zatrzymać w realizacji moich marzeń. Chyba tylko choroba.

A.Z.: Wspomniana książka w pewnym momencie trafiła na 3. miejsce listy bestsellerów Empiku w kategorii literatura faktu/literatura podróżnicza. Czy spodziewałaś się takiego sukcesu?

M.F.: Znalazła się tam zaledwie 3 tygodnie po premierze. Był to czas, kiedy nie do końca docierała do mnie jeszcze informacja, że książka jest wydana. Obserwowanie mojej książki, gdy walczyła w rankingu w Empiku z pozycjami W. Cejrowskiego czy M. Wojciechowskiej to bezcenne uczucie. Czy jednak to był sukces? Finansowy tak. Do mnie chyba nadal nie dociera, co się stało. Jakbym żyła w jakiejś nierealnej próżni. Mam tak dziwnie skonstruowany świat własnych myśli, że nie skupiam się na sukcesach, pruję dalej do przodu, bo zawsze może być lepiej. Zatem z drugą książką trafię na 1. miejsce i będziemy wówczas rozmawiać, czy to sukces...



A.Z.: W „Życiu pechowej emigrantki” opisujesz własne przeżycia. Czy nie obawiałaś się, że przekroczysz granicę, za którą stracisz swoją prywatność?

M.F.: Zmieniłam imię bohaterki z dwóch powodów: od dziecka marzyłam, by mieć na imię Kama. I miałam okazję być Kamą choć przez chwilę. Poza tym chciałam ochronić moją mamę przed uszczypliwymi komentarzami znajomych, którzy zarzuciliby mi zbyt duże otwarcie na intymność. Mama zawsze może powiedzieć, że to książka nie o mnie, tylko o jakiejś Kamie. Efekt jest jednak taki, że każdy myśli, co myśli, a ja zmieniłam zdanie na temat chronienia bliskich. Nie uznaję już półśrodków. W drugiej książce jestem Martyną i jeszcze bardziej otwarcie opisuję swoje życie. Książka jest o relacjach damsko-męskich, więc naprawdę można się czasem zarumienić. A czy przekroczyłam w niej jakieś granice? Nie mogę przekroczyć granicy, którą sama sobie ustaliłam. Jestem autorką, mam więc kontrolę nad tym, co piszę i co trafia do druku. Wszystko, co czytelnik przeczytał w książce, było przemyślaną strategią. Nie czuję się odarta z prywatności. Nie mam potrzeby chronienia jej elementów. Opisuję prawdę i prawdziwe uczucia. Może dlatego książka się spodobała? Ludzie uwierzyli w prawdziwość historii. A to dla mnie było najważniejsze – być autentyczną w swojej książce.

A.Z.: Skoro mowa o twojej pierwszej powieści, zdradzisz nam, co właściwie stało się z Adamem (jeden z bohaterów pierwszej powieści Martyny Flemming – dop. red.)? Czy to z zbyt osobiste pytanie?

M.F.: Odpowiedź na to pytanie znajdzie się w nowej książce. Premiera we wrześniu.

A.Z.: Czekamy zatem na wrzesień. A skoro mowa o drugiej powieści... Czy pisanie i ciągłe podróże nie stanowią dla ciebie jakiejś formy ucieczki przed sobą albo przed światem?

M.F.: Pisanie to moje hobby, które zamieniło się w pracę. Zawsze to lubiłam. Pisałam od dziecka, gdyż to, co myślałam i czułam, było zbyt mało interesujące dla koleżanek, które miały mnie w nosie. Nie mogłam im o tym opowiedzieć. Kartka przyjęła wszystko. Koleżanki niekoniecznie... A czy ciągłe podróżowanie jest ucieczką? Tak samo, jak stabilizacja i chęć posiadania własnego domu jest ucieczką przed wyzwaniem, przed odrobiną szaleństwa. Każdy przed czymś ucieka. Ja najczęściej uciekam przed ludźmi, którzy mnie irytują lub chcą ode mnie za dużo. Uciekam też do ludzi (innych, obcych), których – bez konieczności tłu-

maczenia się – zawsze mogę zostawić gdzieś na trasie, w jakimś porcie. Lubię nowości. Myślę, że w jakimś sensie mam skłonności socjopatyczne – lubię samotność, bycie samej ze sobą. Lubię poimprezować, pobyc z ludźmi, ale jeśli tylko zamarzę, by zniknąć z tego imprezowego świata, chcę mieć poczucie, że mogę to zrobić w każdym dosłownie momencie. Taka forma wolności mi opowiada.

A.Z.: Czy zatem znalazłaś już swoje miejsce w życiu? Czy ono w ogóle istnieje?

M.F.: Nie odczuwam potrzeby posiadania swojego miejsca na świecie. Nie marzę o firankach w oknie, widoku na ogródek, grządkach z kwiatami i komfortowym łóżku w domu za pół miliona złotych. Pasuje mi życie w plecaku – im mniejszym, tym lepiej. Na chwilę obecną moim miejscem na Ziemi jest wyspa Phi Phi w Tajlandii. Idealna mieszanka dzikości przyrody, ciszy, turystów, imprez. Mam tam lokalnych znajomych i nawet za nimi tęsknię. Niedługo tam wracam. Do tej pory tam czułam się najszczęśliwsza w życiu.

A.Z.: Wiem, że podróżujesz samotnie. Jak ten fakt jest odbierany przez osoby, które spotykasz podczas swoich wypraw?

M.F.: Nam w Polsce wydaje się to jeszcze dziwne, ale samotne podróżowanie po świecie jest już popularne wśród innych nacji. Ludzie dziwią się najbardziej, że dają radę wytrzymać samotnie przez wiele dni, że nie potrzebuję kompanów, którzy zagłuszą ciszę wokół mnie. Ale ja lubię tę ciszę. Czasem sztucznie ją kreuję. Jest mi ona potrzebna, zwłaszcza jeśli w czasie podróży piszę. Najczęściej słyszę słowa uznania i szacunku, że nie są mi straszne niewygody, że nie marudzę na robactwo i potrafię cieszyć się małymi rzeczami. Ale to cena za długość wyprawy. W lepszych warunkach mogłabym podróżować miesiąc. Z tym samym budżetem, w gorszych warunkach, w tanich krajach spędzę cztery miesiące. Zatem wybieram dłuższą, mniej komfortową opcję. I to wzbudza szacunek. Samotna kobieta, która nie marudzi na warunki, to jednak rzadkość.

A.Z.: W jednym z twoich wpisów na blogu (producentkaspasji.blog.pl) można przeczytać: „Chcę spróbować każdych doznań. Nawet jeśli mają wiązać się z niedostatkiem, niemocą, chcę wiedzieć, jak to jest! To tylko życie, i tak minie – więc czemu nie chceć doświadczyć wszystkiego?”. To bardzo odważne stwierdzenie... Która z twoich dotychczasowych przygód była najbardziej niebezpieczna?

M.F.: Kilkakrotnie omal nie straciłam życia. Często przeginam w wystawianiu się na ryzyko. Najbardziej niebezpieczna przygoda ostatnich miesięcy to trzydniowa wyprawa na czynny wulkan Rinjani w Indonezji (wyspa Lombok). Wulkan ma 3726 m n.p.m. Między listopadem a marcem wspinanie na wulkan jest zabronione z powodu pory deszczowej. Razem z Dunką i Niemką wdrapałyśmy się na szczyt w grudniu. Prawie zginęłyśmy. Jak skończyła się ta historia? Odpowiedź znajdziecie w najnowszej książce, której premiera będzie we wrześniu.

A.Z.: Mówi się, że bycie bezrobotną to jedna z najbardziej stresogennych sytuacji w życiu. Ty do tej pory ponad 30 razy zmieniałaś pracę, występowałaś w teleturniejach, miałaś własną szkołę tańca, praco-

walaś w kasynach... Jak radzisz sobie z częstymi zmianami zajęcia? I które z dotychczasowych było najciekawsze?

M.F.: Lubię chodzić na rozmowy o pracę. Zero stresu. Jeśli człowiek czegoś nie trenuje, ta rzecz go przeraża. Robiłam to tyle razy, że nie odczuwam zdenerwowania. Tyle razy wyrzucano mnie z pracy, że nawet nauczyłam się to przyjmować z godnością, bez stresu. We wszystkim można dojść (hahaha) do perfekcji. Tylko trzeba trenować. Uwielbiam zmieniać pracę, stagnacja mnie nudzi. Im częściej zmieniam zajęcia, tym większa rośnie we mnie pewność, że cokolwiek się stanie, dam radę. Tyle razy dałam radę, tym razem też dam. Najciekawsze będzie już zawsze podróżowanie ze zbieraniem materiału na następne książki. Tego nic nie przebije.

A.Z.: *Zwiedziłaś dotąd całkiem sporo zakątków świata. Niedawno wróciłaś z Azji, wcześniej mieszkałaś m.in. w Holandii i na Cyprze. Czytając „Życie...” zastanawiałam się, jak odnalazłaś się w Norwegii. Czy to miejsce nie było dla ciebie zbyt... spokojne?*

M.F.: Zakochałam się w kimś, kto dostał tam stypendium naukowe. Początkowo się tam nie odnajdowałam. Ale Norwegia nauczyła mnie radzenia sobie z samotnością. Życie za kołem podbiegunowym, gdzie brakuje typowych rozrywek, które można znaleźć w każdym mieście, zmusiło mnie do bycia kreatywną. Z racji tego, że nie znoszę bezczynności, spokojny norweski czas wykorzystywałam na naukę rzeczy, na które nie miałam wcześniej czasu, np. języka.

A.Z.: *W Azji powstała twoja druga książka. O czym będzie nowa powieść i jak przebiegało szukanie inspiracji?*



M.F.: Hahaha, dobre pytanie. Nowa książka jest o mężczyznach. Moich obserwacjach dotyczących ich działania. Jak zabiegają o kobiety, jak wygląda proces podrywu. Jakie stosują gierki. Jak ściemniają, by zaciągnąć kobietę do łóżka. Opisuję swoje przygody, w których nie brakowało mężczyźni z różnych odległych krajów. To będzie hit. Napisałam bardzo zabawną książkę. Tak samo zabawną, jak są mężczyźni.

A.Z.: *Na swoim blogu napisałaś niedawno: „Zwłaszcza tutaj, w Azji, człowiek Europy, człowiek Zachodu powinien zasłonić ze wstydu twarz, jeśli nadal uważa, że ma kiepskie życie”. Co cię skłoniło do takich refleksji? Czy Polacy nie doceniają swojego życia w Polsce?*

M.F.: Wierzę w jedno: im więcej widzisz odmiennych rzeczy, tym bardziej jesteś otwarty na świat. Powiedziałam wcześniej, że mam skłonności socjopatyczne, że uciekam od ludzi w samotność, w pisanie. Właśnie dlatego, że poziom mojego odbierania świata jest odmienny od tego, jaki obserwuję u ludzi np. w Polsce czy w Holandii, gdzie mieszkałam ostatnie 4 lata. Konsumpcjonizm, zbieractwo kolejnych i kolejnych przedmiotów do domu. Wyszukiwanie problemów, które tak naprawdę nie są problemami. Ludzie Zachodu, do których zaliczam Polaków, są za bardzo skupieni na tym, czego jeszcze nie mają. Azja nauczyła mnie cieszenia się z tego, co mam. Dostrzegania małych rzeczy. Polacy zazwyczaj narzekają, gdy zapyta się ich o to, co słycać. Azjata, który śpi w drewnianej szopie, nie ma dostępu do bieżącej wody, dzieci myje w misce przed rozwalającym się sklepem, gdzie sprzedaje pięć rzeczy na krzyż, zapytany o samopoczucie powie, że świetnie. Bo wie, że nawet tego mógłby nie mieć. Dlatego widok bezdomnych np. w Kuala Lumpur, śpiących na ulicy, zabiegających o każde wolne i ciepłe miejsce do spania, na długą zostanie jeszcze przed moimi oczami. I gdy zechcę narzekać, ten obraz ustawi mnie do pionu. Jesteśmy szczęściarzami.

A.Z.: *Czym różnią się przedstawiciele innych narodowości od Polaków? Czy obraz Polaka, zwłaszcza Polaka na emigracji, rzeczywiście jest taki zły?*

M.F.: Kolejne dobre pytanie. I odpowiedź jest dwojaka. Polak w wielu europejskich krajach jest postrzegany podobnie. Każdy zna te stereotypy, wielokrotnie powtarzane w mediach, wśród ludzi. Będąc w Azji i mając do czynienia w większości przypadków z Azjatami, Australijczykami, Amerykanami i mieszkańcami krajów Ameryki Południowej, ani razu nie poczułam się zaszuladkowana jako taka i taka Polka, jak to często ma miejsce w Europie. Chyba stereotypy o Polakach nie docierają tak masowo i tak daleko – i całe szczęście.

A.Z.: *O czym marzy Martyna Flemming?*

M.F.: O tym, by mój gadzet (najnowszy pomysł), po opatentowaniu – na dniach to zrobię, dało się sprzedać inwestorowi do masowej produkcji. Daję sobie maksymalnie 1,5 roku na wdrożenie gadzetu na rynek europejski. Na 40. urodziny (listopad 2018 roku) chcę mieć wystarczająco dużo pieniędzy, by móc wyprodukować film na podstawie mojej książki. Takie mam marzenie. A jak będzie? Tak, jak się przyłożę. Więc zabieram się do pracy. ●

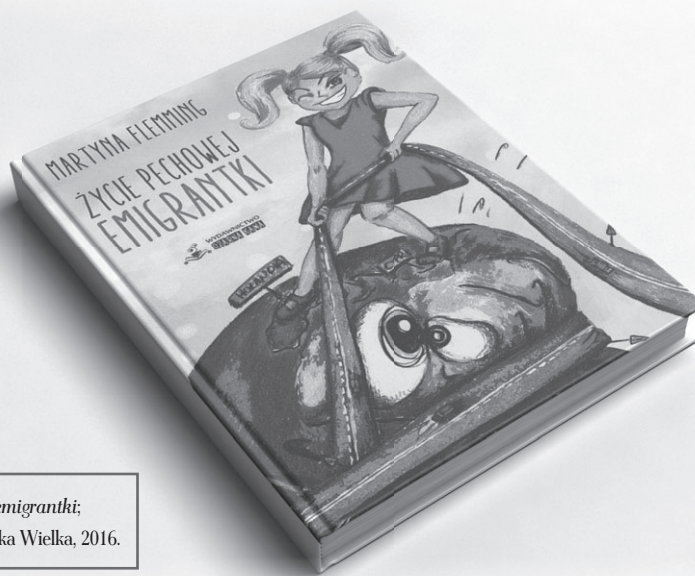
Fot. archiwum prywatne



Silva rerum

O książce Martyny Flemming "Życie pechowej emigrantki"

Czym jest spisane przez Martynę Flemming *Życie pechowej emigrantki*? Pamiętnikiem? Zbiorem reportaży, felietonów i opowiadań? Poradnikiem turysty i emigranta? Jest tym wszystkim po trochu. A co lepsze, jest to bardzo dobrze napisane i bardzo dobrze się to czyta!



Martyna Flemming: *Życie pechowej emigrantki*,
Wydawnictwo „Czarna Kawa”, Polanka Wielka, 2016.

Zacznijmy od okładki... Wiem, nie ocenia się książki po okładce, ale oprawa graficzna jest tym, co widzimy jako pierwsze. To ona „ustawia” nam odbiór tekstu, przynajmniej z początku. Okładka *Życia pechowej emigrantki* jest przezabawna. Patrząc na nią, spodziewamy się powieści satyrycznej lub zbioru humoresek, fajerwerków śmiechu. Otwieramy książkę, natrafiamy na dedykację i – delikatnie mówiąc, czujemy się zbici z tropu... albo, ściślej mówiąc, czujemy się zbici kastetem w twarz, czoło, obie skronie. W miarę czytania autorka zbija nas z tropu coraz bardziej, choć już nie w tak drastycznym sensie. Pytamy siebie: co właściwie czytamy?

W XVII wieku popularnością wśród szlachty cieszyło się coś, co nosiło nazwę „silva rerum” (łac. „las rzeczy”). Był to gruby brulion w twardej oprawie, do którego właściciel wpisywał wszystko, co miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Obok zapisków o wydarzeniach rodzinnych lub publicznych notowano tam (własne lub cudze) wiersze, fragmenty prozy, komentowano sytuację polityczną, zapisywano wysokość plonów i teksty modlitw, własne refleksje na wszelkie tematy, przepisy kuchenne i metody uprawy roli... Słowem: „sylwa” – bo takim spolszczonym mianem ją u nas nazywano – stanowiła mieszmasz na poziomie intelektualnym jej

właściciela. Były „sylwy” płytkie i bałaganiarskie, gdzie cytaty z literatury – poprzekęcane i najczęściej „wyrywane z mięsem”, bez podania autora – mieszały się z uróżbami i zabobonami, a ewentualne własne myśli raziły naiwnością. Do naszych czasów dotrwały też nieliczne „sylwy” starannie uporządkowane, będące dla współczesnych badaczy cennym źródłem informacji historycznych lub odpowiedzi zaginionych utworów literackich.

Łatwo zauważyć, że w naszym stuleciu rolę „silva rerum” przejęły w pewnym stopniu blogi internetowe. Stanowią one przecież krzyżówkę pamiętnika z notatnikiem. I znów, podobnie jak w czasach sarmackich, poziom tych współczesnych, elektronicznych zapisków jest zróżnicowany. Przeglądając je, często natrafiamy na płytkie wynurzenia nastoletnich autorów bądź autorek, słabe literacko opisy pijackich imprez, podbojów miłosnych i seksualnych, ewentualnie „odlotów” narkotycznych. Od czasu do czasu można jednak odnaleźć blog, którego autor dzieli się własną rzetelną wiedzą z jakiejś dziedziny, lub ze swadą opisuje własne naprawdę ciekawe doświadczenia i przemyślenia.

Życie pechowej emigrantki było początkowo właśnie blogiem. Dodajmy: bardzo dobrym blogiem, opisującym przede wszystkim emigracyjne doświadczenia autorki. Po uporządkowaniu chronologicznym, dopraco-

waniu i uzupełnieniu blog przybrał formę drukowaną. Tłumaczyłoby to „sylwiczność” książki, jej eklektyzm. Kolejne wpisy blogowe – tworzone zapewne jeszcze bez myśli o zebraniu ich w jednym tomie – przybierały taką formę, jaka do danego tematu autorce pasowała. Czasem był to krótki reportaż, kiedy indziej felieton, nawet opowiadanie, a często – po prostu zapisek pamiętnikarski.

Eklektyzm nie oznacza tutaj w żadnym razie chaosu. Chociaż bowiem tu i tam zdarzają się dygresje, nawiązania do wydarzeń wcześniejszych, ogólnie całość ma uporządkowaną, chronologiczną budowę.

I tak pierwsza część obejmuje czas sprzed tytułowej emigracji, a więc dzieciństwo pisarki, czasy szkolne i studenckie, karierę taneczną. Te karty książki mają w sobie najwięcej z pamiętnika. Stanowią po prostu relację z kolejnych zdarzeń. Trzeba przy tym zaraz dodać: zdarzeń nietuzinkowych, bo któż z nas prowadził w Polsce zespół taneczny z Kanadyjczykami w składzie, miał własną szkołę tańca, a do tego jeszcze niemal zawodowo startował w teleturniejach?

Część druga, „emigracyjna”, również zaczyna się jak pamiętnik i do końca ma pewne jego cechy. Zarazem jednak z rozdziału na rozdział coraz mocniej ujawnia się zacięcie dziennikarskie, szczególnie reporterskie. Chociaż właściwie pierwszym tekstem dającym się uznać za reportaż jest rozdział „Moje teleturnieje” (a w jakimś stopniu również „Tydzień z życia w klasztorze”), pierwszym świetnym przykładem tego gatunku jest chyba „Nie tak, jak powinno”. Z genialnym zmysłem obserwacji opisano w nim, opierając się na licznych przykładach, swoisty „tumiwizizm” Norwegów.

Opisując swój pobyt i pracę w Norwegii, na Cyprze, wreszcie w Holandii, a także wojaże po Europie, autorka nie tylko opowiada o własnych przygodach (co zresztą czyni w jak najlepszym reporterskim stylu – podejrzewam lekturę Kapuścińskiego!). Przede wszystkim stara się oddać klimat danego kraju, miejscową obyczajowość, sposób bycia, charakterystyczne zachowania, wreszcie – śmieszności tak mieszkańców danego kraju, jak i... przebywających tam Polaków. Bez kwiecistych opisów, w kilku celnych zdaniach ujmuje wygląd i nastrój ulic i wnętrz, odwiedzonych krajów i poszczególnych miejsc. Czy to cypryjska jaskinia hazardu, czy hotel pracowniczy w Holandii – już po chwili mamy wrażenie, że znamy to, że byliśmy tam razem z opowiadającą. Wspólnie z nią uczestniczymy w ceremonii żałobnej na Cyprze i prowadzimy samochód przez Alpy.

Trzecia, najkrótsza część jest przejmującym zapisem osobistej tragedii. Spodziewalibyśmy się więc „czystego” pamiętnika – a jednak i tu często bierze górę „żyłka” dziennikarska. Szczególnie mam tu na myśli passusy o holenderskiej służbie zdrowia, ale i opis zmiany koła w samochodzie unieruchomionym na autostradzie ma wiele z reportażu – krótkie, rzeczowe akapity; celne użycie równoważników zdań...

W ogóle panowanie nad językiem jest mocną stroną pisarstwa Martyny Flemming. Być może jeszcze w pierwszej części zdarza się sporadycznie, że autorka „leci” nadmiernym skrótem. Np. gdy czytamy: „Zawsze lubiłam muzykę lat sześćdziesiątych, więc kiedy weszliśmy do restauracji i zobaczyłam, że gościom do posiłku przygrywa niesamowicie przystojny facet, zapomniałam o przegranej w blackjacka” – domyślamy

się automatycznie, że ów muzyk grał właśnie coś z lat sześćdziesiątych, ale ożywiłoby tę scenę nadmienienie, że było to, powiedzmy, „House of Rising Sun” lub „Hey Jude”. W dalszych częściach pisarka bez reszty panuje już nad słowem i nie mówi ani za dużo, ani za mało.

Pochwalić też trzeba kolosalny zmysł humoru. O zabawnych zdarzeniach z własnym udziałem autorka pisze ze zdrową autoironią – polecam choćby historyjkę o tym, jak wszczęła alarm w niemieckim szpitalu. Książka pełna jest takich anegdot. Co więcej, trafiają się w niej perełki humoru słownego. Weźmy zdanie tyleż komiczne, co niezwykle poetyckie: „Moja ruwa kulsozowa wybierała się na basen, ale jakoś dojechać nie mogła”. Znac mistrza!

Oprócz reportażu, trafia się czasem, jak już mówiliśmy, niezły felieton. Mowa o fragmentach, w których autorka ujmuje wielość swych spostrzeżeń w zbiorczą syntezę. Szczególnie dużo tekstów tego rodzaju powstało z inspiracji pobytem na Cyprze. Felietonami są takie rozdziały, jak „Obrzydliwie bogaci ludzie”, „Zrozumieć kobiety”, „Miłość Bo”, „Męskie myślenie”, „Religijne zakłamanie”. Z rozdziałów „holenderskich” do felietonów trzeba też zaliczyć tekst „Kim jest Polak w Holandii?”, a w „polskiej” części cechy felietonu zdradza swoista humoreska „I jak tam twoje sny?”. Ich konstrukcja jest przeważnie podobna – i to nie zarzut, bo w końcu każdy dobry felietonista ma swój styl i swoją metodę. Flemming gromadzi kilka zdarzeń – przeżytych, zaobserwowanych lub zasłysanych – mających jakąś wspólną cechę. Taki ciąg anegdot autorka podsumowuje wyrazistą pointą lub poprzedza równie błyskotliwą tezą.

Ponadto można w książce znaleźć kilka naprawdę udanych opowiadań. Próbą zmierzenia się z tym gatunkiem jest już pierwszy rozdział – „Droga do lepszego nieszczęścia”. Trudno orzec, czy jest on zainspirowany rzeczywistymi zdarzeniami, czy też czysto fikcyjny, w każdym razie stanowi wyraźną paralelę z dalszą treścią *Życia pechowej emigrantki*. Całkiem dobrymi opowiadaniem psychologicznymi są „Potrzebuję twojej pomocy” oraz „O jedno wydarzenie za dużo” – historie ludzi, których życie i widzenie świata naznaczyły traumy z dzieciństwa. Z kolei „Od przybytku głowa boli” to świetna nowelka satyryczna.

Jest też parę krótkich rozdziałów, zawierających porady w założeniu przeznaczone dla czytelników wybierających do danego kraju. Mogą one uszakże być równie interesujące dla osoby nie planującej na razie żadnych przemin ani wycieczek, a po prostu ciekawej świata.

Zawsze warto posłuchać kogoś, kto wiele widział i przeżył, tym bardziej gdy potrafi o tym zajmująco opowiedzieć. Martyna Flemming ma jedno i drugie, a do tego jest inteligentna. W swojej debiutanckiej książce dała próbki autentycznego talentu w więcej niż jednej dziedzinie słowa pisanego. Trudno dziś zgadywać, czy w przyszłości bez reszty poświęci się którejś z nich (stawiam na reportaż), czy też nadmienioną na początku „sylwiczność” uczyni swym znakiem rozpoznawczym. Mam nadzieję przekonać się o tym podczas lektury jej drugiej książki.

Przesadą byłoby nazywać *Życia pechowej emigrantki* dziełem wybitnym – acz nie wykluczam wcale, że i takie autorka kiedyś popełni. Jednak z pewnością jest to książka wybijająca się. Dlatego proszę, niech pani pisze dalej, pani Martyno! ●

Olgerd Dziechciarz > Wywiad

13 kobiet Brunona Schulza



**Z Anną Kaszubą-Dębską, autorką książki *Kobiety i Schulz*,
rozmawia Olgerd Dziechciarz.**

Olgerd Dziechciarz: Miałem wrażenie, że o Schulzu – głównie za sprawą Jerzego Ficowskiego – wiemy już wszystko. Tymczasem pani dotarła do wielu nowych informacji, a kilka sprostowała. Spodziewała się pani takich rezultatów?

Anna Kaszuba-Dębska: Tak, rzeczywiście Jerzy Ficowski to postać znamienita i niezwykle ważna dla wielu osób interesujących się Brunonem Schulzem. Myślę, że bez jego samozaparcia w szukaniu śladów po znanym pisarzu, nie mielibyśmy dziś tak szerokiej wiedzy o nim. Jednak należy pamiętać, w jakich czasach żył Ficowski i jak długo, bo właściwie przez całe swe życie, zbierał informacje i pamiątki o Schulzu. Dziś wiele archi-

wów jest otwartych, można w nich szperać online, informacje uzyskiwać w sposób niemal ekspresowy i dlatego, w moim przekonaniu, nadal możliwe jest odnajdywanie nowych okołoschulzowskich śladów. Używam tu celowo słowa „okołoschulzowskich”, ponieważ głównym bohaterem moich poszukiwań był nie sam Bruno Schulz, ale trzynastce kobiet.

Wszystkie one inspirowały pisarza, towarzyszyły mu w jego twórczo-zawodowej drodze. Jednak pamięć o większości z nich została wymazana przez okres II wojny światowej, a były to osoby znane i szanowane w międzywojennej Polsce. Moim zamiarem było odsłonięcie tych postaci z niepamięci i przywrócenie im miejsca w naszym postrzeganiu środowisk artystyczno-literackich XX-lecia międzywojennego. A mam tu na myśli:

Józefinę Szelińską, Deborah Vogel, Zofię Nałkowską, Rachelę Korn, Rachelę Auerbach, Kazimierę Rychterównę, Marię Chasin, Annę Plockier, Egge van Haardt, Elisabeth Bergner, Henriette Schulz, czy Jeanette Suchestow. Rzeczywiście, podczas moich poszukiwań archiwalnych, natknęłam się na wiele nowych wątków i faktów, które do tej pory nie zostały odnotowane w literaturze poświęconej biografii Brunona Schulza. Myślę tu chociażby o pochodzeniu jego matki Henrietty z Kuhmerkerów, która przez lata błędnie kojarzona była z rodziną właścicieli tartaków w Drohobyczu. To jedno odkrycie pociągnęło ze sobą kolejne, i kolejne, a w związku z tym postawiło postać Schulza w nowym otoczeniu osób do tej pory kompletnie z nim nie kojarzonych, jak na przykład z Jeanette Suchestow, pretendenci do tytułu księżnej rodu Radziwiłłów. Takich rezultatów moich poszukiwań oczywiście się nie spodziewałam, rozpoczynając moją pracę, ale też nie spodziewałam się wydania ich w postaci książki. I prawdą są słowa, które piszę na jej ostatnich stronach w „Podziękowaniach”: „Książka ta powstała dzięki niezwykłym zbiegom okoliczności i – muszę przyznać – trochę przypadkiem. Zrodziła się po trosze ze wspomnienia młodzieńczej jeszcze fascynacji prozą Brunona Schulza i dorosłego zadziwienia jego oniryczno-erotyczną twórczością rysunkowo-graficzną w kontekście realnego losu, który stał się udziałem tak samego artysty, jak i osób mu bliskich, w tym kilkunastu kobietom, którym poświęcam niniejszą książkę”.

O.D.: Związki Schulza z kobietami są zastanawiające. Powiem szczerze, że czasami autor „Sklepów cynamonowych” mnie irytuje – chodzi o jego brak zdecydowania, minoderię. One – poza Zofią Nałkowską – musiały mieć do niego ogromną cierpliwość. Już nie mówię, że niektóre, jak Józefa Szelińska, zmarnowały sobie przez niego życie... Zadam pytanie typowe dla mężczyzny: jak to się stało, że tak do niego lgnęły? Czują, że mają do czynienia z geniuszem i dochodził do tego jeszcze instynkt opiekuńczy?

A.K.D.: „Minoderia” to bardzo ładne słowo i chyba odpowiednie, gdy patrzymy na sylwetki i twarze rysunkowych „schulzów”, tak licznych na jego pracach graficznych. W rzeczywistości mogło być podobnie, na pewno był osobą zdystansowaną i niezdecydowaną, do tego wieczne problemy ze zdrowiem, niezadowolony z pracy zawodowej, stany depresyjne i problemy rodzinne. Z drugiej strony ogromna potrzeba bycia w tzw. wielkim świecie, posiadanie „istotnych”, jak mówił, kontaktów, które utrzymywały go w jakiejś kondycji. Doskonale odnajdował się w słowie pisanym i dlatego korespondencje listowne były czymś naprawdę ważnym w jego życiu. Zresztą, dzięki licznym listom słany do Deborah Vogel, jego pierwszej znanej nam miłości, wyłoniły się „Sklepy cynamonowe”, którymi przecież debiutował. Myślę, że Schulz urzekał kobiety przede wszystkim słowem, swoją inteligencją i może też pewną nieśmiałością. Zofia Nałkowska w kilka tygodni od poznania się z Schulzem tak o nim napisała: „Z tej udręki odrzywa mnie dobro, parę dni pobytu Brunona Schulza, jego listy. Jest zbyt delikatny i słaby, aby mógł mi być ratunkiem – ale świat jego myśli dał mi przeciwwagę i wytchnienie”. Niektóre z kobiet, o których piszę w mojej książce pt. *Kobiety i Schulz*, rzeczywiście miały do niego słabość i budził w nich instynkty macierzyńskie. Tak było chociażby w przypadku Romany Halpern, powierniczki skrytych sekretów Schulza, pomocnej w załatwianiu trudnych urzędowych spraw, czy Marii Chasin, która zorganizowała mu pobyt w Paryżu, otwierając drzwi do paryskich salonów artystycznych. Myślę, że tragiczną postacią jest w tej historii Jó-

zefina Szelińska, ostatnia, a właściwie jedyna oficjalna narzeczona Schulza. Czy ten zmarnował jej życie? Na pewno odbił na nim ogromne piętno, sprawił, że życie poza nim pozbawione już było intensywności i barwy. Małżeństwo z Szelińską było już bardzo bliskie do sfinalizowania, mimo różnic wyznaniowych, czy hipochondrycznej natury Schulza. Jednak to ona przeżyła później II wojnę światową, a jej niedoszły małżonek nie, i do końca życia strzegła pamięci o nim, pozostając postacią anonimową. Nigdy nie wykorzystała tej historii, żeby stać się osobą ważną, ukryła się w cieniu, pielęgnując traumę wojenną, zrezygnowała z marzeń, ambicji zawodowych, jakimi było tłumaczenie literatury. Warto wspomnieć, że to Józefina Szelińska jest autorką pierwszego tłumaczenia *Procesu* Kafki na język polski, pod którym podpisał się Schulz. Z listów powojennych Szelińskiej do Ficowskiego wynika, że decyzja o tym, że w tłumaczeniu *Procesu* pojawi się właśnie nazwisko Schulza, a nie Szelińskiej, była decyzją wspólną. Schulz właśnie święcił triumfy jako nowe objawienie literackie i na pewno łatwiej było mu wówczas sprzedać tłumaczenie Kafki na rynku wydawniczym. W moim odczuciu Szelińska była osobą szalenie uczciwą, zdystansowaną do ludzi, nieśmiałą, o czym świadczą jej powojenne losy i fakt, że do końca życia postanowiła być anonimowa. Nigdy po wojnie nie wykorzystała okazji, by ogrzać się w blasku popularnego już pisarza, jakim był i jest Bruno Schulz, i nigdy publicznie nie wypowiedziała się na temat tłumaczenia *Procesu*. Ujawnił to Ficowski po jej śmierci.

O.D.: Świat, który Pani opisuje, środowisko zasymilowanych polskich Żydów, został zamordowany w II wojnie światowej. Przetrwali tylko nieliczne z bohaterki pani książki, dosłownie „niedobitki”, jak Józefina Szelińska czy Jeanette Suchestow. Wiadomo, jak wielką stratą dla polskiej kultury była zagłada takich twórców, jak Bruno Schulz, ale czy nie straciliśmy też czegoś więcej? Czy to nie był kres idei Rzeczypospolitej wielu narodów, a w sferze mentalnej kres bogactwa, jakim jest różnorodność?

A.K.D.: Oczywiście, że wraz z II wojną światową odeszła pewna epoka, na którą teraz patrzy się z dużym sentymentem. Przez setki lat różnorodność kulturowa była czymś oczywistym i przenikała środowiska, czy to artystyczne, czy zawodowe. I nie mam tu na myśli tylko Żydów, ale i Niemców, Ukraińców, Rosjan. Jeśli chodzi o polską kulturę, to rzeczywiście w literaturze i sztuce odnajdujemy wiele nazwisk, które odbiły ważne ślady i przeniknęły do naszej tożsamości. Od najmłodszych lat uczymy się przecież wierszyków wybitnych polskich poetów Tuwima i Brzechwy, a trzeba pamiętać, że byli oni Polakami pochodzenia żydowskiego. Holokaust, który dokonał się naszych ziemiach, to ogromna wyrwa, dziura, która ma oddźwięk w dzisiejszych czasach. Pytanie, czego nas tamte wydarzenia nauczyły.

O.D.: Nie wierzę, że po tak dobrej książce, i po tak dobrym jej przyjęciu, nie myśli pani o następnej. Czy będzie nią saga rodzinna, o której kiedyś pani wspominała?

A.K.D.: Tak, bardzo chciałabym napisać książkę z wątkiem rodzinnym w tle, ale niekoniecznie biograficzną, raczej inspirowaną losami, czy charakterami moich przodków, którzy kształtowali moją uciążliwość. Mam nadzieję, że mi się to uda. ●

Iwona Młodawska-Waterson > Esej

Wenus bez futra, ale w czarnych pończochach

erotyka w opowiadaniach i grafikach Schulza
– wybrane zagadnienia

” Zapewniam Panią, że kokieteria jest czymś
bardzo głębokim i tajemniczym, i dla Pani
samej niezrozumiałym”
Bruno Schulz z listu do Anny Płocker

Erotyka jest materią delikatną, zaś w Schulzowskim wydaniu arcydelikatną, jak materia damskiej pończochy. Drażliwą kwestię stanowi domniemana perwersja pisarza, lecz psychologia twórczości schodzi tu na plan dalszy, bowiem odczytując tekst, czy też podziwiając obraz, obcujemy przecież z dziełem, nie z samym autorem. Interpretowanie zaś dzieła jedynie poprzez analizowanie psychiki autora może dawać ciekawe efekty, ale wydaje się niewystarczające. Twórczość niejako wymyka się z ciasnego kręgu obsesji twórcy, bo zazwyczaj bywa właśnie formą wyzwolenia. Obsesja „opowiedziana”, wszystko jedno za pomocą jakich – plastycznych czy literackich – środków, przestaje być tak dławiąca, groźna. Dzieło może być próbą podzielenia się swym szaleństwem z innymi. Jak pisał Jung: „Dzieło sztuki nie jest człowiekiem, lecz czymś ponadczasowym. Jest to rzecz nie mająca żadnej osobowości, toteż nie można do niego stosować osobowego kryterium. Szczególne znaczenie prawdziwego dzieła sztuki na tym polega, że potrafi się ono uwolnić od ograniczeń, ślepych uliczek osobowości i wznieść się wysoko ponad jej znikomość; krótkotrwałość”.

Przyjrzyjmy się w pierw rysunkom Schulza, by przekonać się, czy uwolniły się od „ślepych uliczek osobowości”.

Xięga bałwochwalcza, w której Eros zajaśniał najpełniej, powstawała etapami od 1924 r. Przy sporządzaniu owych grafik autor posługiwał się bardzo ciekawą i rzadką, acz pracochłonną techniką chliché-verre, która została wynaleziona w II połowie XIX wieku przez Camille Corota,

¹ C.G. Jung, *Archetypy i symbole*. Pisma wybrane, Warszawa 1933, s. 384.

² Por. J. Ficowski, wstęp do *Bruno Schulz Xięga bałwochwalcza*, Warszawa 1988, s. 6.

a później stosowana także przez J. F. Millera i T. Rousseau i polegała na wydrapywaniu rysunku na pokrytej czarną żelatyną szklanej płytce, a następnie odbijaniu powstałego rysunku, traktowanego jako negatywu, metodą fotograficzną na papierze światłoczułym.³ Jak podaje Jerzy Ficowski, prace nad księgą wykonywał Schulz w domu, w małej ciemni fotograficznej, czasem korzystał z pomocy przyjaciół, którym tłumaczył, że ilustruje właśnie powieść *Wenus w futrze* – skandalizujące dzieło L. Sacher-Masocha, dotyczące dewiacji seksualnej, a będące swoistą autobiografią autora.⁴ Czy jest nią również *Xięga* oraz setki rysunków autora, w których obsesyjnie powracają pewne motywy, sytuacje? Są to sceny przy stole – autor między dwiema kobietami, zamyślony, zapatrzony, czasem jakby znużony, z głową wspartą na rękach, spotkania na ulicy, sceny w pomieszczeniach połączone z oddawaniem hołdu bóstwu-idolowi, hołdu posuniętego do całkowitego upodlenia – tak, że mężczyzna zmienia się niemal w psa skulonego pod łóżkiem, jakby w oczekiwaniu na skarcenie. Bo bywają też, i to bardzo odważne, sceny karcenia. Schulzowskie heroiny w wysokich butach czy w czarnych pończochach wymierzają karę biczem, różgą, trzepaczką, można rzec – czymkolwiek, co tylko wchodzi w rachubę. Nie brakuje też scen przydeptywania skulonej pałubicznej sylwetki ludzkiej, która wydaje się bezuładna, nieżywa, jakby lalko-wata. Może to symbolizować bezwolność męczyzny. To kobieta jest tu pierwiastkiem dynamicznym, to ona stwarza wrażenie ruchu i nawet gdy tylko spokojnie przyjmuje hołdy, wydaje się, że zastygła w tej pozie jedynie na moment, zaraz powstanie z łoża, z fotela, z krzesła, z parkowej ławeczki, bo tak naprawdę jest już tym wszystkim zmęczona, podczas gdy bałwochwalca pozostanie skurczony, żalony w swej pozie oddania już na wieki. Małgorzata Kitowska-Łysiak nazwała ten stan rzeczy, wydaje się, dosyć zgrabnym mianem „bezruchu aktywnego kobiet” w opozycji do „bezruchu pasywnego” mężczyzn.⁵ Kobiety, choć w wystudiowanych, niezbyt naturalnych pozach, wydają się swobodniejsze od mężczyzn, są świadome swego uroku, swej kokieterii. Mężczyźni oprócz wyrazu poddania, mają często wyraz zakłopotania na swych brzydkich, skurczonych twarzach. Wrażenie skrępowania potęguje fakt, iż na bardzo wielu rysunkach mężczyźni pozostają kompletnie odziani, podczas gdy kobiety są nagie lub pozostają w bieliznie. Tym, co najbardziej uderza w tych pracach, w porównaniu z wizjami innych twórców, pozostającymi w kręgu tematyki erotycznej na granicy dewiacji, jest ich teatralność, pewna konwencjonalność, choć „konwencjonalność” brzmi jak oksymoron w połączeniu z, bądź co bądź, produktami wyobraźni o zabarwieniu perwersyjnym. Perwersja może się kojarzyć z odkrywaniem ciągle czegoś nowego w sferze erotycznej. A tu – monotonia. Nogi, nogi i jeszcze raz nogi. Wyeksponowane do granic możliwości, nie tylko strojem, nie jedynie obleczeniem w przykrywające widok pończochy. Jeśli zanalizujemy choćby „Odwieczną baśń” czy „Undulę u artystów” lub „Zuzannę i starców”, przekonamy się rychło, że nawet kompozycja tych grafik jest tak pomyślana, aby wydobyć nogi kobiece – to narzędzie tortur – z tła. Pozostałe linie biegną raczej poziomo i są krótszymi pociągnięciami ołówka, czy w przypadku cliché verre – „pociągnięciami igły”. Linia zaś nóg, o wyraźnie zaznaczonych konturach wypełnionych prowokującą bielą, przecina niejako obraz, dynamizuje go, przykuwa wzrok odbiorcy, będąc białym niepokojącym zygzakiem – węzłem, który za chwilę ukąsi wzniesioną ku niemu lub dla odmiany pochyloną twarz wyznawcy. Uwidacznia się także w prozie autora *Bestii*, czego dowodem niech będzie cytat: „W chwili, gdy mój ojciec wymawiał słowo manekin, Adela spojrzała na zegarek na bransoletce po czym porozumiała się spojrzeniem z Poldą. Teraz wysunęła się wraz z krzesłem o pięćdziesiąt centymetrów, podniosła brzeg sukni, wystawiła powoli stopę, opiętą w czarny jedwab, i wyprężyła ją jak pyszczyk węża”.⁶ Znamienne, że w tradycji, kulturze, szczególnie judeochrześcijańskiej, zwierzę to było utożsamiane raczej z zasadą męską.⁷ Zarówno w rysunkach, jak i w prozie pisarza drohobyckiego kobieta jest istotą silniejszą, więc zajmuje pozycję zarezerwowaną dla męczyzny – dominuje. Z pewną dozą humoru można stwierdzić, że węź jest kusicielem, a kuszą właśnie nogi i stąd to zestawienie. Lecz w kontekście całej *Xięgi* – która jest jakby Biblią nowej religii – kultu żeńskiego idola, można węź-nogę powiązać z miedzianym węzłem – przedmiotem kultu.

Wabikami erotycznymi przeszłych epok rzadko bywały nogi i stopy, choć nie można stwierdzić, że ich walorów nie doceniano. Nie były po prostu eksponowane na obrazach, nie bardzo też wypadało o nich pisać.

U Schulza – odwrótnie. I w literaturze, i w twórczości plastycznej przykuwają naszą uwagę. Oto jak o kobietach u Schulza pisał Stanisław Ignacy Witkiewicz: „Środkiem gnębienia męczyzny przez kobiety jest u niego noga, ta najstraszliwsza, prócz twarzy i pewnych innych rzeczy, część kobiecego ciała. Nogami dręczą, depczą, doprowadzają do ponurego, bezsilnego szału kobiety u Schulza jego skarłałych, spokojnych w erotycznej męce, upodlonych i w tym upodleniu znajdujących najwyższą, bolesną rozkosz – męczyzn-pokrak. Jego grafiki to są poematy okrucieństwa nóg. Mimo całej potworności gęb ma się wrażenie, że damy Schulza myją starannie szczotkami nogi dwa razy dziennie i nie mają nagniotków. Inaczej byłoby wprost straszno, a moralnie jest straszno i tak”. ●

³ Por. A. Sulikowski, „Bruno Schulz i kobiety o motywach nie tylko z *Xięgi bałwochwalczej* w: *Bruno Schulz in memoriam 1892–1942* pod red. M. Kitowskiej-Łysiak, Lublin 1992, s. 233.

⁴ Por. J. Ficowski, dz. cyt., s. 6.

⁵ Por. M. Kitowska-Łysiak, „Bruno Schulz grafik i literat”, w: „Literatura”, 1979, s. 6.

⁶ Traktat o manekinach albo wtóra księga rodzaju”, w: *Sklepy cyrkonowe*, s. 36.

⁷ Por. węź w: W. Kopalński, *Słownik symboli*, Warszawa 1990, s. 447-451.

⁸ S.I. Witkiewicz, „Wywiad z B. Schulzem”, w: *Bruno Schulz, Opowiadania Wybór esejów i listów...*, s. 439-440.



*„Jak zawrzeć śmierć w porannym programie
Telewizyjną śmierć którą dziecko chłonie”
(J.D. Morrison)*

4 czerwca 1982 roku na ekrany kin wszedł horror Tobe'a Hoopera „Duch” („Poltergeist”) – błyskotliwy debiut dziecięcej aktorki Heather O'Rourke. W 35. rocznicę tego wydarzenia chciałbym przypomnieć o niezwykłej karierze przedwcześnie zgąśłej gwiazdy.

*

...zmarła: 1 lutego 1988. Zawód: aktorka. Miejsce pracy: Studio MGM. Czas pracy: 7 lat..." Gdyby nie data urodzenia, można by pomyśleć, że to akt zgonu co najmniej dwudziestokilkuletniej artystki.

*

Filmy bywają prorocze, choćby niezamierzenie. W horrorze „Duch”¹ Tobe’a Hoopera mała dziewczynka o bardzo jasnych włosach kontaktuje się z duchami poprzez odbiornik telewizyjny. Wkrótce, gdy ją samą pochłonie świat zjaw, i dla niej telewizor staje się jedyną drogą komunikacji ze światem żywych. Scenarzysta i producent filmu, niejaki Steven Spielberg, oparł się ponoć na wynurzeniach okultystów. Duchy rzekomo przemawiają do nas (lub może do siebie nawzajem) na falach radiowych. Usłyszmy ich głosy, jeśli odstroimy nasze radio lub telewizor od wszelkich stacji i usłuchamy się uważnie w dobiegający z głośników szum...

Jest 4 czerwca 1982, film właśnie wszedł do dystrybucji kinowej. Dziewczynka porwana przez upiory – ukryte w szafie, pod łóżkiem, za telewizyjnym ekranem – nazywa się Carol Anne Freeling. Jej rolę gra **Heather O'Rourke** (dokładniej: Heather Michele O'Rourke) – aktorka niespełna siedmioletnia. „Duch” to jej debiut na dużym ekranie.

Podobno Spielberg odkrył ją, gdy wraz z matką siedziała w bufecie studia MGM (jej starsza siostra, Tammy O'Rourke, występowała w filmie Herberta Rossa „Grosz z nieba”). Podobno mała Heather całej swej roli nauczyła się w godzinę... Podobno, podobno...

*

Amerykianie, może bardziej niż jakikolwiek inny naród, potrzebują mitów i herosów. A przecież już narodziny Heather – przynajmniej według legendy – miały w sobie coś z cudu.

Mówi się, że jej matka, Kathleen O'Rourke, oczekując drugiego po Tammy dziecka, poroniła. Jednakże w kilka tygodni po tym tragicznym zdarzeniu lekarze stwierdzili, iż... nadal jest w ciąży. Jak się okazało, nosiła bliźnięta. Straciła synka – miał otrzymać imię Michael – lecz 27 grudnia 1975 została szczęśliwą mamą córki. Po nienarodzonym bracie dziewczynka dostała drugie imię. Stąd Heather Michele.

Jej kariera ucieleśniała natomiast „amerykański sen”. Heather miała trzy lata, gdy zwyciężyła w dziecięcym konkursie piękności. Jedynym jej atutem wydawała się wówczas delikatna, „anielska” uroda i jasne, niemal białe włosy – amerykański symbol kobiecego piękna. Jako czterolatka zaczęła występować w reklamach (głównie zabawek). W wieku lat pięciu gościnnie wystąpiła w serialu „Fantasy Island” dała pierwszą próbkę aktorskiego talentu. Licząc sobie sześć wiosen, tak oczarowała mistrza Spielberga, że... zapomniał o rodzinnych zobowiązaniach. Podobno bowiem – znów podobno! – pierwotnie zamierzał obsadzić w roli Carol Anne własną siostrzenicę, niejaką Drew Barrymore.

*

Roman Polański, rozbijając szablon klasycznego filmu grozy w „Dziecku Rosemary”, stworzył wzorzec nowego, intelektualnego horroru. Zarazem wskazał drogę do totalnego pastiszu całego gatunku, czy jego fuzji z konwencją komediową.

„Duch” jest szczególnie genialnym przykładem takiego „mariażu”. Jego twórcy podążyli szlakiem zapoczątkowanym przez „Dziecko Rosemary”, idąc jednak znacznie dalej. Ich film łączy bowiem konwencję horroru z „familijnym” nurtem kina. Zmagania rodziny Freelingów z nękającymi ich zjawami nakładają się na codzienne problemy i konflikty zwyczajnej amerykańskiej rodziny. Zderzenie tych dwóch światów powoduje, że w miarę rozwoju akcji zwyczajność ulega stopniowemu odrealnieniu. Jednocześnie zaświaty sukcesywnie tracą nimb tajemniczości, aż popadają w zupełną groteskę. Kiedy figiel z przedstawianiem krzesła, o który matka podejrzewa dzieci, okazuje się zjawiskiem paranormalnym, a kłótnia brata z siostrą o zabawkę staje się preludem do ostatecznej rozprawy z demonami, nieprzystawalność obydwu stylistyk prowadzi do wypunktowania ich sztuczności. Można zarazem odczytać „Ducha” jako oskarżenie obydwu nurtów kina, do których się on odwołuje. Film grozy, eskalując lęki, deformuje nasze widzenie rzeczywistości w kierunku nieuzasadnionego poczucia zagrożenia. Z kolei kino rodzinne, poprzez swą idylliczność, stwarza w nas nierealne oczekiwania wobec życia; w efekcie każde zakłócenie spokoju naszej codzienności (choćby ta była daleka od sielanki) jawi nam się „horrorem”. Wszelako obydwie konwencje są „groźne” tylko dopóki traktujemy je poważnie. „Duch” wydaje się zachętą do spojrzenia na nie z przymrużeniem oka.

*

Jest rok 1982. Za sześć lat – gdy nastąpi to, co nastąpi – wielu zacznie dopatrywać się w „Duchu” diabolicznych treści. Przypomniana zostanie tragiczna śmierć 22-letniej Dominique Dunne (grała starszą siostrę Carol Anne; wkrótce po wejściu filmu na ekrany została zamordowana przez byłego chłopaka). Zacznie się mówić o „kłątwie Ducha” („Poltergeist curse”)²... My jednak przenieśmy się o jeszcze trzy lata naprzód.

¹ Oryginalny tytuł: „Poltergeist”. W Polsce film jest znany również jako „Duch 1” (gdyż powstały dwa sequele), zaś w wersji video dostępny był pt. „Duch – kłątwa ciemności”.

² O żywotności owej „czarnej legendy” świadczą choćby piosenka „Shining” amerykańskiego zespołu Misfits z ich płyty „American Psycho” (1997). W tekście utworu motywują „Ducha” przeplatają się z nawiązaniami do okoliczności śmierci Heather, niejednoznacznie sugerując związek przyczynowy.

W 1991 roku ukazuje się tzw. „Czarny Album” grupy Metallica³. Otwiera go song o sennych koszmarach dziecka „Enter Sandman”. Piosenka wydaje się być zainspirowana filmem Hoopera – przynajmniej ostatnia jej zwrotka. Po gitarowej solówce słyszymy popularną modlitwę – tę samą, którą Carol Anne wypowiadała w scenie „pogrzebu” kanarka Tweety. A potem parafraza równie znanej kołysanki: „Cicho, dziecko, nie mów nic, / nie zważaj na to, co słyszysz, / to tylko bestie pod twoim łóżkiem, / w twojej szafie, w twojej głowie” [podkr. moje]. O ile strofa rzeczywiście nawiązuje do rzeczowego filmu, jej autor – James Hetfield – trafił w sedno.

Każdy dobry film jest filmem psychologicznym. „Duch”, formalnie klasyfikowany jako horror, jest w istocie traktatem o dziecięcych lękach. Na plakatach anonujących film widniało motto: „It knows what scares you” („[Duch] wie, czego się boisz”). Można je rozumieć przeurotnie: „My, twórcy filmu, również wiemy”.

„Duch” urzeczywistnia to, czego baliśmy się jako dzieci. Niby latarnia magiczna z wiersza Eliota, rzucająca na ekran „schemat nerwów”, uzewnętrznia koszmarnie wizje uprost z dziecięcej głowy. W ciemnym pokoju wszystko wydaje się groźne; nawet to, co za dnia było przyjazne – w filmie Hoopera zabawki ożywają i atakują dzieci. Równie strasznie wyglądają po ciemku poruszane wiatrem gałęzie – w jednej ze scen „Ducha” rosące za oknem drzewo usiłuje porwać Robbiego Freelinga, brata Carol Anne, gałęziami przemienionymi w macki. Szafa – inne siedlisko dziecięcych strachów – w pokoju Carol Anne okazuje się przejściem do świata umarłych. Wypęłające stamtąd potwory są straszne w oczach dziecka; dla dorosłego widza – jedynie groteskowe... „Duch” jest horrorem o tyle, o ile jest nim w głowie oglądającego. W przeciwnym razie zamienia się w pastisz biorący konwencję filmu grozy w cudzysłów.

Cudzysłów... Kinoman cokolwiek obeznany z klasyką gatunku bez trudu odnajdzie cytaty, odwołania, napomknienia. Osiedle wybudowane na cmentarzu, w konsekwencji nawiedzane przez rozłozszczone duchy, przywodzi na myśl hotel w „Lśnieniu” Kubricka. Nowocześnie urządzonej dom zamiast np. ponurego zamczyska; odwołania do „familijnego” nurtu kina w pierwszych sekwencjach filmu – to już widzieliśmy w „Dziecku Rosemary”. Dziecko prześladowane przez złego ducha; pojawienie się „fachowca”, który wie, jak pokonać zjawę – ten motyw odsyła nas uprost do „Egzorcysty” Friedkina...

Owe nawiązania nie pełnią funkcji jedynie erudycyjnej; nie służą li tylko postmodernistycznej grze w „zgadnij, z jakiego to filmu”. Owszem, są istotne dla przesłania całej opowieści.

Przypomnijmy: duchy – istniejące de facto w głowie dziecka – przychodzą poprzez telewizor. Następuje to, gdy kilkuletnia Carol Anne przebywa sama na sam z włączonym odbiornikiem. Trudno o bardziej dobitne postawienie sprawy. Popkultura – w swym nurcie bazującym na ludzkich lękach (horror, thriller) – może stać się groźnym „dopalaczem” dla dziecięcej wyobraźni. Wystarczy jeden obejrzyany ukradkiem film w rodzaju „Dnia Tryfidów” Francisa i Sekely’ego, by rozchwiana imaginacja podsunęła obraz drzewa atakującego mnie, koleżankę, rodzeństwo... Łatwo zagubić się w niekontrolowanym strachu.

*

„Duch” zyskał status kinowego hitu, a później filmu kultowego. Heather O’Rourke została gwiazdą. Równoczesność obydwu zjawisk połączyła je na zawsze. Heather i film „Duch” – to w świadomości odbiorców kultury masowej nieomal synonimy. Słowa „They’re here” („Oni [duchy] tu są”), wypowiedziane przez Carol Anne, na stałe weszły do popkulturowego słownika. Były i są wielokrotnie cytowane (m.in. w jednym z odcinków „Archiwum X”), parafrazowane, parodiowane, przedrzeźniane...

Sama Heather sparafrazowała słynne zdanie w serialu „Happy Days”. W odcinku „Nervous Romance” samotna matka szykuje się do randki. Nagle jedna z przygotowanych sukienek zostaje pobrudzona, druga wydaje się nieodpowiednia, zaś opiekunka do dziecka dzwoni z przeprosinami, że nie może przyjść... Dramatyzmu dopełnia córka, dźwięcznie komunikując: „He’s here” („On już jest”).

Serial komediowy „Happy Days” nadawany był przez 10 lat, od roku 1974. Jego temat – to dorastanie jako nigdy nie kończący się proces. Heather O’Rourke wystąpiła w dziesiątym sezonie, emitowanym w latach 1982–1983. Była już wówczas na tyle rozpoznawalna, że telewizor w lot chwycił aluzję do wcześniejszej roli.

Zagrała sześciolletnią Heather Pfister – Heather w roli Heather... Jej „filmowa” mama, Ashley Pfister, opuszczona przez męża, spotyka się z Fonzie’em, głównym bohaterem serialu. Również w realnym życiu rodzice Heather rozwiedli się, a matka miała wkrótce powtórnie wyjść za mąż. Takie i podobne paralele budują w świadomości widza wrażenie tożsamości aktorki z postacią. Jeszcze jeden sposób, w jaki rodzą się legendy kina.

Z tej perspektywy przyjrzyjmy się odcinkowi pt. „I Drink, Therefore I Am” („Piję, więc jestem”). Leopold, nastoletni chłopak, wpada w tzw. „złe towarzystwo”, w którym regularnie nadużywa się alkoholu. Pewnego dnia towarzystwo po pijanemu usiada do samochodu. Efekt: potrącenie Heather Pfister na przejściu dla pieszych i ucieczka z miejsca wypadku. Na szczęście dla dziewczynki, rzecz kończy się na niegroźnych obrażeniach. Na szczęście dla

³ Metallica: „Metallica” (AKA „Black Album”), Universal, 1991.

Leopolda, nie on siedział za kierownicą. Mimo wszystko Fonzie robi mu awanturę. „Potraciliście dziecko – woła. – Mogło już nigdy nie dorosnąć...”. Zamysłem twórców serialu było oczywiście wstrząśnięcie widzów – szczególnie takim, któremu choćby przeszła przez myśl jazda po pijanemu. „Co jeśli potracisz kogoś takiego, jak Heather – i tym razem oboje będziecie mieli mniej szczęścia?”.

Nie jest przypadkiem, że właśnie ją wybrano na ofiarę pijanego automobilisty. Odejście starszej osoby jest smutną, lecz konieczną do zaakceptowania kolejną rzeczą. Śmierć osoby młodej to już dramat. Śmierć dziecka jawi się tragedią ponad wszelkie pojęcie – przynajmniej w naszych cywilizowanych czasach. A pomysł, że Heather (Pfister, czyli O'Rourke) – złotowłosa aniołek – mogłaby nagle utracić życie, wydawał się wówczas, w roku 1983, kosztowną niedorzecznością. Miał ją pozostać jeszcze przez pięć lat.

*

Tożsamość Heather z graną w „Happy Days” bohaterką – jak zresztą większość czynników legendotwórczych – była iluzoryczna. Aktora do postaci dobiera się nie wedle charakteru, lecz wyglądu. To dlatego np. Arnold Schwarzenegger, skądinąd magister ekonomii, zagrał w życiu tytułu tępowych twardzieli... Nie zmienia to faktu, że wizerunek aktora kształtują przede wszystkim role.

Heather Pfister – według własnych słów – wie, jak się pisze „banan”, ale nigdy nie pamięta, kiedy skończyć⁴. W trakcie rekonwalescencji po wypadku prosi, by nie mówić mamie, że już czuje się dobrze – bo posłałaby ją znów do szkoły... Gdy ją z kolei zaniedbać, z aniołka zmienia się w diabełka (dając swej odtwórczyni okazję do błyskotliwego popisu aktorstwa – patrz: odcinek pt. „Babysitting”). Krótko mówiąc: Heather Pfister jest całkiem zwyczajnym dzieckiem.

Heather O'Rourke nie była zwyczajna. Przede wszystkim zawsze uczyła się dobrze lub bardzo dobrze i generalnie naukę lubiła (szkołę również, mimo sporadycznych przykrości ze strony zawistnych rówieśników). Przez jakiś czas była nawet przewodniczącą klasy. W wieku pięciu lat płynnie czytała. Legendarne tempo, w jakim opanowywała role, też wiele mówi... Znajomi zapamiętali aktorkę jako „niezwykle grzeczną i dobrze wychowaną”. Gary Sherman – ostatni reżyser, który z Heather pracował – nazwał ją emfaticznie „40-letnią kobietą w ciele 11-latki”. Kim Howard Johnson – biograf gwiazd kina – we wspomnieniu z 1988 roku napisał, że na planie filmowym „była bardziej profesjonalna od wielu dorosłych aktorów”.

Różnica pomiędzy Heather z „Happy Days” a rzeczywistą Heather jest przykładem ogólniejszego prawidła. O'Rourke – jak wielu aktorów przed nią i po niej – została idolem swych rówieśników nie dlatego, by sama była do nich podobna. Identyfikowali się z nią, gdyż jej role służyły im za lustro.

*

Od sukcesu „Ducha” do premiery sequelu pt. „Duch II: Druga strona”⁵ upłynęły cztery lata. Był to, jak się miało okazać, najpracowitszy artystycznie czas w życiu Heather. Już w 1982 dostała niedużą rolę w kontrowersyjnej komedii „Massarati and the Brain” (reż. Harvey Hart). W latach 1983–1984, poza wspomnianym „Happy Days”, młodziutka gwiazda pojawiła się gościnnie w paru innych popularnych serialach – przede wszystkim „Webster” (3 odcinki), a także m.in. „Matt Houston”, „ChiPs”, „Finder of Lost Loves” (po jednym odcinku). Rok 1985 przyniósł kolejną pełnometrażową produkcję – dramat „Surviving: A Family In Crisis”, znany też jako „Tragedy” (reż. Waris Hussein).

Tematem filmu jest narastający w latach 80. problem samobójstw nastolatków. Fabuła z chirurgiczną precyzją odsłania mechanizmy mogące pchnąć młodą osobę do tak desperackiego kroku. Wskazuje, że problemy, jakie sprawia dziecko, mają często źródło w tytułowym kryzysie całej rodziny. Brak kontaktu między rodzicami a potomstwem, zdrada małżeńska, ureszcie mylne odczytanie zachowań nastolatka – wszystko to tworzy splot okoliczności, w wyniku którego siedemnastoletni Rick i jego dziewczyna odbiorą sobie życie. Heather przypadła w udziale drugoplanowa, lecz istotna rola małej Sary, która musi poradzić sobie ze śmiercią starszego brata.

Występem w „Surviving” młoda aktorka potwierdziła pewną regułę. Mianowicie – jeżeli w jakiejś scenie filmu pojawia się Heather O'Rourke, to – z nielicznymi wyjątkami (patrz: „Webster”) – scena ta należy do niej.

*

Fraza „rodzina w kryzysie” powraca w „Duchu II: Drugiej stronie” (reż. Brian Gibson) z roku 1986, kontynuującym większość wątków z pierwszej części. Choć cytata pada w ironicznym kontekście – z ust złego ducha próbującego wkraść się w łaski pana Freelinga – nie traci zasadności. W rodzinie Freelingów nie dzieje się dobrze.

Ojciec nie potrafi odnaleźć się w nowej pracy; co gorsza, zaczyna nadużywać alkoholu. Pani Freeling, próbując sobie poradzić z szokiem po śmierci swej matki, jednocześnie broni się przed zaakceptowaniem własnych i córki paranormalnych zdolności. Inaczej: nowe demony Carol Anne – to już nie wytwory dziecięcej wyobraźni napędzanej przez media, lecz symptomy realnego kryzysu w jej rodzinie.

⁴ Po angielsku słowo to brzmi: „banana”, więc istotnie łatwiej się pomylić.

⁵ Poltergeist II: The Other Side”.

Drepczący Carol Anne „upadły anioł” to jednocześnie upadły... pastor, niejaki Kane. Niegdyś, stanąwszy na czele sekty, doprowadził siebie i współwyznawców do zguby. Aktualnie „zza grobu” kontynuuje złowieszczą działalność. Charakterystyczne, że po raz pierwszy objawia się dziewczynce w centrum handlowym – typowym miejscu działalności agitatorów sekt. Jego dążenie do odebrania córki rodzicom nie musi być odczytywane dosłownie (choćaż dzieci z „rodzin w kryzysie” – to częsty łup takich werbowników). Kane zdaje się raczej uosabiać mentalną izolację, nadwątlenie psychicznej więzi między dzieckiem a rodzicami. Fachowo nazywa się to: „duchowy kidnaping”.

„Duch II” jest dobrym komentarzem do „Surviving”. Jak pisał dr Robert Veninga: „Sytuacja kryzysowa zwykle niszczy iluzje, które były kotwicami naszego życia”. Dla państwa Freelingów kryzys to początek zdrowienia. Zagrożenie utratą córki – symbolicznym pochłonięciem jej przez „drugą stronę” – integruje ich i zmusza do działania. Tylko jako rodzina mogą stawić czoła Kane’owi.

Morał płynący z filmu wydaje się banalny, choć dla niektórych rodziców może być odkrywczy, jeśli nie obrazoburczy. Szukając przyczyn, dla jakich dziecko ma lub sprawia problemy, trzeba uważnie przyjrzeć się sobie samemu. Bez „naprawienia” i zaangażowania całej rodziny nie jest możliwa pomoc któremukolwiek z jej członków.

*

Ustawiczne „wycieczki” w problematykę filmów nie są tu wyłącznie dygresjami. Przeciwnie, ilustrują pewną ogólniejszą prawidłowość. Im bardziej dorastała Heather O’Rourke, tym „doroślejszych” problemów dotyczyły filmy, w których wzięła udział. Jej aktorskie kreacje – rzec można – „rosły razem z ich odbiorcami”, którzy wciąż na nowo mogli się z nią identyfikować. Szczególnie wyraźnie widać to na przykładzie Carol Anne – „sztandarowej” dla Heather roli, którą wypisano jej nawet na nagrobku: *ukochana córka i siostra, (...) Carol Anne z „Ducha I, II, III”*.

*

„Duch II” – choć całościowo odrobinę słabszy od oryginału – był kolejnym świadectwem rosnących umiejętności Heather, ugruntowując jej status gwiazdy. Tym niemniej w latach 1986–1987, poza rolą Carol Anne, dorobek artystyczny O’Rourke wzbogacił się jedynie o dwa gościnne występy w serialach. Trzeba wszakże zaznaczyć: wyjątkowo trudne aktorsko. W epizodzie serialu „Our House” bardzo przekonująco wcieliła się w niewidomą, która mimo kalectwa doskonale sobie radzi. W dwóch odcinkach „Still the Beaver” przeszła innego rodzaju „chrzest bojowy”. Zagrała tam postać diametralnie różną tak od siebie, jak i od swoich dotychczasowych ról: rozpuszczoną i niezbyt sympatyczną córeczkę bogatych państwa. Obie role są o lata świetlne od dość bezbarwnej postaci Melanie z „Webstera”. Jakościowo przebijają nawet „iskrzącą się” kreację w „Happy Days”. Mimo wszystko to tylko dwie krótkie role...

Przyczyn mogło być kilka. Jeden to obowiązki szkolne – Heather niezmiennie przykładała się do nauki, poważnie myśląc o podjęciu studiów reżyserskich. Drugi – opieszałość impresariatu. Z roku 1986 zachował się list, podpisany przez Heather i jej matkę, będący rezygnacją z usług dotychczasowej agencji aktorskiej. Powód: długotrwały brak angażu. Natomiast w roku 1987 aktorka była już pochłonięta pracą nad trzecim i ostatnim ogniwem cyklu „Duch”. Ponadto gwałtownie pogarszał się stan jej zdrowia.

*

Podobno na kilka minut przedtem, nim lekarze stwierdzili zgon, ukazała się matce, by powiedzieć: „Już nie wrócę”. Podobno została pochowana z płuszakiem, którego dostała od siostry. Podobno wśród niosących trumnę był nastoletni wówczas aktor Kipley Wentz; podobno Heather miała być w nim zauroczona pierwszą, dziecinną miłością. Podobno, podobno, podobno... W Hollywood prawda nieustannie miesza się z legendą.

Jedną plotkę możemy z całą pewnością zdementować. Otóż kiedy licytowano jej wspaniałego BMX-a, ktoś puścił hasło: „To rower, na którym zginęła”...

Gdyby dwunastoletnia Heather O’Rourke poniosła śmierć w wypadku rowerowym, to nie tylko zaoszczędziłaby sobie cierpię. Ponadto znalazłaby się w jednym rzędzie z Marilyn Monroe, Jamesem Deanem, Janis Joplin – słowem: pośród tych, którzy (czasem trzeba uciec się do kolokwializmu) „umarli jak żyli”. Odeszłaby gwałtownie, aktywna do ostatniej sekundy.

Śmierć, w ogóle rzadko litościwa, czasami też odmawia współpracy w tworzeniu legend. A skoro życiu Heather brakło adekwatnej pointy, za pożegnanie i testament wystarczyć musi ostatni film.

*

Trzeba tu wspomnieć o pewnej roli, której nie zagrała. Otóż gdy w roku 1985 Harry Harris przygotowywał dla CBS ekranizację „Alicji w Krainie Czarów”, jako główną bohaterkę zamierzano obsadzić Heather. Ostatecznie gaża aktorska okazała się niższa od pierwotnie zaproponowanej i gwiazda, w porozumieniu ze swym agentem, zrezygnowała. Zastąpiła ją mniej znana rówieśniczka – Natalie Gregory.

„Duch III: Ostatni rozdział”⁶ (1988), w reżyserii Gary’ego Shermmana, wygląda, jakby twórcy chcieli Heather wynagrodzić to, że nie ona była w Krainie Czarów. Film jest tak pełen aluzji do prozy Lewisa Carrolla, że można by o nich napisać oddzielny artykuł. Wspomnijmy chyba najistotniejszą. Symbolem świata umarłych, krainy duchów, jest druga strona lustra.

Obsesja luster, pojawiających się co i rusz w rozmaitych kontekstach, oprócz „Alicji” odsyła nas do mitu o Narcyzie. Donna, cioteczna siostra Carol Anne – usłyszawszy o Greku, który zapatrzony we własne odbicie w wodzie wpadł w nią i utonął – konkluduje, iż „tylko chłopak mógł być tak nieostrożny”. Jak na ironię, Carol Anne zostaje wchłonięta na „drugą stronę” poprzez kałużę, która przecież także jest lustrem.

Początek filmu zastaje dziewczynkę w Chicago, gdzie panna Freeling uczęszcza do szkoły dla wybitnie uzdolnionych dzieci. Mieszka zaś u wujostwa, na ostatnim piętrze wieżowca pełnego olbrzymich zwierciadeł (są na wszystkich korytarzach, a nawet w mieszkaniach), i oczywiście tęskni za rodzicami. Co gorsza, w szkole spotyka się z niezrozumieniem ze strony kolegów. Tym niemniej usiłuje nie pokazywać po sobie, że jest jej ciężko. W takim stanie ducha po raz kolejny odnajduje ją Kane, by podjąć jeszcze jedną próbę porwania jej z tego świata. Dopiero teraz przekonujemy się, co Carol Anne naprawdę czuje. Posłuchajmy krótkiego monologu, który wygłasza pod koniec filmu:

„Nie kochacie mnie – mówi do wuja i ciotki, przybyłych z pomocą. – Nie chcecie, żebym tu była. Rodzice też mnie nie kochają. Kane mnie kocha, Kane mnie chce”.

Nie bez kozery przywołano w filmie postać Narcyza. Deklaracje takie, jak powyższa, mają głęboko narcystyczne podłoże, niemniej w ustach nastolatki są szczerze. Młoda osoba, niezależnie od stanu faktycznego, może doświadczać poczucia skrajnej samotności i wierzyć, że nie jest przez nikogo kochana, nikomu potrzebna. To zwykła przypadłość okresu dojrzewania, lecz jeśli się przedłuża, prowadzi czasem do pragnień autodestrukcyjnych. Mogą one skutkować, jak w „Surviving”, dosłownym odejściem spośród żyjących poprzez samobójstwo (rozegranie rzeczowej sceny na szczycie wysokiego budynku wygląda na nieprzypadkowe), ale także „wyłączeniem się” z otoczenia przez zażywanie narkotyków lub przystanie do sekty, wreszcie... zaangażowaniem w nieodpowiedni związek. Antypatyczne indywidualium, jakim jest Kane, może przywołać na myśl – poza „fałszywym prorokiem” – także oblesnego pedofila omotującego dziecko.

Wiek nastoletni to trudny czas, gdy „artykułem pierwszej potrzeby” jest poczucie bycia kochanym przez rodzinę. Wydobyta z „drugiej strony lustra”, Carol Anne przytula się do ciotki, której pomoc zaledwie chwilę wcześniej chciała odrzucić, i chyba płacze.

Raz jeszcze powróciła do świata żywych, lecz nie widać jej twarzy. W tej ostatniej scenie zagrała już dublerka.

*

Nie jest jasne, czy Heather O’Rourke miała bezpośredni wpływ na scenariusz, ale z całą pewnością uczestniczyła w dyskusjach nad jego ostatecznym kształtem. Być może przy okazji „przemyciła” do filmu elementy autobiograficzne, albo po prostu nieświadomie zainspirowała jego twórców swoją osobą... Dość, że ze wszystkich zagranych przez aktorkę postaci, Carol Anne w „Poltergeist III” najbardziej przypomina nią samą. Nad wiek dojrzała i nieprzeciętnie inteligentna dziewczynka; ujmująco grzeczna, lecz zawsze mająca w zanadru finezyjną ripostę; z pozoru otwarta, w istocie bardzo skryta; łatwo nawiązująca kontakt z dorosłymi, ale nie zawsze prawidłowo funkcjonująca w grupie rówieśniczej – właśnie taka była Heather według tych, którzy ją znali. Wydaje się, że w swej ostatniej kreacji jest sobą tak bardzo, jak tylko było to możliwe.

Gdyby finalna część „Poltergeist” rzeczywiście miała być pożegnaniem, mogłoby ono brzmieć: „Szkoda, że już muszę iść. Czasem bywałście paskudni, ale wiem, że tak naprawdę mnie kochacie... i fajnie mi było z wami. Cześć!”.

*

W tym filmie Heather O’Rourke prezentuje w pełni już dojrzałe aktorstwo. Brak jedynie „ognia”, owego „wulkanu energii”, do jakiego przyzwyczaiła nas wcześniej. Bardziej niż w poprzednich filmach zaokrąglona twarz młodej aktorki, w połączeniu z luźną odzieżą, wywołać może wrażenie, iż gwiazda po prostu przytyła i że to jest powodem jej „ociężałości”. W istocie te obszerne ubrania po prostu „wiszą” na jej chudszy niż dotąd ciele – wystarczy popatrzeć uważnie. Powiększyły się jedynie policzki, lecz sprawiła to opuchlizna. Wywołały ją regularnie przyjmowane dawki sterydów.

Na przełomie lat 1986/1987 Heather zaczęła uskarżać się na bóle brzucha i inne dolegliwości gastryczne. Lekarze rozpoznali u niej stan zapalny układu pokarmowego, tzw. chorobę Crohna. Pacjentce zaaplikowano kortyzon, silny środek przeciwzapalny. Skutki uboczne – to m.in. wspomniany obrzęk policzków. Leczona ambulatoryjnie, mogła kontynuować pracę aktorską na planie „Poltergeist III”. Dolegliwości ustąpiły i leki odstawiono. O’Rourke wydawała się zdrowa aż do początku następnego roku.

W noc z 31 stycznia na 1 lutego 1988 bóleści powróciły wyjątkowo nasilone. Rano Heather nie mogła niczego przełknąć, kilkakrotnie wymiotowała. Palce rąk miała sine. Odwieziono ją do szpitala – w karetce straciła przytomność, by już jej nie odzyskać.

⁶ „Poltergeist III: The Final Chapter”.

To nie choroba Crohna była powodem tych i wcześniejszych dolegliwości. Zawiniło przewężenie jelita cienkiego, najprawdopodobniej wrodzone. Krytycznej nocy doszło do zatoru w jelicie, co w konsekwencji doprowadziło do jego rozerwania. Uszkodzony fragment usunięto chirurgicznie, lecz zakażenie wewnętrzne zdążyło już zrobić swoje. Nastąpiło zatrzymanie akcji serca, prawdopodobnie także poważne uszkodzenie mózgu. Heather Michele O'Rourke zmarła na stole operacyjnym o 14:43. Miała 12 lat. Pochowano ją na cmentarzu Westwood Memorial Park w Los Angeles – tym samym, na którym od listopada 1982 roku spoczywa Dominique Dunne, koleżanka z pierwszej części „Poltergeist”⁷.

Gdyby chorobę udało się wykryć o dzień wcześniej, Heather najprawdopodobniej opuściłaby szpital na własnych nogach, gotowa do zagrania kolejnej roli.

*

By mieć bodaj pojęcie, jak wielki szok przeżyli fani Heather, wystarczy wspomnieć wiadomy odcinek „Happy Days”. A przeżyli o wiele większy.

Śmierć dziecka pod kołami samochodu można by jeszcze wytłumaczyć, zracjonalizować. Śmierć dwunastolatki w nowoczesnym, cywilizowanym świecie, spowodowana przez chorobę, która w porę zdiagnozowana dałaby się wyleczyć rutynowym zabiegiem operacyjnym – to tragedia wymykająca się racjonalnemu rozumieniu. A śmierć gwiazdy z tak banalnej przyczyny – w kraju, w którym artyści kreowani są na bogów? John Wayne odszedł jako 72-letni weteran, pod osłoną podwójnej nieuchronności – starczego wieku i nieuleczalnej choroby. Martwy James Dean – w rozbitym porsche, Sharon Tate i John Lennon – zamordowani przez szaleńców, Marilyn Monroe – od przedawkowania barbituranów (nawet jeśli było to samobójstwo) – w tym jest przynajmniej „romantyczny fatalizm”. Ale zgon w trakcie prostej, jedynie zbyt późno przeprowadzonej operacji?! Parafrazując Kąkolewskiego: nie tak umierają nieśmiertelni⁸

„Byłam nie tylko smutna – zwierza się na forum internetowym⁹ fanka, która w 1988 roku miała 8 lat – byłam też przerażona, bo jeśli ona mogła umrzeć, i ja mogłam umrzeć...”

„Czy świat umrze trochę, gdy ja umrę?” – pytała w latach 60. poetka Halina Poświatowska. Skoro – wywodziła – należy do świata jako jeden z niezliczonych jego składników, świat stanie się uboższy, gdy ją utraci.

Halina Poświatowska nie wzięła pod uwagę, że artysta jest czymś więcej niż częścią zbiorowości.

Wszyscy miłośnicy talentu Heather O'Rourke – szczególnie ci bardzo młodzi – „umarli trochę” wraz z nią nie tylko dlatego, że przypomniała im o ich własnej śmiertelności. Jej śmierć była po trosze ich śmiercią, gdyż Heather w pewnym sensie była nimi. Filmy, w których grała, mówiły o ich problemach. Wraz z postaciami, w które się wcieliła, przeżywali horror dziecięcych lęków, horror kryzysów rodzinnych, wreszcie największy – horror dojrzwania. Nie mogli nie wziąć udziału w horrorze jej śmierci.

*

Ów zgon – mimo całej swej bezsensowności – zamknął jednak drogę artystyczną Heather niby kłamra. To właśnie śmierć (a nie finał trylogii „Poltergeist”) przyprowadziła cykl do punktu wyjścia.

„Gdy umiera aktor / nie wierzymy tej śmierci / celuloidowa kłisza jest / poza jej zasięgiem / M. Monroe będzie dalej fascynować (...) / Chaplin ciągle nas śmieszy” – pisała w roku 1987 poetka Elżbieta Kaźmierczak-Frykowska. Trudno o lepszą ilustrację tych słów niż pierwszy „Poltergeist” oglądany ze świadomością, że patrzymy na nieżyjącą już aktorkę. Uwięziona „po drugiej stronie” dziewczynka może komunikować się z żywymi wyłącznie za pośrednictwem telewizora... Tak przecież umiera każdy aktor.

Oczywiście, można (i warto) mieć nadzieję, że jest coś poza znanym nam światem i że kiedyś jeszcze osobiście spotkamy Monroe, Tate, O'Rourke czy Deana. I tak Heather dla wciąż nowych pokoleń fanów została kimś w rodzaju „młodzieżowej świętej”, która pojawia się we śnie dziecka przygotowanego do operacji, aby uspokoić je, że „wszystko będzie dobrze”¹⁰... Podobno – jeszcze raz „podobno!” – na początku lat '90 ktoś widział nocą na przedmieściach Los Angeles, jak wybiegła z werandy pobliskiego domu i wskoczyła do stojącej obok przyczepy... która, jak się okazało, od strony domu nie miała drzwi! Najwidoczniej po śmierci aktorka nie zmieniła swoich zwyczajów – za życia stale płatała komuś figle, szczególnie na planie filmowym.

Niestety, w naszej teraźniejszej, materialnej rzeczywistości niepodzielnie rządzi racjonalizm. Jedyną formą istnienia, dostępną tu zmarłym aktorom, jest obecność na szklanym ekranie. Zostali „pochłonięci przez telewizor” i tylko oglądając ich, umożliwiamy im dalszą egzystencję wśród nas.

Duchy przemawiają poprzez ekran telewizyjny. W bezcielesnej postaci głosów i obrazów ciągle są z nami w kolejnych horrorach i komediach naszego życia. ●

⁷ „Pośmiertnymi sąsiadami” Heather są też m.in. Marilyn Monroe i Roy Orbison, zaś najbliższym (praktycznie „przez ścianę”) – Truman Capote.

⁸ W książce pt. *Jak umierają nieśmiertelni* Krzysztof Kąkolewski podejmuje temat tragicznej śmierci m.in. Sharon Tate.

⁹ Forum jest częścią „Heather O'Rourke: The Memorial Site”, oficjalnej strony poświęconej pamięci Heather O'Rourke. Adres witryny to „<http://heatherorourke.net>”.

¹⁰ Ibidem, w dziale forum pt. „Dream Journal”.

Ludzie Gniewu

Jason Aaron, Ron Garney
Mucha Komiks, 2016



Recenzje

Marcin
Białczewski



Naród zatracenia

Maciej Świerkocki i Mariusz Sołtysik
Centrum Dialogu im. Marka Edelmana
w Łodzi, 2014

Kłątwa, która ciąży

Ludzie Gniewu to przykład zgrabnej, dość prosto skonstruowanej realizacji amerykańskiej opowiadki, z mocnym, wyrazistym morałem. Od strony wizualnej przypomina bardzo typowe dla tej kultury popkulturowe dzieła – klasyczna „superbohatera” kreska; w sferze opowieści podobnie – mamy tu mocne klamry wstępu i zakończenia, kilka zwrotów akcji, sensownie poprowadzoną fabułę i kłatwę, która ciąży na bohaterach. Kłatwę, od której mogą uwolnić się tylko w jeden sposób – niszcząc cały swój ród. W dodatku mamy też masę krwi i strzelanin. Coś dla „dorosłych dzieci”.

Ciekawe, że owa wspomniana na początku kłątwa wiąże się z postacią jednego z twórców *Ludzi Gniewu*, Jasonem Aaronem, który w artystyczny sposób postanowił ją rozwinąć. Na początku XX wieku jego prapradziadek, Ira Aaron, zadźgał człowieka podczas kłótni o kilka owiec. Widział to jego syn, Sammie. Wiele lat później dorosły już Sammie umiera na wściekliznę, pogryziony przez chorego psa. Te dwa elementy stworzyły podwaliny ciekawej miniserii – historię prezentującą krwawy cykl: kłatwę krwi, przemocy i śmierci, która nie opuszcza bohaterów tejże opowieści.

Chociaż *Ludzi Gniewu* wydano pod inspicjami Marvela w inprincie Icon Comics (to tu wydano także znane w naszym kraju m.in. *Kick Ass*, *Powers* i *Scarlet*), to jednak jest to komiks zdecydowanie dla starszego odbiorcy. To również bardzo dobry przykład „amerykańskiego sposobu tworzenia”, zarówno od strony narracji, jak i rysunku, w którym nie brakuje dynamicznych ujęć i przejść do następnego kadru.

Od strony formalnej mamy tu pięć rozdziałów, które w oryginale były pięcioma osobnymi zeszytami. Wszystko rozpoczyna się tak, jak wspomina Aaron, zabójstwem niewinnych owiec. Mamy rok 1903, pradiad Isom Ratha zabija sąsiada. Widzi to jego syn Alford, który, chorując na wściekliznę, zabija żonę i siedmioro dzieci. Alford jednak nie ginie z powodu choroby, ale z rąk jedynego z synów, który przeżył. Wiele lat później Dewey okazuje się niezwykle sprawnym płatnym mordercą, który zabija nie tylko mężczyzn, ale także kobiety i dzieci. Bez skrępowań i poczucia winy. Kłątwa jednak trwa, jego kolejne zlecenie dotyczy Rubena – jego syna. Jak widać, iście szekspirowski dylemat w jeszcze bardziej amerykańskim wydaniu.

„<coś> z każdym pokoleniem bardziej agresywne i paskudne” (s. 9) pojawia się w rodzinie i pociąga kolejnych ojców i synów. Kłątwa zrodzona z krwi, mieszcza się w krwi.

Historia opowiedziana w *Ludziach Gniewu* dzieje się gdzieś w hrabstwie Choctaw. Wszystko toczy się w czworokacie – Rath, Ruben, Lizzie – jego żona czekająca na pierworodnego (przypadek – wspomniana „pęknięta guma”), a także złoczyńca Polk. To opowieść dla prawdziwych twardzieli, z nutką sentymentalizmu i uczuć.

„Jeśli chodzi o ojców i synów, my Rathowie, zawsze mieliśmy... kolorową historię. Zwykle przeważał kolor czerwony” (s. 33).

I tak jak przypadkowa „upadka” z Lizzie, tak i wszystko inne wokół życia Rubena się spaprało i wciąż psuje. Zło z prozaicznego powodu – braku pieniędzy i nadchodzącego dziecka. Zło proste – „używające się w rodzinę”. Mamy tu łowcę i zwierzyńcę, mamy też „naddłowców” – długie polowanie na bohatera.

Ucieczka przed policją. Spotkanie w kościele i strzelanina, kolejna strzelanina, już na cmentarzu – niczym z klasycznego amerykańskiego filmu akcji. Jednakże od kłatwy się nie ucieknie. Klimat przypomina nieco ten ze znanego niektórym polskim fanom komiksu i filmu *Punisher*. Po prostu przeniesienie kina akcji w świat rysunku – sztamkowe, schematyczne, ale dobrze zrobione. Tu jednak nie metafora, a sama akcja jest najważniejsza – to po prostu kilkadziesiąt stron szybkiej, niezobowiązującej rozrywki.

Warto dodać, że poza samą opowieścią czytelnik na zakończenie otrzymuje alternatywne szkice okładek i niektórych stron. *Ludzie Gniewu* to taki *anty american dream*, w którym nic nikomu nie wychodzi. I wszyscy wciąż przegrywają.

Podstawowe pytanie: czy po *Ludzi Gniewu* warto sięgnąć? Trudno orzec jednoznacznie. Mamy tu zbyt wiele klisz i „zdartych płyt”. Niewiele tajemnic, tylko czysta akcja – coś dla fanów gatunku. Nic więcej. Czyta się sprawnie, niezobowiązująco, jednakże oznacza to także, że niekoniecznie.

Naród zatracony

Temat do najprostszych nie należy, dlatego do *Narodu zatracenia* należy podchodzić z lekkim dystansem i być może zbyt surowo nie pastwić

się nad tą publikacją. Niestety, opowieść graficzna wydana przez Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi nie zalicza się do najlepszych.

Stwierdzenie „opowieść graficzna” w tym przypadku jest na szczęście zupełnie zasadne. W ponad studwudziesięciostronicowym komiksie królują tekst, a część wizualna jest jego dopełnieniem. Mamy tu do czynienia głównie z szaro-białymi rysunkami, kilka stron jest czerwonych. Czerwień pojawia się również sporadycznie w tle – np. jako kolor swastyki, kolor krwi czy też ognia. Motyw może i znany, ale nie należy się do tego przyczepiać.

Naród Zatracenia (tytuł nawiązuje do Dantego) to opowiedziana w pierwszej osobie historia sieroty Dawida, którego pod swój dach na początku historii przyjmuje perukarz Rum. To Łódzka opowieść zrealizowana przez Łódzkich twórców – Macieja Świerkockiego i Mariusza Sołtysika. Kronika życia pewnego chłopca, nie do końca Żyda, nie do końca Polaka, nie do końca żyjącego – istniejącego obserwatora zdarzeń związanych z powstaniem Łódzkiego getta i masakry narodu żydowskiego z terenów naszego kraju.

Opowieść o dorastaniu i zderzeniach z brutalną rzeczywistością ciągle obecnej śmierci – czy to w pożarze, czy poprzez rozstrzelania. I odrobinie miłości do idealizowanej Esterki Rum.

Od czasu do czasu pojawiają się dość interesujące stwierdzenia, takie jak: „mieszkałem w mieście, które nazywało się Łódź. Wyobrazałem je sobie jako wielki statek. [...] w naszej dzielnicy ulice były wykładane kocimi łbami [...]. Byłem ciekawy, czy ulice można wykładać też głowami ludzi” (s. 11), które niestety zderzają się z dość topornymi, często banalnymi fragmentami typu „widziałem tylko amorficzne, jednobarwne plamy w różnych odcieniach, których nie umiałem jeszcze nazwać” (s. 5) czy „...myślałem naiwnie że boi się mnie. Czulem wtedy w podbrzuszu skurcz dziecinnej rozkoszy, jak gdy się wypróżniałem” (s. 10), „chciałem zobaczyć, czy ona też ma tam flaczek, którego koniuszek odgryzł mi brodaty mohel” (s. 12), „kradłem, żeby żyć. Czy to było »samoistne« zło?” (s. 53), „chłonałem wszystko wokół niczym film w kinie” (s. 55), „w każdym otoczeniu czulem się obcy, inny, wyjątkowy, od pierwszego dnia, od pierwszej chwili” (s. 57).

I tu pojawia się pierwszy z listy wielu zgrzytów – związany z językiem opowieści będącym jednocześnie językiem samego Dawida. Jest on po prostu zły i niekonsekwentny – czasem mamy wrażenie, że stoi za nim osoba dorosła, czasem – że dziecko. Brak w tym pewnej logiki, która mogłaby zaistnieć, gdyby np. bohater wiekowo rozwijał się, a wraz z nim dochodziłoby do zmiany i rozwoju również języka. Tak niestety nie jest – sam Dawid opowiada historię z perspektywy czasu i danego mu doświadczenia. Toteż dziwnie brzmi flaczek zderzający się z amorficznym widzeniem, a pomiędzy tymi stwierdzeniami nie ma nawet kilku stron. Niestety to duży minus – język bohatera zaburza odbiór i tak dość mętnej opowiastki.

Bo tak naprawdę, o czym w sumie jest *Naród zatracenia*? O dorastającym chłopcu? Niekoniecznie. O wojnie, o getcie? Tylko częściowo. O fascyzmie? Nie do końca. O fanatyzmie? Też nie za bardzo. O miłości? To tylko pretekst do rozwoju historii. Można rzec – jest o wszystkim, czyli o niczym. Brak tu jednego, silnego punktu zaczepienia, który mógłby zdefiniować całą opowieść.

„Żle żyłyśmy kolegom, którzy nazywali mnie niedojdą i niemową i wyśmiewali się ze mnie, ale tego starca chciałem zobaczyć w żywych płomieniach...” (s. 32), „Nie musiałem robić nic, żeby żyć, a po śmierci tej zdrajczyni, Esterki, nic już nie trzymało mnie w tym getcie” (s. 108). Największą wadą tejże publikacji jest niestety postać samego bohatera. Dawid to egoista, donosiciel, nieświadomie i świadomie krzywdzący ludzi. Trudno lubić takiego bohatera, trudno się nim fascynować, zderzać się z jego codzienną apatią i przemądrzaństwem. W literaturze niejednokrotnie pojawiały się postacie negatywne, które jednak w pewien sposób fascynowały czytelnika. Tu niestety tak nie jest. Dawid odpycha, a co za tym idzie – odpycha cała opowieść.

„Żeby objawiło się zło, nie trzeba go przywoływać. Ono zwykle działa samoistnie” (s. 52). Bohater żyje w złym świecie, pełnym nienawiści, niespełnionej miłości do Esterki, czasami przebywa w sierocińcu, czasami chowa się w domu Sali i Sala. Pozostają mu zainteresowanie kobietami i niezrozumienie żadnej istniejącej wiary. Bohater to nikt, jednak nie w sensie *everyman*, a zły wybraniec, wybraniec ponad wszystkimi innymi, któremu wydaje się, że jest mądrzejszy, i który znajduje sposób, aby przeżyć. Obserwator nie potrafiący w całości zrozumieć otaczającej rzeczywistości, a stawiający jedną za drugą zdecydowane tezy.

Nie jest na szczęście prawdą, że publikacja Centrum Dialogu im. Marka Edelmana jest zła. Należy pochwalić sam zamysł, prezentację niektórych historycznych zdarzeń i miejsc, takich jak ujazd Niemców do Łodzi, stworzenie Litzmannstadt Ghetto czy Wielkiej Szpery. Plus przybliżenie topografii miasta i postaci realistycznych, takich jak np. Prezes czyli Chaim Rumkowski. Także i w tym przypadku należy mieć zastrzeżenia, gdyż tak wieloznaczna i tragiczna postać, jaką bezsprzecznie był Rumkowski, w pozycji Centrum Dialogu została spłaszczona i zaprezentowana wyłącznie w negatywny sposób.

Patos to nieodłączny element opowieści o II wojnie światowej, więc akurat to, że występuje na łamach tej publikacji, nie musi być zarzutem. Jednak już sam brak głębi musi mierzić. Wszystko jest tu zbyt przewidywalne i sztampowe. Błędy techniczne na poziomie samej opowieści obniżają jej poziom. Ostatni minus to niepotrzebny epilog nawiązujący do współczesności. No i banalny obraz z tekstem Primo Leviiego „Czy to jest człowiek?”, niejako podsumowujący całość.

Narodowi zatracenia naprawdę wiele brakuje. Nie jest to tak dobra pozycja jak legendarny *Maus* czy chociażby nie mniej ciekawa *Córka Mendla*. Być może powodem jest złe założenie – w przytoczonych tytułach na czoło wybijają się opowieści, straszne, przerażające, jednak opisujące tamtejszy świat, a może po prostu po wielu dobrych propozycjach związanych z wojną oczekiwania czytelnika są już na wyższym poziomie? W *Narodzie* wszystko wychodzi od tezy stawianej przez bohatera i ujawniającej się w epilogu. W dodatku historie tworzą autorzy (Świerkocki, Sołtysik) w żaden sposób nie „naznaczeni piętnem wojny”.

Dobrze, że za komiksy biorą się osoby / instytucje nie do końca zaznajomione z jego specyfiką, jednak zazwyczaj wychodzi to strasznie topornie. Tak jest akurat i w tym przypadku. Brak tu lekkości, głębi i samego zaciekawienia czytelniczego. ●



Erasm Furman › Recenzje

Afronty Furmana



Wyrzębane. Okres przedświąteczny i supermarket to miejsce i czas, w którym nikt normalny nie powinien chcieć się znaleźć. Ale czy wszystko zależy od nas? Skąd się w nas bierze nienawiść do pobratymców – przecież to tylko zakupy? Jeśli jesteśmy ciekawi, jak wyglądają wojny i czystki etniczne, a nie jesteśmy reporterami wojennymi – to czas przedświąteczny spędzony w Lidlu albo Biedronce da nam na pewno jakąś namiastkę tego, co dzieje się w miejscach konfliktów zbrojnych. Jeśli jednak patrzeć na pobratymców wyrzekających się resztek rozumu, a z nim rozsądku, jest nam nie w smak, ale – wbrew chęciom i pokojowej naturze – musimy tkwić w tym piekle rabatów i promocji, podpowiem, jaki jest sposób, aby to przetrwać. Otóż trzeba się tylko dobrze rozejrzeć i poszukać azylu; miejsca, gdzie statystycznie na metr kwadratowy przypada tyle samo przedstawicieli naszego gatunku co na przykład w Tybecie. Nie uwierzycie, ale są obszary – nawet w Carrefourze – gdzie nie ma nikogo, nawet obsługi. Są to oazy spokoju i melancholii – a stoją tam kosze kopiały wypełnione przecenionymi książkami. Jeśli typowy obywatel się tam pojawi, to – wiadomo – zabłądził. Dlatego, zakłopotany i unikający naszego wzroku, wnet szybko umknie w stronę segmentów ze spirytualiami i przygotowanym do grillowania karczkiem. W efekcie niedawnego grzebania w takim koszu i czytania tego, co z niego wygrzebałem, powstały dwie początkowe notatki; trzy kolejne zrecenzowane książki, niestety, musiałem już kupić za normalną, a nie promocyjną cenę.

Bez walki

- Paul Bowles, *Bez ustanku. Autobiografia*, tłumaczył Jerzy Korpanty, Świat Książki, Warszawa 2014.

Mam problem z tą książką. Niby dobrze się ją czytało, ale co z tego, skoro miałem poczucie, że czegoś tu brakuje; jakbym się natykał na jedynie powierzchownie zamaskowaną pustkę. Paul Bowles, amerykański kompozytor i pisarz, autor słynnej – sfilmowanej przez Bertolucciego – powieści *Pod osłoną nieba*, guru beat generation, ikona indywidualności, okazuje się napisał także książkę autobiograficzną, która jest prawie pozbawiona emocji. Jest w niej za to takie nagromadzenie bohaterów, że może iść w szranki z książką telefoniczną Nowego Jorku. Memuary Bowlesa to właśnie książka telefoniczna, ale specyficzna, bo zawierająca niemal kompletny wykaz wybitnych i utalentowanych twórców XX wieku. Wszystkich ich Bowles znał, z wieloma był związany, przyjaźnił się, ewentualnie spotkał w jakimś hotelu podczas swoich niezliczonych podróży lub gościł u siebie, w mitycznym Tangerze, do którego bitnicy pielgrzymowali niczym do Ziemi Świętej. Zaiste, tu chyba tkwi główna przyczyna poczucia braku – Bowles woli pisać o innych, w stosunku do siebie jest nazbyt skromny, bo prawie w ogóle nie ujawnia, co mogło być w nim tak fascynującego, że przyciągało artystów klasy Capote’a, Tennessee Williamsa, Dalego, Burroughsa, Ginsberga, Corso czy Gertrude Stein? Wiem, wiem, to środowisko specyficzne, artystowskie, w którym od czasów starożytnej Grecji zawsze znaczący procent stanowiły osoby homoseksualne, z natury bardziej twórcze od heteroseksualnych. Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Trochę za to wyjaśnia sam autor, który relacjonując zachowanie jednego z przyjaciół, zauważa: „wciąż podkreślał swoją obecność w sytuacjach, w których moim zdaniem powinniśmy dążyć do niewidzialności” (s. 176). Zaś na końcu książki wyluszcza metodę, jaką wybrał, pisząc wspomnienia: „Używam ich do rekonstrukcji, kawałek po kawałku, szkieletu zdarzeń, troszcząc się o to, by nie zestawiać

na siłę części, które do siebie nie pasują. Według mnie taka ostrożność wiąże się ze staraniem, by pouściagnąć osądy i nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do swojego punktu widzenia”. Wielka szkoda, że Bowles jest taki konsekwentny w pouściagnięciu, bo przez to staje się wręcz przeźroczysty. Najciekawiej wyglądają najwcześniejsze lata, okres szczenięcy i dorastanie, bo tu jeszcze jakieś emocje się pojawiają. Czytamy, że Bowles sobie z nimi nie radził, albo czynił to w sposób zaskakujący otoczenie i jego samego – choćby wtedy, gdy w ataku niespodziewanej i właściwie niczym nie wywołanej wściekłości rzucił w ojca nożem do mięsa (taki pechowiec jak Burroughs na pewno trafiłby rodzica w samo serce). Czekałem na podobne momenty, ale zdarzały się rzadko, a rejestracja kolejnych podróży, odwiedzanych miast, z czasem zaczęła mnie nudzić. Te eskapady – użyję tu ulubionego słowa Bowlesa – są kompulsywne; zwyczajnie nie potrafił usiedzieć na miejscu. Poznajemy więc szczegółową rozpiskę jego peregrynacji po świecie, za to niewiele dowiadujemy się o długim małżeństwie z Jane, pisarką, dziś chyba modniejszą nawet od Paula! On gej, ona lesbijka, do tego oboje parający się pisarstwem (czyli dochodził choćby podświadomy efekt rywalizacji), a jednak przez wiele lat byli ze sobą i jakoś trudno wyłowić – nawet między wyrazami – co tak naprawdę ich łączyło, poza wspólną kuchnią i leżakowaniem na poduszkach. No tak, byli razem, ale osobno, w dwóch niekompatybilnych światach, choć przecież musieli być przyjaciółmi. Dziwny to sojusz, który wydaje się triumfem wyrachowania; wygodniej im było być w związku małżeńskim, choć przecież coś podobnego, im, nie praktykującym uświęconych obyczajów seksualnych, na wskroś nowoczesnym artystom, zwalczającym burżuazyjne przyzwyczajenia komunistom, powinno być obce i nienawistne. Ale takie już jest życie, z czymś walczymy, czemuś się sprzeciwiamy, a potem okazuje się, że łądujemy w domku z ogródkiem, odbębniając osiem godzin w pracy, której z całego serca nienawidzimy. Bowlesowi paru miazmatów udało

się uniknąć, ale nie wszystkich. Z wiekiem, jak wszyscy, zaczął marudzić, że kiedyś było lepiej, bo „świat zmienił się na gorsze”. Boże, on to pisał w 1972 roku, co by powiedział o obecnym świecie?! Mamy tu parę poloników, wśród nazwisk pojawia się dyrygent Leopold Stokowski, ale najciekawsze są relacje Bowlesa z podróży z polskimi statkami: „Generałem Walterem” i „Batorym”. Rejsem na tym pierwszym Bowles nie był zachwycony (podłe jedzenie i hałas), ale przynajmniej opisał obyczaje panujące na pokładzie, gdzie najważniejszą osobą – chciało mi się napisać „po Bogu”, ale chyba nawet przed – był główny mechanik, bo należał do partii, więc kapitana, nie mającego stosownej legitymacji, zmuszał do prac fizycznych, jak zwykłego majtka. Na „Batorym” wg Bowlesa było bez zarzutu – tanio jak barszcz, a do tego miał tam to, co prawdziwi komuniści uwielbiają: dobrą kuchnię i wygodę. Prawda jest taka, że Bowles zbytnim antykonformistą nie był, a już komunisty, zwłaszcza w wersji siemiennej, jak Władysław Gomułka, nie przypo-

minał w niczym, bo w tej ideologii pociągała go nie równość w podziale dóbr, ale „niszczyielski i wywrotowy potencjał”. A z komunizmem, o czym wiemy doskonale, jest jak z kiepskim malarstwem: dobrze wygląda z daleka. Autor *No więc dobrze* miał szczęście, że nie dane mu było poznać „uroków” sowieckiego komunizmu lat 30., czy nawet polskiej gospodarki nakazowo-rozdzielczej z lat 50., bo przy swoim delikatnym zdrowiu raczej by podobnych doświadczeń nie przeżył. Bukowski czy Knausgard, o których książkach będzie dalej, piszą, że życie to nieustanna walka; życie Paula Bowlesa, takie, jakim się jawi z jego autobiografii, to raczej unikanie walki. Rodzice nie są fajni, to prysnę do Paryża, Jane się rozchorowała, wpadnę na rok do Bangkoku... Może to i ma sens, przecież ta walka w gruncie rzeczy skazana jest na niepowodzenie, ale z drugiej strony nic nie sprawia takiej przyjemności, jak obserwowanie czyichś niepotrzebnych, a przez to żalonych podskoków. Tu mi ich zabrakło.

Schulz i ichtiologia

• Dawid Grosman, *Patrz pod: Miłość*,

przekład Magdalena Sommer, Seria: Mistrzowie Prozy, Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2014.

Dawid Grosman – jak zachwała wydawca – to wybitny współczesny pisarz izraelski. Choć był wcześniej tłumaczony, dzięki wydawnictwu Świat Książki trafił w ostatnich latach do Polski już nie w homeopatycznej dawce – to już bardziej przypomina blitzkrieg. *Patrz pod: Miłość* to tłusta książka, prawie siedemset stron, podzielonych na trzy części plus bonus. Zaczę recenzję nietypowo, od części drugiej, ponieważ Grosman popada w niej w... pisarski obłęd, trzeba przyznać, nawet fascynujący. Bohaterem ponad stu stron staje się nie kto inny jak Bruno Schulz, który zamienia się w... rybę. Osobliwy pomysł, ale – jak mi się zdaje – autor chce jakoś oddać swoją fascynację pisarzem, wiedząc, że może to zrobić jedynie poprzez próbę dorównania mu w stworzeniu własnego literackiego świata. Aby to osiągnąć, szczegółowo zapoznał się ze spektakularnymi zwyczajami łososi oceanicznych. Stworzył następnie iluzję rzeczywistości okupacyjnej, w której Bruno Schulz dostaje się do Gdańska, na wystawę Muncha, gdzie zachwyca się słynnym *Krzykiem*, całuje obraz, niemiecka obsługa wyrzuca go z muzeum, a on w całym rozgardiaszu zostawia rękopis *Mesjasza* (nie jest z niego zadowolony i cieszy się w gruncie rzeczy, że go stracił); potem wpływa wpływ na Bałtyk, czuje się wolny i nieskrępowany, nic go już nie łączy z ludzkością. Spotyka się z ławicą łososi. Po pewnym czasie ryby traktują Bruna jak swojego, a ten, odrzucony przez gatunek ludzki, a przygarnięty przez ryby, stapia się z ławicą, przystosowuje, z czasem wyrastają mu skrzela. W tym rozdziale rzeczywistość przeplata się z fikcją, prawdziwe osoby (np. historyk Feliks Tych) i zdarzenia (m.in. karnawał Solidarności w Polsce w 1980 roku) z owymi głębinowymi przeżyciami Bruno-Łososa. To bardzo wizyjna część, niemniej dla kogoś o mniej wybujałej wyobraźni, ceniącego konkrety, może być męcząca;

myślę, że to głównie z jej powodów krytyka, nie zachowując proporcji, porównywała książkę Grosmana do *Śtąd do wieczności* Marqueza. Mnie uszakże zdecydowanie bardziej przypadły do gustu części pierwsza i trzecia, zawierające znakomite partie; w pierwszej głównym bohaterem jest dziecko, alter ego autora, dzieściolatek Momik, który hoduje w piwnicy nazistowską bestię, bo nie wie jeszcze, czym była Zagłada, czyli coś, co działo się TAM (w Polsce). Dorośli, jak to mają w zwyczaju ofiary traumy – a rzecz dzieje się w latach 50. – milczą, dając tym pożywkę dla wyobraźni Momika. Narrator, Szłoma, czyli dawny Momik, opisuje też bardzo szczerze późniejsze lata – gdy już jest dorosłym pisarzem, ma żonę, kochankę, obie panie o sobie wiedzą i nawet spotykają się, by podyskutować, jak uszczęśliwić Momika, albo jak mu pomóc w pracy twórczej. Tylko pozazdrościć wyrozumiałych partnerek, jeśli takowe istnieją, gdzieś jeszcze poza głową zdolnego przecież do nie takich pomysłów pisarza (patrz: Schulz-Łosós). Szłoma jest ojcem, który martwi się, co wyrośnie z syna i czy jego dziecko przeżyje dobre życie. Trauma rodziców jest uszak i jego traumą. Historia, od której nawet Grosman mógłby się uczyć wymyślania niestworzonych opowieści, dopisała specjalny rozdział do tej fabuły – syn pisarza zginął w 2006 r. podczas służby wojskowej. Bohaterem trzeciej części jest ocalały z Zagłady wujek narratora Wasserman, autor drukowanych w gazetach opowieści dla dzieci. Wasserman przeżył, bo – można powiedzieć – „cierpiał” na rzadką chorobę: nieśmiertelność. Niemcy nie potrafili go zabić, bo nie miały go się kule, nie dawał mu rady gaz itd. Wasserman w obozie został zatrudniony do czyszczenia kibli. „Czyżbyśmy znaleźli nowe zastosowanie dla gówna” – żartuje sobie z niemiecką gracją komendant obozu Neigel, zniesmaczony faktem, że nie potrafi zamordować starego więźnia. Mamy tu do czynienia z mitem Szeherazydy, bo obersturmbannführer Neigel (połączenie najgorszych cech Rudolfa Hoessa i Amona Götha), okazuje się: za dziecka wielbiciel historyjek Wassermana, po latach ma do nich sentymentalny stosunek;

można się więc domyślić, jakiego typu układ zawiązują więzień i jego oprawca. Książkę wieńczy podsumowująca ją encyklopedia wyrażań hebrajskich. Trzeba przyznać, książka Grosmana, mimo onieśmielającej objętości, nie jest walizką podrózną, której nie można domknąć – jest

dobrze skomponowana, a wątki się zamykają. Wiem też już, skąd nutka szaleństwa w prozie Etgara Kereta; ulubiony izraelski pisarz czerpie nie tylko z tradycji talmudycznej i Franza Kafki, ale i od starszego kolegi, Dawida Grosmana.

Nic śmiesznego

- **Charles Bukowski, *Śmieję się z bogami. Rozmowy z Fernandą Pivano***, przekład Krzysztof Filip Rudolf, wydawnictwo w podwórku, Gdańsk 2016.

Charles Bukowski (1920–1994), wiadomo: poeta, prozaik, pijak, abnegat, kurwiarz i mitoman. Nie wiadomo za to, po co wydano u nas tę książkę. A właściwie wiadomo – Bukowski dobrze się sprzedaje, więc wszystko, co tylko jakoś się z nim wiąże, ma szansę na siebie zarobić. Kiedy książka ukazała się we Włoszech, 35 lat temu, chodziło o przedstawienie kontrowersyjnego amerykańskiego pisarza czytelnikom, którzy nie znali jego książek ani jego prostej jak szklka od butelki filozofii życiowej. Fernanda Pivano, Włoszka, „znana krytyczka literacka, tłumaczka i pisarka” skorzystała ze sposobności i wypuściła książkę, która zaspakajała pierwszy głód czytelniczej wiedzy o Bukowskim, tyle że dziś *Śmieję się z bogami* nic nowego do wiedzy o autorze *Kobiet* nie wnosi. Sensacją nie jest na pewno ujawniana przez Bukowskiego zgrabna historia, że gdy rzucił pracę na pocztę, syn jego wydawcy przyniósł mu ze szpitala w słoiku serce zanurzone w formalinie i autor *Faktotum* trzymał je potem w szafie (od czasu do czasu wyciągał i oglądał, chyba tylko po to, żeby wywołać odruch wymiotny). Znamy tę „sensację” z *Listonosza*, jego pierwszej powieści, co zresztą Pivano przyznaje w rozdziale, w którym streszcza książki Bukowskiego (z racji tego, że książka ukazała się w 1983 r., nie ma tam późnych książek Bukowskiego: *Kłopoty to moja specjalność*, *Hollywood* i *Szmira*). Publikacja przypomina wydany u nas kilka lat temu tom wywiadów Kristy Fleischmann z Thomasem Bernhardem, w którym pisarz drze łacha z dziennikarki, a ta to wszystko łyka, aż czytelnikowi dech zapiera, że można być tak naiwnym. Bukowski jest trochę – o dziwo – bardziej dżentelmeński dla pani Pivano, a może po prostu kobieta miała szczęście, bo trafiła na jego spokojniejszy okres, gdy osiągnął sukces i nie chciało mu się już być na siłę kontrowersyjnym? Ze świecą w rękę można tu szukać pytań, które

przycisnęłyby Bukowskiego do gruntu, ale nie żądamy cudów, przecież nie każda włoska dziennikarka jest Orianą Fallaci. Dlatego od czasu do czasu zgrzytamy zębami, gdy na przykład czytamy reakcję dziennikarki na fakt, że Bukowski lubi Hemingwaya, ale już „trochę mniej niż kiedyś?”. „Mniej?” – zapytuje rezolutna kobieta. Albo gdy rozmawiają o naturze, a pani Pivano stwierdza: „Bo natura jest okrutna”. Jeszcze bardziej okrutny bywał kiedyś Bukowski, a tu mu się wyraźnie nie chce. I właściwie ten wywiad-rzeka tak powinien być zatytułowany: Nie chce mi się. Książka składa się z kilku części – pierwszą są spisane szczegółowo długie rozmowy z Bukowskim (dwie na przestrzeni czterech lat), a w drugiej mamy m.in. streszczenia książek poetyckich (*Płonąc w wodzie, tonąc w ogniu* czy *Miłość to piekielny pies*) i prozatorskich Bukowskiego, w kolejnym Pivano wspomina o ekranizacjach jego prozy (ale bez słynnej *Ćmy barowej*, bo ta powstała dopiero w 1987 r.). W podsumowaniu autorka zamieszcza kilka niegłupich spostrzeżeń o fenomenie Bukowskiego, poety i pisarza osobnego, którego podszytą rozpaczą filozofię stawia obok filozofii... subkultury punkowej. To jednak nieco za mało, żeby uzasadnić sens wydania książki w znacznej mierze przestarzałej i wtórnej. Zuważa, że w tym samym, 2016 roku, ukazał się w Polsce nowy tom wygrzebanych gdzie się dało tekstów Bukowskiego zatytułowany *O pisaniu*. To publikacja w pewnym stopniu o tym samym, co książka Fernandy Pivano; też nie jest jakoś wiele więcej warta, gdzie jej do *Zapisków starego świntucha* czy *Z szynką raz*, ale to jednak Bukowski-pisarz, a nie skacowany gawędziarz. Inna sprawa, że obawiać się można kolejnych książek Bukowskiego, których konieczność wydania zdaje się wątpliwa. Już wiadomo, że ukazał się: *O miłości* i *O kotach*, ale kto wie, czy nie powstaną kolejne: *O picciu*, *O wyścigach*, *O sraniu*, no, jeszcze parę toposów literackich Bukowskiego bym znalazł. Da Bóg, wydawca pokombinuje i powstanie też jego pośmiertne dzieło *O robeniu wała z dziennikarek*. To będzie mурowany hicior!

Kupa śmichu

- **James McBridge, *Ptak dobrego Boga***, przekład Maciej Świerkocki, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016.

Mondre ludzie prawiom, iż dobro ksiunżka to tako, co to łucy i bawi, i jednym ciungiem zabawiajonc łucy. Nie wim cego mnie ta ksiunżka

nałucy, może pisanio, lubo tego, jak się pisać nie powinno, bo tyłu łortografów, com w niej uwiadził, to nawet jo w szkule powszechnej, jak się łucyłem za smarka, nie robiłem. Na pewno nie nałucy mnie zabijano, bo choć go wela na stronicach tjj ksiunżki, to jakoś nie do kuńca da się w te historyje łuwiezyć. Na mój rozum tyn, co to jom pisoł, musioł znóc

Matego wielkiego człowieka Thomasa Bergera. Tu i tu mamy chopoka z mlikiem pod nosem, ino że jedyn jest biały, a drugi, ten McBrigda, czorny, jak z „Kuriera wycięty”. Casy tyz podobne, u piruszego momy kajecik starego chopa, a drugigo wspominki jesce starszego dziodka. Momy winc dziewietnosty wiek, jakowys Teksas i łopłotki i naporzanie siem ludzisków – takich, co to chcom mieć niewolników, i takich, co ich nie majom, wienc som za tym, coby niewolnictwa nie było w ogóle. No jak u nos we wsi, jak kto co ma, to ci, co nie majom, najchytnej by mu tego zabronili abo i zabroli. Tyn, co to opowiada, ma pecha, bo jest czorny i ma na imię Henry, ale godajom na niego Cybulka, i jesce dodatkowo jest z nim kupa śmichu, bo go majom za dziewczynke. Łazi wienc w kieckach, a chopy chentnie by mu skradli to, co dziołchy majom najcynniejszego. Na jej, to znacy jego scynscie, jest za młody na takie figle. Som w tyj ksiunzce kurwy, lewolwerowcy, protystanckie

ksiendze i nie wiadomo kóren z nich gorsy. Jeden siem zdaje ślachetny, John Brown, co to by czornych puścił samopas. Ale inni za pierona tego nie chcom, dlotygo wciunż som walki jednych z drugimi. John Brown ma plan, kóren się okazuje do dupy. Tyn cały John Brown to po proudzie stary dziadyga, któremu Bóg rozum odebrał, a jego synki jesce gupsze. Ciungle, we uszytkich bojach, jest z nim Cybulka, znaczy Henry. Podobno to szalynstwo działo siem naprowde! Wicie, to uszytko jakoś tak surrealnie jest opisane, z jajem, a wydawca, to je tyn, co mu lezy na syrcu, coby ksiunzke opchnonć jakiemu gupiemu, chwoli jom, jakby to sam Mark Twain ustol z grobu i jom machnoł. A to przeca jakowys muzyk napisol, choć trza przyznoc, że ma chop łeb jak kuń, bo tak to sprytnie zrobil, że się nie dało łoderwać od ksiunzki, a że łostatnio kartka zostala, nawet coby gadzinie sypnońc ziarna abo bydlontka łoporządź – a przeca ksiunzka grubo, prawie jak Biblija.

Po walce

• Karl Ove Knausgård, *Wiosna*,

ilustracje Anna Bjerger, przekład Milena Skoczko, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017.

To po *Mojej walce* drugi cykl książek Knausgård; ci cholerni Skandynawowie mają jakąś predylekcję do pisania sag, czym zresztą znakomicie wpisują się we współczesną strategię marketingową preferującą więcej towaru w jednym opakowaniu. *Moja walka* jest rozłożoną na sześć tomów wiuisekcją życia jej autora, summa summarum cykl *Cztery pory roku* jest tym samym, ale potraktowanym odmiennie. Po pierwsze tomy są dużo chudsze, doszły też ilustracje, choć są tu tak potrzebne jak toast przed wypiciem herbaty. Cykl, zapewne zgodnie z zamiarem autora, każdemu kojarzy się z Vivaldim, tak jak *Moja walka* miała się kojarzyć z opus magnum Adolfa Hitlera – to niby dziennik, który Knausgård pisze, oczekując czwartego dziecka, córki. Po polsku wyszły trzy tomy: *Jesień*, *Zima* i właśnie teraz, jak Bóg nakazał, na wiosnę – *Wiosna*. Ten tom różni się od pozostałych dość zasadniczo; tamte to były dość luźno połączone w całość rozważania skierowane do córki, która kiedyś je przeczyta, oraz notatki, rozważania o przedmiotach, wydarzeniach, żywiołach itp. Uwagi mądre mieszały się z często i gęsto z banalnymi czy infantylnymi. Piękno mieszało się z brzydota, na tych samych prawach. Jakoś mnie pierwsze dwa tomy nie przekonały, a momentami wręcz irytowały. Pomyślałem, że kolejny cykl, to mogłyby być dni tygodnia, a znając talent Knausgård do rozciągania opisów nawet drobnych codziennych czynności do niebotycznych rozmiarów; już widziałem siedem opasłych tomów: *Poniedziałek*, *Wtorek*, *Środa* itd. Bez problemu by je machnął. A ja pewnie bym je kupił, żeby się przekonać, że Knausgård jest mistrzem opisu krojenia chleba, zaparzania kawy, zapalania papierosa, wyciągania bielizny z pralki, rozwieszania jej na suszarce; daje radę także w subtelnym zarysowaniu jesiennego krajobrazu podczas jazdy samochodem, dziwnie bladego, jakby zaspanego porannego nieba itd., itp. A tu, w trzecim tomie, znów

mnie trafił, choć to stara gra, znana świetnie z *Mojej walki*; jeśli czymś w poprzednim tomie nas znudzi, to w kolejnym przeanalizuje sytuację, posłucha opinii i uróci do tego, co mu najlepiej wychodzi – analizowania jakiegoś dramatycznego wydarzenia, a najchętniej traumy. W *Mojej walce* był to okrutny ojciec alkoholik, a teraz popadająca w depresję żona. Nieudana próba samobójcza małżonki, ciężarnej matki trójki dzieci, sprawia, że Knausgård, bo to on jest najważniejszy w opowieści, ma problemy z Urzędem Ochrony Praw Dziecka. Jest szczerzy; żona go wkurza, bo zostawiła mu na głowie cały rodzinny majątek, lecz się, zamiast mu pomagać, toteż cieszą go głównie rzadkie chwile, gdy jest sam. Kocha swoje dzieci, ale bywa wobec nich mało wyrozumiały. Oczywiście, i tu co rusz czytamy o przyrządzaniu jedzenia, jeździe samochodem po sprawunki, odprowadzaniu dzieci do szkoły, czy oddawaniu stolca, ale mają one – inaczej niż w *Jesieni* czy *Zimie* – sens, na coś czytelnika przygotowują. Dobięający pięćdziesiątki norweski pisarz, zamieszkały w Szwecji, potrafi wykrzesać emocje nawet z tak wyświechtanego motywu, jakim jest wybranie się na miasto bez karty bankomatowej. Chapeau bas! *Wiosna* jest dobrą książką, najlepszą z dotychczas wydanych w cyklu pół roku, z powodzeniem mogłaby być jednym z bardziej udanych tomów *Mojej walki*, oczywiście, gdyby ją trzy razy pogrubić. Inaczej mówiąc, *Wiosna* sprawia wrażenie tomu z wcześniejszego cyklu, który wpadł w łapy solidnego redaktora, kogoś podobnego do Gordona Lisha chlastającego opowiadania Raymonda Carvera. Swoją drogą, gdzie się podziali dawni solidni redaktorzy, którzy umieliby wywalić z tych napuchłych współczesnych powieści wszędobylskie pustostłowie? To może temat na inny tekst... Istotne, że teraz czekam na *Lato*, a przecież po *Jesieni* miałem, szczerze mówiąc, dość Knausgård i mocno się wahałem przed nabyciem *Zimy*, która też mnie nie przekonała. Ale po takiej *Wiosnie* *Lato* chyba nie da się schrzanić. ●

W królestwie Dyrektora Alienacji

W *Człowieku z szóstego piętra* Jarosław Prokop przywołuje postmodernistyczne fascynacje sprzed ćwierćwiecza. Wychodzi mu to dość zgrabnie.



Jarosław Prokop: *Człowiek z szóstego piętra*;
Rozpisani.pl, 2015.

Postmodernizm należy już dziś uznać za kierunek nieco przebrzmiały, ale to oczywiście nie powód do zarzutów. W końcu chłopcy z Marillionu, debiutując w roku 1983 (a więc w czasach dominacji heavy metalu i new romantic), również nawiązywali do pozornie „przebrzmiałych” wzorców psychodeliczno-progresywnych. Na przekór okolicznościom przyczynili się jednak do zapoczątkowania ważnego i owocnego nurtu neoprogresji. Nie „przebrzmiałość” wzorca jest więc istotna, tylko sposób, w jaki go wskrzeszamy. Jak to się udaje Prokopowi? Powtarzam: dość zgrabnie – ni mniej, ni więcej.

Człowiek z szóstego piętra, powieściowy debiut Jarosława Prokopa, jest zjadliwą satyrą na konsumpcjonizm i celebrytizm, zawierającą elementy tzw. fantastyki religijnej, z domieszką współczesnego romansu i sensacji oraz istotnymi wątkami psychologicznymi. Pozorne kariery i bardzo realne upadki, polityk z kryminalną przeszłością, biznesmen jako „szara eminencja” manipulująca zza kulis życiem publicznym – oto obraz „wysokich sfer” początku XXI wieku... Trudno orzekać, ile w tym wszystkim rzeczywistych obserwacji socjologicznych, a ile stereotypów i tzw. „legend miejskich” – pamiętajmy, że postmodernizm żywił się na równi jednym i drugim. Równie typowe było dla niego, nadmienione wyżej, łączenie i mieszanie literackich konwencji.

Autora wypada pochwalić za fabułę. Bardzo sprawnie prowadzi on wielowątkową intrygę, czyniąc ją na tyle wciągającą, że trudno się od książki oderwać (a raczej trudno byłoby... ale o tym później). Duży plus, który dobrze rokuje na przyszłość! Każdy wątek ma swój sens i cel, każdy służy przesłaniu powieści i każdy znajduje swoje zwieńczenie. I coś mi mówi, że na podstawie tej powieści mogłaby powstać znacznie od niej lepsza adaptacja filmowa.

Świat *Człowieka z szóstego piętra* wypełnia też galeria wyrazistych postaci. Prawda, bywają one cokolwiek stereotypowe, ale w postmodernistycznej powieści to akurat nie tylko dozwolone, lecz nawet mile widziane. „Słodki dran” skrywający bolesną tajemnicę, która uczyniła go tym, kim jest. „Współczesny Kopciuszek” wyrwany z gazety prosto w światła wybiegu dla modelek. Polityk z pierwszych stron gazet, snobujący się na człowieka o wysublimowanym guście, w istocie – prymityw, hulaka i erotoman. „Prostytutka o złotym sercu” – choć upadły, ale i tak anioł. Żebrak, któremu nagle się poszczęściło. „Pocziwy glina”, któremu powinęła się noga. I tak dalej. Co ciekawe, bohaterowie ci, mimo swej schematyczności, „w akcji” wypadają całkiem wiarygodnie. To również dobrze świadczy o autorze i daje nadzieję na dużo lepsze utwory w przyszłości. Może jedynie wątek romansowy zatrać Hollywoodem, choć i to można złożyć na karb konwencji.

Jak przystało na postmodernistę (czy może neopostmodernistę?), Prokop wykazuje też pewną dozę erudycji – nie tylko w dziedzinie kultury masowej, której powieść przede wszystkim dotyczy. Centrum handlowo-usługowe jako świątynia kultu konsumpcji błyskawicznie przywołuje na myśl słynną scenę z Parkerowskiej ekranizacji „The Wall” (gdzie podobne „sanktuarium” powstaje na miejscu zburzonego kościoła). Nie od rzeczy przypomnieć też wizję piekła jako domu towarowego z wiersza Lawrence’a Ferlinghettiego *Dyrektor Aliena-*

cji (zresztą Dyrektorem Alienacji z powodzeniem mógłby mienić się tytułowy bohater powieści). Saint Jesus™, jako „mesjasz nowej wiary” – konsumpcjonizmu podniesionego do rangi kultu – mimowolnie budzi skojarzenie z reklamowym monstrem, w jakie pewien konsern spożywczy przekształcił jednego biskupa z Bizancjum. Postać, nauka i życie owego „mesjasza” – to gorzka parodia Ewangelii... Poza tym narracja i dialogi bywają inkrustowane licznymi przytoczeniami ze świata popkultury. „Gadające głowy”, „giganci tańczą”, „zarobić na waciki” – te cytaty nabrały już rangi skrzydlatych słów i postacie chętnie z nich korzystają.

Gdy mowa o konsumpcjonizmie: ukazany w powieści „cykl przerebu” celebrytek wnosi oczywiście element groteski, ale i ukazuje istotną prawdę. Wcześniej równie dosadnie przedstawił to Ulrich Edel w swej ekranizacji *Dzieci z dworca ZOO* Christiany Felscherinow. Tam środkiem uzależniającym była heroina, tu – blichtr i „łatwe życie”, ale mechanizm jest identyczny. Osobom, które z konsumpcji uczyniły treść życia, konsumpcjonizm szybko ukazuje swoje brzydsze oblicze. Drugą stroną konsumpcji staje się bycie konsumowanym, przemiana z podmiotu konsumpcji w jej przedmiot.

Kiedy jednak przychodzi do głębszych rozważań, myśl tej powieści zupełnie „siada”. Wazkie w założeniu dysputy między wspomnianym Saint Jesusem™ a jego pierwowzorem, czyli Jezusem Chrystusem we własnej osobie, a potem również z tytułową postacią powieści, budzą odrobinę zażenowania – już nie to, że teologa (którym nie jestem i mienić się nie próbuję), ale osoby choć trochę zainteresowanej tematem! Niestety, przypomina to raczej roztrząsania zbuntowanego dwudziestolatka, który o Jezusie i chrześcijaństwie nic nie wie, a wstydzi się zapytać. Przykro mi, ale na tym poziomie rozważań – poziomie, jak by nie było, ostatecznym – gra schematami przestaje popłacać.

Jeszcze bardziej od konsultanta teologicznego przydałaby się autorowi pomoc dobrego redaktora. Nie tylko po to, by poprawić (nieliczne na szczęście, ale trafiające się tu i ówdzie) niedoróbki stylistyczne. Również nie tylko, aby skorygować równie rzadkie, niemniej rażące błędy rzeczowe (moneta jest kolistą, nie owalną; piramida to nie stożek, lecz ostrosłup!). Przede wszystkim redaktor mógłby pomóc pisarzowi w powściągnięciu jego skłonności do wielosłowia, nadmiaru zdań, niepotrzebnego klarowania czytelnikowi tego, co i tak jest oczywiste. To właśnie ten nadmiar narracji nie pozwalał mi w pełni zatopić się w lekturze – gadulstwo czyni ją chwilami cokolwiek męczącą. To dlatego – chcąc być rzetelnym recenzentem – chwilami musiałem powstrzymać swój wzrok od przeskakowania akapitów lub przesłizgiwania się przez nie. Przydałoby się po prostu nieco skondensować język powieści. Często lepiej niż przegadać jest nie dopowiedzieć (choć i w tym drugim nie wolno popadać w przesadę).

Człowiek z szóstego piętra jest po prostu niezłym, inteligentnym czytadłem „z ambicjami” i próbą jakiegось tam przesłania. Tylko tyle i aż tyle. Na ile przesłanie jest mądre i trafne – każdy musi ocenić sam. Czy Prokopowi uda się tą powieścią wzbudzić „nową falę postmodernizmu”? Śmiem wątpić. Będzie musiał się trochę bardziej postarać. ●

Jarosław Nowosad > Muzyka

Wieczór paraidiotyczny

Debilio Kudenzo – piosenkarz, kompozytor i autor tekstów określający swoją twórczość jako „paraidiotyczną” – wystąpił w siedzibie olkuskiego PTTK w sobotę 11 lutego. Był to już drugi jego koncert w Olkuszu (pierwszy odbył się w zeszłym roku). Tym razem artysta promował swoją płytę pt. „Trąba”, którą można było kupić po koncercie. Współorganizatorem występu była Fundacja Kultury „Afront”.



Debilio Kudenzo
Fot. Agnieszka Zub

Muzyka Debilio Kudenzo wywodzi się z rocka, bluesa, country, ale przede wszystkim z folku. Artysta występuje solo z gitarą akustyczną, choć śladowo wspomaga się również elektroniką. Przy użyciu technicznych efektów zwielokrotnia mianowicie w refrenach swój głos w nieduży chór; ponadto w rock-and-rollowym „Nad morzem” wprowadza zapętloną sekwencję perkusyjną. Na tym jednak elektroniczna ingerencja się kończy.

Debilio Kudenzo jest Polakiem urodzonym w Szkocji, wykształconym w Krakowie i zamieszkałym w Portugalii. Pod rzeczonym pseudonimem występuje głównie w Polsce; za granicą uczestniczy w nieco innych projektach muzycznych pod własnym nazwiskiem. Debilio Kudenzo to, można rzec, kompleksowy projekt obejmujący kreację postaci o celowo karykaturalnym wizerunku.

W czasach świetności sztuki cyrkowej wśród licznych odmian komików cyrkowych byli tzw. muzycy kłauini. Śpiewając i grając na instrumentach, rozśmieszali publiczność zabawnymi piosenkami, ale także celowo użytym dysonansem lub fałszem. Można przypuszczać, że dla piosenkarza ukrywającego się pod pseudonimem Debilio Kudenzo występy muzycznych kłauinów były ważnym źródłem inspiracji. Artysta występuje przed publicznością w masce złożonej z wielkiego sztucznego nosa z docepionymi wąsami i śmiesznymi okularami. Całości image'u dopełnia staromodny cylinder i ubranie stylizowane na przedwojennego eleganta.

Inną tradycją, z której można z dużym prawdopodobieństwem wywodzić sztukę Debilio Kudenzo, jest pewien nurt w szesnasto- i siedemnastowiecznej kulturze europejskiej. Chodzi o literaturę mieszczańsko-sowizdrzańską, która – pozornie z punktu widzenia głupka – kpiała dosłownie ze wszystkiego. Często anonimowa, nie robiła sobie nic ani z jakichkolwiek świętości czy dostojności, ani z poczucia dobrego smaku. Ukazując rzeczywistość w krzywym zwierciadle, nie unikała wulgarności, a nawet skatologii. Polskim twórcą takiej literatury był m.in. Biernat z Lublina. Na grunt muzyki popularnej przeszczepił ją w latach 60. amerykański zespół The Fugs.

Teksty śpiewane przez Debilio Kudenzo są kpiarskie, cokolwiek nihilistyczne (a może tylko anarchizujące?), mocno groteskowe. Dużo w nich z literackiego kabaretu, ale w formie przejawionej, doprowadzonej do ekstremum. Bywają ostentacyjnie wulgarne, często prowokująco obrzydliwe (obsesja ekskrementów!), a zarazem... inteligentne i niejednoznaczne. Np. słuchając ballady o parafianach panicznie bojących się surowego księdza, można się zastanawiać, czy słyszymy przejaw antyklerykalizmu, czy może kpinę z niego. A chwilami ma się wrażenie, że drastyczne z pozoru metafory i porównania są uzasadnione, bo sprawy, o których tekst traktuje (np. skundlenie współczesnej kultury masowej, patologii w polityce itp.), na nic wytworniejszego nie zasługują.

Chociaż, jak zaznaczono na wstępie, muzyka Debilio Kudenzo opiera się głównie na folku z wyraźną rytmiczno-harmoniczną podstawą bluesa i rocka, nie wyczerpuje to źródeł, z których artysta czerpał, komponu-

jąc poszczególne utwory. Przykładowo w songu „Mówił o kolorach” nawiązał do muzyki dawnej (w podobnym stylu, jak dwie dekady temu Kaczmarski). Sporo muzyka ta zawdzięcza także polskiemu folklorowi, choćby góralskiemu (aż po stylizację gwarowe w tekście), a obok blues-rocka słychać w niej także stary swing (najwyraźniej – w piosence „Bar »Smok«”, hołdzie dla nieistniejącej już krakowskiej knajpy). Ba, sporadycznie muzyk przywołuje nawet nastroje tzw. „krajiny łagodności” (parodystycznie – w podniosłej balladzie „Gnali”; bardziej serio – w ściszym „Sennie”).

Dobrze jest posłuchać Debilio Kudenzo choć przez dłuższą chwilę. Wówczas odkrywamy, że prowokująca wulgarność, często wręcz obrzydliwość jego piosenek nie oznacza prymitywizmu. One są właśnie „paraidiotyczne”, a nie idiotyczne par excellence. Obserwacje społeczne zawarte w jego tekstach – mimo celowej przesady – bywają zdecydowanie trafne i bardzo wnikliwie. Choćby takie „Nad morzem”, które brzmi jak reportaż z polskiego kurortu, doprawiony zdrową porcją groteski. Groteskowy, aż po lekkie surrealizm, jest portret marginesu społecznego w pobrzmiwającym rosyjską nutą (czyżby artysta słuchał Wysockiego?) „On miał zielone uszy”. Niby to surrealistyczna, w istocie anarchizująca jest utrzymana w podobnym klimacie „Trąba”. „Software” to już otwarty anarchizm połączony z krytyką zakłamania w polityce i mediach. Czysty surrealizm „Idę”, w zestawieniu z karykaturalnym refrenem, pozostawia słuchacza niepewnym, czy zadeklarowana w tekście postawa niezależności jest proklamowana serio, czy może wydrwiwana. Pozornie absurdalna historyjka o pokutniku walącym głową w mur kościoła prowadzi do pytań wręcz metafizycznych. „Sennie” i „Bar »Smok«” zaskakują natomiast najprawdziwszym liryzmem z domieszką kpiny.

Piosenki Debilio Kudenzo po raz pierwszy dobrze jest usłyszeć na żywo. Koncert artysty, będącego w ciągłym dialogu z publicznością, pozostaje niezapomnianym przeżyciem. Później jednak warto zapoznać się z wersjami płytowymi, które są bogatsze aranżacyjnie. Kudenzo jest multiinstrumentalistą i w nagraniach często dogrywa dodatkowe partie. Chociaż i na płycie podstawą muzyki są gitara i głos, w aranżach tu i ówdzie znajdziemy harmonijkę ustną, flet, klarnet, różne instrumenty perkusyjne, a nawet dudy (na których popis gry muzyk dał w finale koncertu, dla wciąż nie rozchodzącej się publiczności). Album jest „wydaniem autorskim”, tj. został wydany i jest rozprowadzany przez samego piosenkarza. Nawet tu Debilio Kudenzo pozwolił sobie na żart, nadając swej „wytwórni” nazwę: „Kiepskie Nagrania”. Zapewniam jednak, że jego piosenki kiepskie nie są. ●



Fot. Agnieszka Zub

M u z y k a

Recenzje muzyczne

Kamil Pietrzyk



Od legend nie ma potrzeby wiele wymagać. Kamienie milowe w historii muzyki rockowej Purple postawili, a z dyskografii obejmującej krążki nagrywane w często zmienianych składach każdy może wyszukać coś dla siebie. Gdy tylko świat muzyczny obiega informacja, że zaci gentlemani skrzyknęli się, aby ze sobą pograć, i z tego, co powstanie na próbach, chcą upichcić jakiś album, by następnie jechać w „pożegnalną trasę” (rzadko kiedy pożegnalna trasa jest rzeczywiście pożegnalną), to można się tylko cieszyć, że zamiast spędzać jesień życia na Bahamach, sącząc Bivotal pod palmami, chce im się siedzieć w studio i u boku znanego z dbałości o szczegóły Boba Ezrina dopieszczać nowy album. Nowe dzieło Purpli ostatecznie ukazało się pod dość przewrotną – zważywszy na metryki muzyków i raczej ich powolne schodzenie ze sceny – nazwą „Infinite”. Czy Anglicy, zgodnie ze słowami nadwiślańskiego klasyka, schodzą ze sceny niepokonani?

Dwa premierowe utwory, które zwiastowały wydawnictwo, czyli „Time For Bedlam” i „All I Got Is You”, pozwalały żywić jak najpozytywniejsze odczucia. Weterani już w singlach udowodnili, że mają jeszcze coś do powiedzenia i bynajmniej nie można im zarzucić, że w sposób wymęczony grają reminiscencje swojej przeszłości. Łupią na płycie hard rocka, do jakiego przyzwyczaili już kilka pokoleń słuchaczy. O ile „Time For Bedlam” to dynamiczna jazda bez trzymanki w duchu lat 70., z przepięknymi duetami gitarowo-organowymi, z których ten zespół od zarania sływał, o tyle „All I Got Is You”, okraszony z początku bardzo smutnymi, a z czasem coraz bardziej skoczными melodiami gitarowymi, to gotowy materiał na przebój z arcyciekawą solówką Dona Aireya na syntezatorze i solidnymi wokalami Iana Gillana, którego głos zdradza liczbę przeżytych wiosen. Wokalista nie usiłuje krzesać z gardła iskier. W „Get Me Outta Here” próbuje wydać z siebie słynny krzyk, ale nie oszukujmy się – nie te lata. W bardziej przyziemnych rejestrach wokalista radzi sobie bardzo pewnie i spokojnie spaja się z instrumentalistami, nie wychodząc przed szereg.

Czy „Infinite” jest dziełem równym, trzymającym poziom od pierwszej minuty do końca? Niezwykle. Jeśli by podzielić ją na pół, to znacznie

Premiera każdego albumu Depeche Mode jest namiętnie wyczekiwana przez legiony fanów na całym świecie. Dodajmy do tego biegłość marketingową managerów i pracowników wytwórni, którzy są w stanie podsyć ciekawość fanów do tego stopnia, że ci siedzą jak na szpilkach, by usłyszeć jakieś fragmentaryczne ścinki, a następnie singiel, po czym wreszcie – całą płytę. Niemalże do momentu premiery album „Spirit” był trzymany w tajemnicy, dziennikarze muzycy mieli możliwość jednorazowego przesłuchania, po którym byli zobligowani do powstrzymania się od szczegółowych opisów, a i tak, mimo tej całej szopki z konspiracją, płyta była dostępna z nie do końca legalnych źródeł kilka dni przed premierą. Tytuł ostatniego utworu na „Spirit” jest w tym kontekście nieprzypadkowy.

Jako wieloletni fan Depeche Mode (choć ostatnimi laty bardziej z sentymentu) zakupiłem ich najnowszy album zaraz po premierze i otrzymałem to, czego się spodziewałem po ostatnich krążkach. Singiel promujący płytę „Where's The Revolution” nie zachwycił. O ile do plumkających elektronicznych ozdobników można było się przyzwyczaić, a refren z czasem wpadł w ucho, to jednak publicystyczna wymowa tekstu i okraszony lewicową symboliką teledysk rozczarowały. Zawsze ceniłem Martina Gore'a jako tekściarza, który w poetycki sposób potrafi spłatać

korzystnie wypada pierwsza połowa. Oprócz wspomnianych singli wyróżnia się pełen mocy „Hip Boots” z konkretnymi riffami Steve'a Morse'a podbitymi przez organy Dona Aireya, a także aspirujący do miana progresywnego, kunsztowny „The Surprising”. Utwór ten jest najciekawiej skonstruowany. Klawiszowe, imitujące brzmienie mellotronu intro żywcem wyjęte z horroru prowadzi do spokojnego gitarowego motywu i rytmicznych zapętleń Iana Paice'a. Kompozycja ta rozwija się bardzo powoli, przez większą część jest bardzo spokojnie dopóty dopóki perkusista swoim łomotem nie zasygnalizuje nieszablonowej części instrumentalnej, w której numer nieco się ożywia, by potem ponownie wrócić do spokojnego i niepokojącego klimatu. Mam wrażenie, że utwór ten mógłby potrwać trochę dłużej, ponieważ w wersji studyjnej sprawia wrażenie pociętego. Być może na koncertach zostanie wzbogacony o zespołową improwizację? Jak najbardziej pozostawia ku temu otwartą furtkę. „The Surprising” stoi niejako w opozycji do istic rock'n'rollowego „One Night In Vegas” czy wesołkowatego, a przy tym najsłabszego na płycie „Johnny's Band”. Nieklamana radocha przebija się z ostatniego numeru, jakim jest cover „Roadhouse Blues” The Doorsów z płyty „Morrison Hotel”.

„Infinite” to płyta, która prezentuje słuchaczowi trzy kwadransy niewymuszonego grania w różnorodnych odcieniach występujących w różnych okresach funkcjonowania Deep Purple – szczypta zabawowego klimatu młodych lat, hard rockowe wymiatanie z najowocniejszej, siódmej dekady XX wieku czy progresywne inklinacje, które przyniósł ze sobą Steve Morse, gdy zajmował miejsce człowieka w czerni, a w ostatnich latach – faceta w rajtuzach. Jeśli ktoś kupuje Purpli od czasów „Bananas”, kiedy miejsce Jona Lorda zajął Don Airey, to i „Infinite” go nie zawiedzie. Inni niech sami ocenią, czy Purple godnie żegnają się z publicznością. Moim zdaniem jak najbardziej, choć mam przecucie, że nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa, i dopóki będą na chodzie, to jeszcze czymś nas zaskoczą.

Ocena: 3+/5 lub 6+/10

wątki religijne z erotyką czy ogólnoludzką emocjonalnością. Robił to w sposób wyszukany i niebanalny, natomiast wszelkie próby komentowania rzeczywistości (jak i u wielu innych tekściarzy aspirujących do miana opiniotwórczych proroków) kończyły się dosłownym, pretensjonalnym i napiszkowanym komunałami infantylizmem. I nic się nie zmieniło w tej kwestii od czasów zamierzczłych już „Construction Time Again” czy „Some Great Reward”, kiedy Depesze byli jeszcze młodzieńcy i naiwni. Dzisiaj są statecznymi, majątymi gentlemanami po pięćdziesiątce i ten rewolucyjny duch w ich przypadku jest chyba nie do końca przekonywujący. Buńczuczne hasła są zawsze chwytliwe, ale czy wypadają szczerze w przypadku właścicieli wielkich willi z basenami i garażami pełnymi wypasionych bryk? Kwestia do rozważenia dla każdego.

„Spirit” to album utrzymany w konwencji poprzednich albumów. Mimo że zmienił się producent, Bena Millera zastąpił James Ford, to w przypadku brzmienia akurat rewolucji nie ma. Jeśli ktoś tęskni do „Songs Of Faith And Devotion”, zwłaszcza do żywej perkusji zamiast loopów (ależ irytują, choćby w „Scum”), to może sobie dalej tęsknić. Najnowszy album DM to krążek mocno elektroniczny, nawet gitara Martina jest tylko sporadycznym dodatkiem do „elektro-plumkania”. Również w pozostałych

muzycznych kwestiach nie ma przełomów. Są utwory ewidentnie skrojone pod kątem wpadania w ucho, ale i takie, które mają dać do myślenia lub złapać za serce (tych jest kilka: „Cover Me”, czy utwory śpiewane przez Martina – miniaturka „Eternal” czy „Fail”), choć melodie nie chwytają słuchacza za marszu. Do niektórych utworów trzeba naprawdę kilku przesłuchań, aby je docenić, albo i nie (irytujący „You Move”, bezpłciowy „Poorman” czy troszkę lepsza wersja fatalnego „Soft Touch/Raw Nerve” z „Delta Machine” – „So Much Love”).

Otwierający płytę „Going Backwards” z zaangażowanym, lecz dość ogólnikowym tekstem, trzyma poziom bardzo przyzwyczajony otwieraczy poprzednich płyt (nawet dość słabe „Sounds Of The Universe” miało świetne rozpoczęcie w postaci „In Chains”). To dość długo rozkręcającą się numer ze świetną współpracą wokalną Dave'a Gahana i Martina Gore'a, zwłaszcza pod koniec. Z płyty na płytę rośnie w zespole pozycja wokalisty, który tym razem przyniósł nie trzy, ale cztery kompozycje z własnymi tekstami i muzyką napisaną przez współpracowników – jeden numer wspólnie z Martinem (pierwszy w historii DM, który wszedł na podstawową wersję płyty), dość przeciętny „You Move” z hałaśliwą

John Porter pytany o to, co sądzi o twórczości macierzystego zespołu Adama Darskiego, przeważnie wznosi się na Himalaje iście brytyjskiej dyplomacji, dając do zrozumienia, że muzyka black-death metalowego Behemoth jest mu mocno nie w smak. Mimo to, ten zasłużony dla polskiego rocka Walijczyk postanowił podjąć współpracę z Nergalem, który od dawna powiadał, że marzy mu się nagranie solowej płyty utrzymanej w stylistyce bluesa, country, w duchu Johnny'ego Casha, Nicka Cave'a czy wczesnego solowego Glenna Danziga. Jeśli o tę właśnie stylistykę muzyczną chodzi, to lepszego nauczyciela, mentora niż John Porter w kraju nad Wisłą ze świecą szukać. Nergal, zdając sobie z tego sprawę, zwrócił się doń z propozycją współpracy, na którą ten przystał, co zaowocowało zbiorem piosenek o życiu i śmierci.

Co ciekawe, projekt Man And That Man nie jest pierwszym muzycznym spotkaniem Adama Nergala Darskiego i Johna Portera. Obaj panowie wystąpili (wraz z nieco już zapomnianym zwycięzcą programu X Factor Gienkiem Loską i Maciejem Maleńczukiem) w prawie polskiej wersji klasyki country „Highwayman” z albumu lidera Homo Twist „Psychocountry”. Była to wersja prawie polska, ponieważ – co oczywiste – John Porter, który komunikatywnie, ale niezbyt biegle włada polszczyzną – zaśpiewał po angielsku. Kto sięga po debiut Me And That Man ze względu na Portera, otrzyma kolejne z rzędu wydawnictwo na poziomie, oferujące obfitą porcję akustycznego, w większości melancholijnego grania zakrapianego „łychą” i sporą dawką egzystencjalnego pesymizmu. Utwory takie jak „Nightride”, „One Day”, „Voodoo Queen” czy „On The Road” mogłyby z całą pewnością doskonale upasować się w nastrój jego ostatnich albumów solowych „Honey Trap” czy „Back In Town”.

Fani Behemotha (zwłaszcza zakute black metalowe łby) mogą przeżyć szok, słuchając „pierwszego szatanisty III RP” w takim wydaniu. Nergal bez ogródek przyznawał, że podczas pracy w studio miał duże problemy z przełamaniami wstępu przed czystym śpiewaniem. Tę niepewność słychać doskonale w jego numerach – czy to tych bardziej żwawych, jak singlowy „My Church Is Black” (lub polska wersja „Cyruлик Jack”), „Better

elektroniką, dwa („Poison Heart” i „Cover Me”) przy współdziałaniu koncertowych muzyków Petera Gordeno i Christiana Eignera (wzięliby ich do zespołu – piszą numery, grają trasy, a są zaledwie muzykami koncertowymi, a taki Andrew Fletcher, stały członek zespołu... udziela wywiadów) i jeden, chyba najbardziej wpadający w ucho, napisany z Kurtem Ueną – „No More” („This Is The Last Time”).

Niewątpliwie Dave mocno rozwinął skrzydła dzięki owocnej współpracy z Soulsavers, co być może zaowocuje jeszcze większą partycypacją przy następnych płytach. Jego utwory trzymają poziom, natomiast Martinowi przydarzyło się kilka gorszych. Kto wie, czy inne, które być może napisał, nie były jeszcze słabsze, skutkiem czego nie weszły ani na płytę, ani na wersję deluxe? „Spirit” i tak odniesie, bał, już odnosi wielki sukces, zapewne dzięki przywiązaniu ludzi do marki, ale nie jestem pewien, czy aby bardziej nie warto poczekać na następny album Soulsavers z Davem Gahanem niż na kolejny krążek Depeche Mode. „Spirit” jest przyzwyczajony, to prawda, ale chciałoby się więcej.

Ocena: **3/5 lub 5+/10**

„The Devil I Know”, gdzie z lekka przybrudzono jego głos przesterem, czy tych bardziej smętnych, akustycznych – „Cross My Heart And Hope To Die” z partią banjo i dziecięcym chórkim, tudzież „Magdalene”, gdzie John wspomaga Nergala w refrenie. Ciekawie panowie wypadają w duecie, zarówno w ostrzejszych klimatach („Love&Death”) czy smutniejszych (do bólu Cave'owski „Ain't Much Loving”), choć właśnie te utwory, gdzie obaj panowie śpiewają razem, ukazują różnice, czy to w doświadczeniu, czy – rzecz jasna – w wymowie i akcencie. Dla Johna Portera angielski jest językiem ojczystym, natomiast Nergal śpiewa z lekko słowiańskim, polskim akcentem, co może i w growlingu jest niezauważalne, ale w czystym śpiewie już tak. W przypadku duetów Portera z bardzo dobrze śpiewającą po angielsku Anitą Lipnicką takich dysonansów nie było, natomiast tutaj odmienne pochodzenie obu gentlemanów niekiedy się przebijają. Można to również potraktować jako zaletę, skoro Nergal jest szczerzy w swoich tekstach, szczerze przyznaje się do swoich słabości, to nie próbuje też udawać na siłę kogoś, kim nie jest. Pod tym względem sfera lingwistyczna ukazuje różnice temperamentów (muzycznych i personalnych) Polaka i Walijczyka, którzy społem z doskonałymi muzykami od sekcji rytmicznej (Wojciech Mazolewski i Łukasz Kumański) połączyli siły i stworzyli interesującą kooperację.

Jak wiadomo, John Porter to stary wyga, który na tym typie muzyki zeżarł zęby, więc jeśli Nergal żywi jeszcze aspiracje do skoków w bok od macierzystej kapeli właśnie w tym genre, to dobrze by się stało, gdyby panowie kontynuowali współpracę. Walijczyk jest niewątpliwym autorytetem w tej dziedzinie i jeśli tylko będzie miał życzenie dalej kształtować swojego rogatego czeladnika na bluesowego pieśniarza, to ten sporo na tym zyska. Początki są naprawdę obiecujące, tym bardziej że dla muzyka, który na co dzień uprawia tak ekstremalny gatunek muzyczny jak death metal, spokojny akustyczny blues może być niezłą polisą emerytalną, gdy nie będzie już sił na wymachiwanie czerepem i wydawanie z krtani bluzniereckiego bulgotu.

Ocena: **3/5 lub 6/10**



Jarosław Nowosad > Muzyka

Punk bez sztampy

Olkuskie trio Do Góry Nogami gra punk-rocka z wyraźnymi elementami post-punku. Ich debiutanckiej płycie patronuje duch polskiego punka lat 80. A jednak słysząc na tym krążku coś jeszcze, co wyróżnia go z natłoku dzisiejszych produkcji – nazwijmy je tak – neopunkowych.

Jego twórcy pamiętają mianowicie, że rock to nie tylko punk, i dają temu wyraz w swej grze.

Nie ma się tu zresztą czemu dziwić. Do Góry Nogami utworzyli muzycy doświadczeni w wykonywaniu różnych odmian rocka. Zarówno basista i wokalista Maciej Fert, jak gitarzysta Jacek Graca przewinęli się przez post-grunge'owe Żywioły. Drugi z nich kierował również neoprogresywną Erratą. Z kolei perkusista Jacek Kurzawa współpracował m.in. z Tomkiem Barczykiem przy jego prog-metalowym projekcie Bunsch. Punk-rock nie jest więc dla tych panów początkiem muzycznej drogi, a kolejnym jej etapem – czas pokaże, czy ostatecznym.

Zaskakuje już początek płyty. Pierwsze nagranie rozpoczyna się bowiem (i kończy) „wirówką” w nieparzystym, połamanym rytmie, zupełnie w stylu... King Crimson. I to szaleństwo zadziwiająco płynnie przechodzi w punkową „jздę”. Właśnie ten utwór, zatytułowany „Pies i kot”, należy do moich ulubionych na płycie. Bodaj najzgrabniej łączy on zadziorność

punk-rocka z post-punkowym wyrafinowaniem. Które to połączenie przy dalszym odsłuchu okazuje się specjalnością tego tercetu.

Echa punkowej tradycji słysząc dosłownie w każdym utworze z tej płyty. Gra sekcji jest prosta i dosadna, zdominowana przez motoryczne nabijania perkusji i także ostinata basu (zwykle przesterowanego) oraz równie nieskomplikowane riffy gitary. Efekt: rytm z pozoru prymitywny, ale nieodparty. Sekcja pędzi do przodu, zmiatając z powierzchni ziemi wszystko na swej drodze. To ten rytm, który Chris Cutler nazwał kiedyś „mocarnym” i „nieugiętym”. Czasami, jak w „Psie i kocie” lub „Uciekam”, grę sekcji uzupełniają efektowne zatrzymania. Słyszymy – i jesteśmy „w domu”, tzn. w londyńskim klubie późnych lat 70., bądź polskim domu kultury wczesnych 80.

Do krzyzowanego street-punku nawiązują takie numery, jak „Zawieszenie broni”, „Apokalipsa”, „Pies”, „Wkoło słyszę”, poniekąd „Uciekam”, częściowo też „Manowce” lub „Środki”. O bardziej melodyjnym obliczu punk-rocka przypomina choćby „Tamten dzień” czy „Chłam”, a także świetne „Pies i kot” – te piosenki mają nawet potencjał przebojowy.

Tyle o zadziorności. Pozostaje kwestia wyrafinowania.

Zespół trzeba pochwalić za finezję aranżacyjną. Nie chodzi tu o jakieś przerafinowanie, przeładowanie – aranże są oszczędne, wręcz ascetyczne, jak na punk przystało. Finezja wyraża się przede wszystkim w umiejętności stopniowania dynamiki i powściągnięcia agresji. Czasem dzieje się to w sposób bardzo radykalny, jak we „Wkoło słyszę”, gdzie we przerwach riffowego „pędu” sekcja serwuje nam pojedyncze, pełne dramatyzmu uderzenia.

Do Góry Nogami – inaczej niż stereotypowi punkowcy – wiedzą też, kiedy wyłączyć fuzz i zagrać czystym brzmieniem, wprowadzając spokojniejszy, lżejszy nastrój. Tak jest choćby w refrenie „Psa i kota”, zwrotkach „Uciekam”, we fragmencie „Chłamu”, „Wkoło słyszę”, albo w „Rozpadam się”. Taki zabieg pełni dwójaką funkcję. Po pierwsze spokojniejsze wstawki, poprzez kontrast, podkreślają agresję fragmentów mocniejszych. Po drugie (i nie mniej istotne) wprowadzają one refleksyjny nastrój, naturalnie uzupełniający buntowniczą wymowę utworów. Posłuchajmy choćby „Intro” (wbrew tytułowi, nie jest to pierwszy utwór na płycie). To z pozoru typowy punk-rock w stylu choćby Dezertera, jednak pojawia się w nim ściszone wstawki, wywołująca odległe skojarzenie z... instrumentalnym interludium w środku „Pictures of the City” wspomnianego już King Crimson.

Oczywiście prog-rock nie wyczerpuje tematu różnorodnych źródeł inspiracji, jakich można się dosłuchać na tej płycie. Najbardziej oczywiste są tu wpływy post-punkowe. Na przykład instrumentalna wstawka w utworze „Wkoło słyszę” brzmi trochę jak The Police, a ta w „Chłame” może przywołać na myśl wczesny Maanam; w obu kompozycjach gitarzysta wprowadza nawet coś w rodzaju krótkich, śladowych solówek. Początek tego ostatniego przypomina trochę Republikę; z formacją Grzegorza Ciechowskiego może się kojarzyć również nerwowe ostinato w końcówce „Apokalipsy” (ciekawej też dzięki zaskakującym zmianom tempa), albo chóry w „Manowcach”. Nie chodzi tu o żadne kopiowanie, ale o podobieństwo samego sposobu myślenia o muzyce.

To nie wszystko. W „Środkach” szybka, street-punkowa „jazda” przeplatana jest wolniejszymi fragmentami uderzająco przypominającymi grunge. „Uciekam” ma kroczący, bardzo bluesowy riff. Z kolei w „Rozpadam się” riff jest rwany – inspiracją mógł być tutaj metal.

Jako wokalista, Maciej Fert też nierzadko sięga po środki ekspresji spoza typowego, punk-rockowego krzyku. Czasem, jak przed refrenami „Psa i kota” czy w spokojniejszym fragmencie „Intro”, przechodzi w melodeklamację. W kończącym płytę „Pakuj się”, a także w refrenach „Rozpadam się”, jego głos brzmi podniosłe, cokolwiek teatralnie. W grunge’owych częściach „Środków” dostajemy śpiew ściszony, podawany jakby lekko zmęczonym głosem.

Trzeba też koniecznie wspomnieć o tekstowej stronie albumu. Owszem, dużo tu brutalności, a i od wulgaryzmów zespół nie stroni – w końcu to punk-rock. Ale niemało też materiału ciekawego literacko. W piosence „Pies i kot” ukazanie opozycji konformizm-nonkonformizm poprzez przywołanie tytułowych zwierząt nie jest może odkrywcze, tu wszakże zostaje całkiem poetycko rozegrane. Dużo na tej płycie również ostrej, kąśliwej satyry. Mass-mediom dostaje się w piosenkach „Środki” i „Wkoło słyszę”. „Chłam” ośmiesza establishment (m.in. kulturalny, sportowy, religijny, biznesowy i polityczny). „Uciekam” to podany na kabaretowo protest przeciwko powszechnej inwigilacji za pośrednictwem środków łączności. „Apokalipsa. Roku Pańskiego piętnastego” wyśmiewa apokaliptyczne tęsknoty współczesnego frustrata. To wszystko mieści się w „katalogu punkowych tematów”. Jednak – co już mniej typowe – brutalność i wulgarność sąsiadują ze sporą kulturą literacką. Weźmy choćby taki refren: „Ciągnie do lasu wilka, / To nie złoto, to miedź tylko, / Na manowce łatwo zbroczyć, / Wyżej dupy nie podskoczysz”. Słychać też dobre „ucho” do szlagwortów. Takie frazy, jak „Ja jak kot, ty jak pies” lub „Coś patrzy, ktoś słucha” czepiają się słuchacza od pierwszego usłyszenia.

Do Góry Nogami dalekie jest wszakże od nihilizmu. Mimo ostentacyjnego antyklerykalizmu, wyrażonego w „Chłame”, tekst „Intro” jest osobliwą modlitwą (a kończące utwór podśpiewywanie „parapapa” nieodparcie kojarzy się z Armią). „Zawieszenie broni” wydaje się eksplorować stany depresyjne. „Rozpadam się” można odczytać jako próbę zmierzenia się z nieuchronnością śmierci. Bardzo refleksyjną wymowę ma również „Tamten dzień”, nawołujący do szczerzego rozrachunku z własnym życiem.

Pochwała należy się producentowi nagrań Miłoszowi Kieresowi i – jeszcze raz – Maciejowi Fertowi, który wspólnie z nim zrealizował dźwięk. Nagrania punkowe i post-punkowe bywały (i bywają) zgrzywane „na gęstą papę”. Tutaj natomiast dźwięk jest selektywny, nic się nie miesza. Gitara, bas, poszczególne elementy perkusji dają się wyraźnie rozróżnić, słyszymy też każde zaśpiewane słowo. Co więcej, trafiają się ciekawe triki produkcyjne – zabawy brzmieniem, pogłosem, echem, korekcją dźwięku i dublowaniem jego źródeł, czy pomysłowo wprowadzony collage wiadomości radiowych. Jedyne zastrzeżenie miałbym do niepotrzebnego wyrównania dynamiki (brak np. wyraźnego zróżnicowania głośności między fragmentami mocniejszymi i spokojniejszymi), ale to drobiazg.

Mocny, solidny debiut. Moim zdaniem ponadprzeciętny. I na pewno nie-sztampowy. Malkontenci... Wy już wiecie, co!

Do Góry Nogami: „Do Góry Nogami”, [wydawcy nie podano], 2016. Kompozycje i teksty: nie podano. W nagraniach udział wzięli: Maciej Fert (bas i główny wokół), Jacek Graca (gitara i wokół), Jacek Kurzawa (perkuszja, wokół). Produkcja: Miłosz Kieres. Realizacja nagrań: Miłosz Kieres, Maciej Fert. Materiał nagrany jesienią 2015 roku w studiu „Smok”. Projekt graficzny: Paweł Garwol. ●

Kontakt z zespołem: fertmaciej74@gmail.com



Przed burzą

Płyta zespołu Po Burzy jest przyjemnym zaskoczeniem. Młodzi muzycy wychodzą poza utarte kanony „piosenki poetyckiej” w stronę żywiołowego folk-rocka.

Debiut fonograficzny Po Burzy, zatytułowany „Nie mogę zasnąć, Kochanie...”, trwa niewiele ponad pół godziny. W latach 60. tak krótki album nikogo by specjalnie nie zdziwił, ale dziś ortodoksi uznają go prawdopodobnie raczej za EP-kę niż za pełnoprawne wydawnictwo.

Wzmiankuję o latach 60. nie dlatego, by Po Burzy bezpośrednio nawiązywało do tej epoki. Był to wszakże czas narodzin folk-rocka i w ogóle początek eksperymentów z mieszaniem stylów w muzyce popularnej. Jedno i drugie w jakiś sposób definiuje ofertę tego zespołu. Choćby bowiem ich muzyka zdradza wyraźne inspiracje ze strony takich klasycznych już wykonawców piosenki poetyckiej, jak Stare Dobre Małżeństwo lub Wolna Grupa Bukowina, Po Burzy nie jest – jak tyle innych zespołów tego rodzaju – kolejną kalką nurtu tzw. „Krainy Łagodności”.

Co ich wyróżnia? Mocne, rockowe brzmienie oparte na potężnej sekcji rytmicznej. Ciężko dźwięczący bas, na którym gra Krzysiek Pawul, wraz partiami perkusyjnymi wybijanymi na cajonie przez Alka Zaleuskiego, tworzą solidny fundament pod rozedrgane riffy gitar Seweryna Woźniaka i Wojtka Imielskiego. Zarówno bas, jak i gitara elektryczna zagrały zresztą po solówce. Dopiero na tej podstawie budowane są melodie i brzmienia bardziej typowe dla tego czegoś, co dziś nie całkiem ściśle nazywane jest „poezją śpiewaną”, a co niegdyś zwano po prostu folkim: spokojne, rozłożone akordy gitary akustycznej, łagodne wokale, skrzypce, flet. Jednak w kontekście rockowego aranżu brzmi to wszystko zupełnie inaczej. I jakkolwiek próżno by szukać dosłownych podobieństw, sama koncepcja tej muzyki kojarzyć się może z tym, jak folk na grunt rocka przenieśli Jefferson Airplane.

Po Burzy zwraca też uwagę eklektyzmem muzycznych inspiracji. Ballada, piosenka turystyczna – to wszystko słychać w ich nagraniach i sami muzycy bynajmniej się tego nie wypierają. Świadectwem tego – choćby otwierające płytę „Będziesz wiedział”. Ale już w „Dokąd zmierzasz” i w „Kochaj mnie” słychać klasycyzujące skrzypce, które w tym drugim utworze sąsiadują z... jazzującym fortepianem. „Myśli rozbieżne” mają zaś

formę „fortepianowej” ballady rockowej z solówką przesterowanej gitary. Kilka piosenek czerpie też z folkloru różnych narodów (waham się tu przed użyciem terminu „world music”, bo jest on zastrzeżony dla mariaży orientalizmów lub afrykanizmów z ambientowym loopem). I tak „Nauczyłam się na pamięć” nawiązuje do muzyki żydowskiej, a „Nie mogę zasnąć, Kochanie” opiera się na latynoskiej rytmice. Z kolei „Neja nej” ma w melodii refrenu coś skandynawskiego, zresztą brzmienie fletu też jakby z północy...

Zespół trzeba też pochwalić za aranże wokalne. Prawie w każdej piosence partie chóralskie ujęte są w interesujące harmonie. Gdziekolwiek pojawiają się nawet wielogłosy, niby rodem z baroku lub... San Francisco przełomu lat 60/70. „Mam połowę niczego” przypomina wręcz kanon, a nieparzystą rytmikę utworu urozmaicają wstawki a capella. Kilka piosenek ma też formę chorałów o dynamice narastającej na zasadzie crescendo – takie są „Myśli rozbieżne”, ale także wspomniane już „Neja nej”, gdzie zarazem moc chóralskiego refrenu kontrastuje z ściszym cantato.

Słabsze strony? Przede wszystkim niektóre teksty sprawiają wrażenie niedopracowanych; trafiają się niestaranne, gramatyczne rymy itp. Nie dotyczy to słów wszystkich piosenek. Najlepsze są te autorstwa Urszuli Kalecińskiej-Kucik, a także napisane przez Pawła Kękusia „Mam połowę niczego”, oparte na niemal lingwistycznej grze słownej. Ponadto niewiele na tym krążku melodii zostających w głowie słuchacza. Do pozytywnych wyjątków należy niezwykle przebojowe „Neja nej” – jest to w ogóle najlepszy utwór na płycie.

Cóż, jeszcze wszystko przed nimi. Ich debiut w każdym razie rokuje jak najlepiej. Są utalentowani, technicznie umieją sporo, a i kompozytorsko to i owo mają już do zaoferowania (obok „Neja nej” uwagę przykuwa np. „Nauczyłam się na pamięć”). Jestem przekonany, iż – wbrew nazwie zespołu – dla nich jest dopiero... przed burzą. ●

Po Burzy: „Nie mogę zasnąć, Kochanie...”; wyd. 2015 (wydawcy nie podano).

Olkusz od najlepszej strony

– Niezwykle oczy! Promieniające takim wewnętrznym pięknem. To musi być wspaniały człowiek – powiedziała podekscytowana Ruth, która pierwszy raz w życiu przyjechała do Olkusza, aby zobaczyć miasto, z którego pochodził jej ojciec.

Latem zeszłego roku oprowadzałem ją po Olkuszu i przypadkiem spokaliśmy na ulicy pana Mieczysława Karwińskiego. Zatrzymałem się, żeby zamienić z nim parę słów. Kiedy wróciłem do Ruth, usłyszałem właśnie te pełne zachwyty słowa.

– Poznałaś Olkusz od najlepszej strony – mogłem tylko odpowiedzieć, dodając parę zdań o panu Mieczysławie i o tym, jak wiele miasto mu zawdzięcza. To jeszcze uzmocniło zachwyty Ruth, które byłyby zapewne większe, gdyby wiedziała z jaką „pomocą” miejscowych decydentów musiał się często w swoich działaniach zmagać. A ja sam nie bardzo wiedziałem, czy mam ją wyprowadzać z błędu, kiedy z przekonaniem w głosie mówiła, że pewnie wszyscy go w Olkuszu znają, szanują i pytają o radę we wszystkich ważnych dla miasta sprawach. I cały czas nie mogłem się nadziwić, jakim cudem na pierwszy rzut oka dostrzegła to, czego miejscowym bynajmniej za często nie udawało się zobaczyć.

Pana Mieczysława poznałem ponad 40 lat temu, kiedy jeszcze byłem uczniem podstawówki. Już wtedy był dla mnie chodzącą legendą Olkusza. Ile to spotkań przez te wszystkie lata i jak różnych... Czasem tylko to jedno, to drugie za sprawą przywołanego szczegółu czy nastroju wyskoczy na chwilę z pamięci. Jak na przykład to, kiedy w mroczną noc lat 80. wracaliśmy z Krakowa jego maluchem, po jakimś wernisażu Bilińskich, i całą drogę dyskutowaliśmy o architekturze (tzn. bardziej ja wysłuchiwałem jego wywodów). Przez większą część okresu naszej znajomości były to zresztą spotkania jedynie okazjonalne, a okazje te stwarzali wspólni znajomi bądź jakieś przedsięwzięcie czy wydarzenie, którego obaj byliśmy uczestnikami. Dopiero w ostatnich dziesięciu latach częściej zachodziłem do niego wieczorami na ciągnące się czasem długo rozmowy.

Tematem tych rozmów, chociaż nie jedynym, był przede wszystkim Olkusz – wielka miłość pana Mieczysława. Nie wiem, czy największa, bo mocną konkurencję stanowiły tu niewątpliwie Polska i harcerstwo (zapewne też Bóg – ale o Nim, choć z przekonaniem, pan Mieczysław wypowiadał się rzadko i dyskretnie). Konkurencja ta w sercu druha Karwińskiego była jednak z całą pewnością bezkolizyjna.

Mając ponad 90 lat za sobą, pan Mieczysław był wciąż człowiekiem o ogromnej energii. We wrześniu ubiegłego roku udało mu się sfinalizować dzieło, które przez poprzednich kilka lat pochłonęło mnóstwo jego sił, czasu i pieniędzy. Chodzi o wyrzeźbioną przez Wiesława Nadymusa tzw. Pietę Katyńską. Pan Karwiński zainicjował ideę postawienia tego pomnika na Starym Cmentarzu w Olkuszu, sam go ufundował i dogłądał najprzeróżniejszych spraw na każdym etapie jego realizacji. Gdy go odwiedziłem

niedługo po odsłonięciu monumentu (które miało miejsce w rocznicę sowieckiej agresji na Polskę z 17 września 1939 r.), pan Mieczysław powiedział coś w tym rodzaju: „No, teraz to trzeba trochę zwolnić i uważać, żeby nie zaczynać czegoś, czego nie ma się szans dokończyć”.

Mam wrażenie, że od tego czasu widać było coraz wyraźniej, że gaśnie. Ale kiedy parę dni temu go odwiedziłem, do swojego stanu zdrowia podchodził z dystansem: „Choć pewnie już na dwór nie wyjdę, tylko mnie wyniosą, to jeszcze się tam (pokazał na górę) nie wybieram. Właściwie to nic mi nie jest: serce zdrowe, żołądek zdrowy, wątroba zdrowa, nerki zdrowe... Tak naprawdę jedyne, co mi dolega, to 95 lat życia”. I rozmowa potoczyła się normalnym trybem. Było trochę o historii Olkusza. Na starych zdjęciach, które mu pokazywałem, identyfikował osoby, miejsca, wydarzenia, okoliczności, dopowiadał szczegóły. Pytał też o różne sprawy bieżące, perspektywy na przyszłość. Bardzo go martwił sypiący się mur Starego Cmentarza i fakt, że miasto się tym w ogóle nie zajmuje. Jeszcze bardziej przejmował się sytuacją i traktowaniem niektórych osób. Ze szczególnym naciskiem powtórzył mi, bym pozdrowił Olgerda. Mówił o tym, jak wielka to strata dla miasta, że takich osób się nie docenia.

Można by powiedzieć, że rozmowa, w zasadniczych ramach, niczym szczególnym nie różniła się od tych, które odbyliśmy rok, pięć, dziesięć lat temu. Z wyjątkiem faktu, że pan Mieczysław otworzył mi drzwi w piżamie i większą część wizyty przeleżał w łóżku. Kiedy o tym pomyślałem po powrocie do domu, zestawiły mi się z tym faktem słowa wypowiedziane przez niego kilka lat temu. Powiedział wówczas, że zasłyszana gdzieś sentencję „Drzewa umierają, stojąc” traktuje jako jedną ze swoich życiowych dewiz. I ni stąd, ni zowąd powiedziałem do żony: „Kto wie, czy nie ostatni raz widziałem go żywego”.

Planowanych na najbliższą środę kolejnych odwiedzin i rozmowy nie dożył.

Gdy kilka godzin po śmierci Mieczysława Karwińskiego myślę o jego charakterystycznych cechach, pojawia mi się przed oczyma jego sylwetka na zeszłorocznych obchodach rocznicy sowieckiej agresji na Polskę, podczas których odsłonięto na Starym Cmentarzu Pietę Katyńską. Brzmią mi jeszcze w uszach słowa wygłoszonego przez niego króciutkiego przemówienia, w którym przeproszał władze, że sprawił im taki kłopot... Widzę go, jak chwilę później wymiguje się od okołaimprezowej wyjerki w Domu Kultury, do której nagabuje go pani burmistrz, a za moment – rozpromienionego, w towarzystwie zastępu ledwo co odrosłych od ziemi dzieci w harcerskich mundurkach. I taki jego obraz chyba na zawsze pozostanie w mojej pamięci – obraz skromnego człowieka, z lekko ironicznym stosunkiem do siebie i własnych osiągnięć; wielkiego społecznika, z krytycznym dystansem do władzy, odpornego na uzależniające pokusy; mędrca, stale poszukującego kontaktu z ideowymi młodymi ludźmi, do których odnosił się z niezwyklej atencją. ●

Olkusz, 11/12 kwietnia 2016

Ireneusz Cieślik > Historia

Żydzi w Starym Olkuszu

W 966 roku stojący na czele słowiańskiego plemienia Polan (głównymi ich miastami były Gniezno i Poznań) książę Mieszko, wraz z grupą swoich poddanych, przyjął chrzest w obrzędku łacińskim.

Fakt ten uznawany jest zwykle za początek państwa polskiego. Syn Mieszka, Bolesław Chrobry, na przełomie X i XI wieku zjednoczył pod swoim berłem słowiańskie plemiona z terenów odpowiadających mniej więcej granicom współczesnej Polski i został koronowany na polskiego króla.

Nie da się precyzyjnie określić ani kiedy, ani skąd na tereny Polski przybyli pierwsi Żydzi. Przyjmuje się jednak, że – czy to pojedynczo, czy niewielkimi grupami – pojawiali się tu jeszcze przed chrztem Mieszka, może nawet na długo przed nim – bądź jako kupcy, bądź jako uciekinierzy z krajów, w których doświadczali prześladowań na tle religijnym. Ułatwiał to fakt, iż przechodziły przez te ziemie szlaki handlowe pomiędzy wschodem a zachodem Europy. W średniowieczu międzynarodowa wymiana towarowa kwitła zaś na tych drogach od arabskiej Hiszpanii po Morze Kaspijskie, a dalej – do Indii i Chin, głównie dzięki kupcom arabskim i żydowskim. We wczesnym średniowieczu zdominowali tę działalność kupcy żydowscy, tzw. radanicy (nazwę ich wywodzi się bądź od perskiego słowa oznaczającego przewodnika po drogach, bądź od faktu pochodzenia z miast położonych nad Rodanem). Znajdowali się wśród nich zapewne komwojażerowie, przemieszczający się od osady do osady i oferujący wożone ze sobą towary, ale prowadzone przez nich były również – jak byśmy to dziś nazwali – potężne przedsiębiorstwa handlowo-transportowe. O ich znacznych możliwościach w zakresie logistyki świadczy poniekąd fakt handlu niewolnikami, czy dostarczenie na dwór Karola Wielkiego w Akwizgranie żywego słonia imieniem Abul Abbas (był to подарunek od znanego z „Księgi tysiąca i jednej nocy” kalifa Haruna ar-Raszida).

Można przyjąć, że taki dalekosiężny handel musiał się opierać na rozmieszczonych wzdłuż szlaku stałych miejscach postoju, etapowych osadach, gdzie podróżujący kupcy odpoczywali i uzupełniali zapasy na drogę dla ludzi i koni, a w niektórych z tych osad zakładali faktorie ze składami swoich towarów. Powstawały więc pewnego rodzaju przedstawicielstwa organizacji kupieckich, obsługiwane najczęściej przez ich ziomków, którzy w tym celu osiadali w takich właśnie miejscach na stałe. I najprawdopodobniej w ten sposób pojawiły się załóżki pierwszych gmin żydowskich na terenie Polski. Starając się zrekonstruować średniowieczny szlak handlowy biegnący przez południową Polskę, naukowcy wskazują następujące współczesne miasta jako punkty węzłowe jego przebiegu: Wrocław – Oława – Brzeg – Opole – Bytom – Będzin – Olkusz – Kraków – Opatowiec (lub Wiślica) – Sandomierz – Zawichost – Włodzimirz Wołyński – Kijów. Gdybyśmy sporządzili listę polskich miast, co do których istnieją najwcześniejsze wzmianki o istniejących w nich gminach żydowskich, to zapewne w znacznej części pokrywałyby się z powyższą.

Choć działalność handlowa była głównym polem aktywności radanitów, pełnili oni istotną rolę nie tylko z punktu widzenia gospodarki. Co najmniej równie istotne były funkcje, które spełniali niejako „przy okazji”. Znający zazwyczaj po kilka języków i wiele krajów, kupcy pośredniczyli bowiem często w kontaktach dyplomatycznych, a w ówczesnych warunkach byli też pożądanym i wartościowym źródłem informacji o innych krajach i zamieszkujących je ludziach.

Warto tu przypomnieć, że najwcześniejszy dokument pisany dotyczący Polski pochodzi właśnie od jednego z radanitów, Ibrahima ibn Jakuba. Był on kupcem żydowskim z Tortosy w Hiszpanii, który w latach 965–966 uczestniczył w poselstwie kalifa Kordoby do Ottona Wielkiego. Odwiedził w tym czasie również Pragę i prawdopodobnie Kraków. Spisana przez niego relacja z tej podróży zawiera mnóstwo bezcennych informacji o ów-

czesnych ziemiach polskich i zamieszkujących je ludziach. A Ibrahima interesuje wszystko: od warunków naturalnych i gospodarki kraju („*A co się tyczy kraju Meszko, to [jest] on najrozleglejszy z ich [tj. słowiańskich] krajów. Obfituje on w żywność, mięso, miód i rolę orną [lub: rybę]. Pobierane przez niego [tj. Mieszka] podatki [lub: opłaty] stanowią odważniki handlowe. [Idą] one [na] żółd jego mężów [lub: piechurów]*”), poprzez informacje „wywiadowcze” („*Ma on trzy tysiące pancernych [podzielonych na] oddziały... Daje on tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego tylko potrzebują*”), po obyczaj seksualnej ludności („*Kobiety ich, kiedy wyjdą za mąż, nie popełniają cudzołóstwa; ale panna, kiedy pokocha jakiego mężczyznę, udaje się do niego i zaspokaja u niego swoją żądzę*”).

Co ciekawe, najprawdopodobniej radanitom zawdzięczamy również pierwszą wzmiankę o Olkuszu. Za taką bowiem przez wielu badaczy uznawane są słowa, jakie XI-wieczny uczonec, rabin z francuskiego Troyes, Szlomo ben Icchaki – znany bardziej pod akronimem Raszi (= rabbi Szlomo ben Icchaki) – zamieścił w swoim komentarzu do Biblii i Talmudu. Oto ta intrygująca wzmianka, która znalazła się w napisanym po hebrajsku komentarzu Rasziego do księgi proroka Nahuma: „*Ha-²Elkoši – jest to miasto w państwie BLWWNJH, które należy do ziemi Izraela, choć leży poza granicami ziemi Izraela. I wiedz, że są tam rudy złota, srebra i że w pobliżu niego znajduje się sól, ponieważ Morze Solne (Martwe), bliskie ziemi Izraela, dochodzi pod ziemią do tego miejsca. Jest to państwo, w którym rządzi król syn króla, a który wywodzi się z nasienia Judy*”. Prawie na pewno do informacji zawartych w tym fragmencie autor dotarł za pośrednictwem kupców radanickich.

Naukowcy, z mniejszym lub większym przekonaniem, przychylają się do opinii, że ten tekst faktycznie mówi o Olkuszu, występująca w nim nazwa państwa to zniekształcona arabska B(u)lunija (Raszi okazuje się tu „najwcześniejszym dotychczas znanym pisarzem hebrajskim, który zna Polskę pod tą nazwą”), zaś znajdująca się w pobliżu sól to kopalnie w Wieliczce i Bochni. Przeważnie źródłem wątpliwości są pojawiające się w tej wzmiance zagadkowe wątki żydowskie. Czy chodziło tylko o konstrukcję myślową Rasziego, która uzasadniałaby związek wskazanego miejsca z komentowaną rzeczywistością biblijną?

Nie znamy dokładnego czasu założenia Olkusza, gdyż jego dokument lokacyjny zaginął (najprawdopodobniej spłonął podczas pożaru) jeszcze przed 1386 rokiem. Tym niemniej, wedle współczesnego stanu wiedzy, jest niemal pewne, że lokacja miasta miała miejsce w ostatnich kilku latach XIII wieku i należy ten fakt wiązać z osobą króla Wacława II Czeskiego. Chociaż miasto zostało założone wówczas na tak zwanym „surowym korzeniu”, nie był to jego początek, lecz przeniesienie z poprzedniej lokalizacji. Jednakże poza informacją, że ten wcześniejszy Olkusz był położony kilka kilometrów na zachód od nowej lokalizacji, niewiele mamy o nim pewnych wiadomości. Nie można nawet bezspornie wskazać, gdzie się on konkretnie znajdował, ponieważ nie zachowały się na ten temat dokumenty pisane, a archeologom nie udało się do tej pory znaleźć po nim żadnego materialnego śladu. Przypuszcza się jedynie – na podstawie drobnej wzmianki o „zburzonym miasteczku” w orędziu Seweryna Bonera z 1534 roku – że jego zabudowania zajmowały bliską okolicę miejsca, gdzie obecnie stoi szyb kopalni „Olkusz”. Niestety wszelkie ślady po tym dawnym Olkuszu zostały zniszczone

podczas budowy sztolni Pileckiej w latach 1576–1616. Nieco dalej na zachód od wskazanego miejsca zachowały się do dzisiaj reliktury fortyfikowanego wczesnośredniowiecznego gródka, gdzie zapewne stacjonowała skromna załoga wojskowa mająca strzec położonej w pobliżu osady górniczej i gdzie jej mieszkańcy mogli się schronić w razie niebezpieczeństwa.

Kiedy powstał ten pierwotny Olkusz? Wiadomo, że tutejsze środowisko naturalne nie było zbyt korzystne, by żyć z samej działalności rolniczej, można zatem przypuszczać, że pojawienie się na interesującym nas terenie jakiegoś większego i trwałego skupiska ludzkiego związane było z wydobywaniem i przeróbką występujących w okolicy obficie i stosunkowo łatwo dostępnych rud ołowiu i srebra. Przeprowadzone zaś w ostatnich latach badania torfów wskazują, że początki hutnictwa ołowiu w rejonie Olkusza miały miejsce po 830 roku. Jest zatem wielce prawdopodobne, że również w I połowie IX wieku wystąpiły tu formy osadnictwa, w których należałoby się dopatrywać początków miasta. W momencie lokacji Olkusza przez Wacława II miasto miałoby więc już historię liczącą ponad 450 lat. Zastanawiające, że poza uzmianką u Rasziego nie dysponujemy żadnym dokumentem wspominającym Olkusz, który zostałby napisany w tym właśnie okresie. Mamy wprawdzie dwa dokumenty Bolesława Wstydlwego, datowane na lata 1257 i 1262, o uposażeniu klasztoru klarysek z Zawichostu dwiema grzywnami złota z dochodów z olkuskiego ołowiu, ale okazało się, że są to późniejsze, XIV-wieczne falsyfikaty (historycy uznają jednak przekazywane w nich informacje za wiarygodne, gdyż – wedle ich ustaleń – dokumenty te opierają się na zaginionych, autentycznych przywilejach). Do przedlokacyjnego Olkusza odnosi się również wzmianka Jana Długosza o uposażeniu w 1184 roku kantora krakowskiej kolegiaty św. Floriana pochodami z parafii olkuskiej, lecz kronikarska wzmianka powstała znacznie później, bo pochodzi ona z dzieła pisanego po 1470 roku.

Czy zatem, mimo skromnych, śladowych wręcz informacji o tym okresie dziejów miasta, można coś powiedzieć o obecności i roli w nim Żydów? Wydaje się, że tak.

Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę fakt, że przez samą miejscowość lub w bezpośredniej jej bliskości przebiegała główna droga pomiędzy Krakowem a Wrocławiem. Z czego wynika, iż w trakcie swych wypraw musieli przez Olkusz przejeżdżać kupcy radanicy, co zdaje się potwierdzać wzmianka u Rasziego. Minimum związków ówczesnego Olkusza z Żydami wyznacza zatem obopólna wiedza o sobie: Żydzi wiedzieli o istnieniu Olkusza, a olkuszanie znali Żydów z autopsji. Można jednak przypuszczać, że wzajemne związki nie ograniczały się tylko do sporadycznych kontaktów i znacznie przekraczały to minimum. Z punktu widzenia kupców Olkusz miał bowiem wszelkie dane, by być nie tylko jedną z mijanych miejscowości, lecz stać się miejscem, gdzie zatrzymywali się na dłużej. Tutejsi mieszkańcy dysponowali wszak środkami (zapewne większymi niż w wielu innych mijanych miejscowościach) niezbędnymi do zapłaty za oferowane przez kupców atrakcyjne towary, a co ważniejsze, mieli dostęp do ołowiu i srebra, które to metale znajdowały się niewątpliwie w orbicie zainteresowania kupców. W tej sytuacji nie byłoby niczym dziwnym, a wręcz należałoby się spodziewać, że jacyś Żydzi osiedli wówczas w Olkuszu na stałe, bo taki fakt znacznie ułatwiał

wzajemne kontakty handlowe (trzeba pamiętać nie tylko o kwestiach językowych, ale choćby o tym, że kupcy zdecydowanie chętniej zatrzymywali się w miejscach, gdzie respektowano ich motywowane religijnie odmienne zwyczaje, np. w sprawie koszernej kuchni).

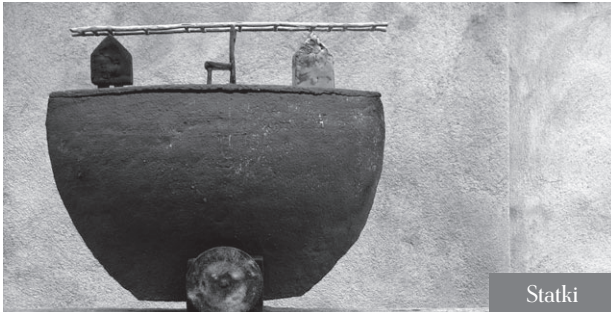
Jeszcze ciekawiej wygląda sprawa ówczesnych wzajemnych związków olkusko-żydowskich, jeśli spojrzymy na nią od strony etymologii. Otóż, naukowcy próbujący wyjaśnić pochodzenie nazwy „Olkusz” stwierdzali, że jest to nazwa niewątpliwie obca, gdyż nie może być należyście wyjaśniona na podstawie języka polskiego czy innego języka słowiańskiego. Doszukiwano się więc jej źródeł w języku niemieckim, ale i te próby nie dały zadowalających rezultatów. W artykule omawiającym tę kwestię Dariusz Rozmus zauważa jednak, iż to, co sprawia trudności językoznawcom próbującym powiązać nazwę miasta z językami słowiańskimi bądź z niemieckim „przestaje być problemem, gdy rozpatrujemy to zagadnienie na gruncie języków semickich”. A w takim wypadku nazwa „Olkusz” oznaczałaby miejsce „pana, który kuje”. Tę intuicję zdaje się także potwierdzać fakt, iż na Bliskim Wschodzie bez problemu można znaleźć przynajmniej kilka podobnych toponimów, a na Słowiańszczyźnie one nie występują.

W kontekście naszych rozważań warto zauważyć, że gdyby nazwa „Olkusz” była faktycznie toponimem pochodzenia semickiego, oznaczałoby to, iż Żydzi albo byli w początków osady obdarzonej tą nazwą, albo odgrywali w niej ważną, bądź nawet dominującą rolę w niewiele późniejszym czasie – ale jednak kluczowym dla kształtowania się miejscowości. Co więcej, mogłoby to wręcz znaczyć, że w pewnym dość wczesnym okresie istnienia była to po prostu osada żydowska, by posłużyć się słowami Rasziego – miejscowość „która należy do ziemi Izraela, choć leży poza granicami ziemi Izraela”. A może nie tylko dość wczesnym, ale przez cały okres istnienia Starego Olkusza, skoro wzmianka w komentarzu Rasziego jest właściwie jedynym znanym dziś dokumentem pisany odwołującym się do nazwy naszego miasta, który powstał przed jego lokacją na nowym miejscu, tzn. w czasie, kiedy Nowego Olkusza jeszcze nie było? Oczywiście, wskazane tu przesłanki to jeszcze za mało, aby przychylić się do takiej tezy, ale też zdecydowanie za dużo, żeby można ją było wykluczyć.

Bo sam fakt, że jacyś Żydzi zamieszkiwali Stary Olkusz jest niemal pewny. Można to wywnioskować z dokumentu pochodzącego z pierwszych lat istnienia Nowego Olkusza, którym jest napisany na pewno przed 1317 r. fragment najstarszej księgi miejskiej Olkusza zawierający spis parcel i domów w mieście. Pod pozycją 24–25 występuje w nim określenie „curie due Judeorum” (domostwa dwóch Żydów). Na podstawie umiejscowienia tego określenia historycy przypuszczają, że chodzi tu o dwa duże domy znajdujące się przy samym rynku, co też wskazuje, że ich właściciele zajmowali znaczącą pozycję w mieście. Można stąd wysnuć wniosek, iż ci Żydzi odgrywali również doniosłą rolę w Starym Olkuszu, bo przecież w nowym mieście nie pojawili się znikąd.

Najprawdopodobniej więc historia olkuskich Żydów sięga czasów Olkusza przedlokacyjnego, a niewykluczone, że związana jest nawet z samymi początkami miasta. Wątki żydowskie występujące we wzmiance Rasziego wcale nie muszą być aż taką fantastyką, jaką wydają się na pierwszy rzut oka. ●

Naturalny konserwatyzm Bałki Trzybulskiej



Statki

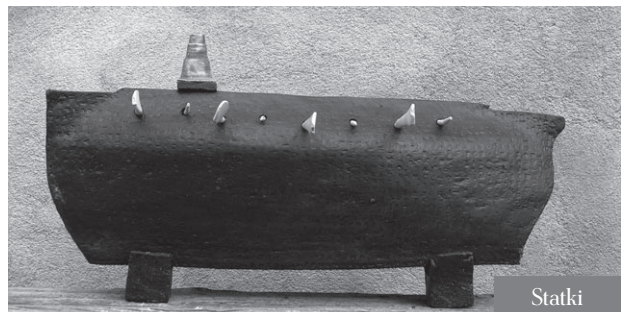
*Oddalam się i nie mam pewności, który to nawrót.
Podróż w czasie, spokój, ślady lęku. Śpiew kobiet
imitujących zazen. Później wywloką je poza granice.
Odpłyną łodziami, wypełnione tym, co odeszło.
Będą dryfować, aż zatoną.*

Kto odpływa na statkach oprócz kobiet? Krewni ustawieni według wzrostu, którzy wciąż pragną nas dotknąć, wpleść palce we włosy? A może przedmioty i sprzęty z objaśnieniami sposobu ich użycia? Czy taki obrazek wystarczy, by wykopać glinę z ziemi i uformować z niej łódź, która odbiega wprawdzie od ustalonego wzorca, ale stanowi o pewnej odrębności? Jak rzeki, które przebiegają pomiędzy drzewami i pobudzają jasność umysłu? Możliwe, że zaczęło się dużo wcześniej. Wtedy, kiedy podarowałam Bałce wewnętrzne wyspy, statki, łodzie i ozdoby, magiczne formuły, dziedziczone w linii ojca, nieuleganie modom. Choć ja regularnie ścieram kurz z książek i albumów ze zdjęciami, i pamiętam te wszystkie przejścia, boczne drogi i kilkanaście imion zeszkrobanych z cmentarnych tablic. Bałka Trzybulska upycha we wnętrzach lepionych przez siebie przedmiotów świadomość płci, milczenie, wolne soboty i niedziele. Mamy wtedy czas, by pochylić się nad pochlipywaniem ryb. Usłyszeć ludzi, poczuć ocean, który coraz mocniej przenika w głąb. Kilka razy czytelnicy pytali mnie, co mogą zrobić. Bo zbyt wiele jest realizmu w ich życiu, upiornego nacjonalizmu, czarnowidztwa. A przecież wystarczy pokochać związki karmiczne, poszarzałe nabrzeża, naturę. Nauczyć się odmawiać, wyrażać zdanie zdecydowanie, bez zbędnej egzaltacji. Zachęcamy z Bałką tych leniwych, którzy spoczęli na laurach, do działania. Statek uniesie każde wspólne popołudnie, teatralny wieczór, mydlarnie, farbiarnie i małe jaskółki. *Ludzie, którzy tworzą, potrzebują siebie wzajemnie. Nie tylko do tego, by się wspierać, ale by widzieć siebie w oczach innych. W ogóle widzieć. Temperować ego, dotykać tych wszystkich czułych albo martwych miejsc. Być tylko dla siebie*

to żadna sztuka – napisałam w jednym z komentarzy na temat przyjaźni z Bałką. Ale to ona wyodrębnia w glinie drogi i styżne. Lepi labirynty, kominy, formuje przejścia. Tworzy kolorowe domy, w których ukrywamy pustynie, dobre miny, ulubione książki. Nic nas nie chroni oprócz sztuki i literatury, którą karmimy. Ze statków sypią się słowa, w środku znikają nurzyski, pajęczyny i leniwe koty. Hodujemy w zakamarkach zioła, tworzymy indeksy nowych rzeczy. Zaskakują nas pory roku. Jakbyśmy byli niewolnicami nastrojów, odciętymi od stałego lądu. Nasiąkamy zapachami. Po wyციeleniu światła słychać kumkanie żab. W wyobraźni tworzymy pewne ramy, które wyłaniają symbole. Co można ulepić z ciszy? Wyłowić z pomruku wiatru? Wyczynać z wierszy? To właśnie nas przybliża. Również muzyka, wypowiedzi ważnych dla nas osób. Bałka bezustannie komponuje przestrzeń. Przesuwa kąty, krzyżuje wewnętrzny świat. Odsłania zupełnie inny pejzaż i pokazuje nową perspektywę – jak patrzeć na ceramikę. Oczywiście, trzeba chcieć dotknąć tego obrazu. Przyciąć go odpowiednio do swojej rzeczywistości i swojego punktu widzenia. Wyodrębnić z jaźni własny statek. Wydrapać na nim imiona, idyllę natury, ulepić cień albo światło. Na statkach nie wszystko jest na swoim miejscu. W języku symbolicznym każdy może się wypowiedzieć i ułożyć przedmioty, jak mu się podoba. Takie zadanie dostajemy od artystki. Lubimy się bawić w interpretację? Tutaj mamy szerokie pole do popisu. Zastyga we mnie piękno obrazów, jakie tworzy Bałka. Są wysmakowane i subtelne. Dzięki niej przestrzeń nie drętwieje, nie staje się martwa, wręcz przeciwnie. Czuję w jej przedmiotach jakąś obecność. Nie tylko słów. Również odgłosów z otoczenia i czegoś bliżej nieokreślonego, co powoduje, że wciąż wracam do jej stawu, ryb i statków. ●

Będziemy o tym myśleć.

*W kółko, w leśnej pętli. I nic z tych rzeczy nie zniknie. Dzwonki.
Domki. Kolaże. Zdania dzielone przecinkami. Suszone owoce
popijane sodówką. Nasz śmiech i brak złudzeń, że osiągną naszych
rąk. Szkoda. Mamy widok na kawał świata. Lasy, góry, ocean, dom
za domem.*



Statki

Galeria AFRONTU

Paweł Garwol

„Inspirację dla mojej twórczości stanowią przede wszystkim własne doświadczenia, przemyślenia i poszukiwania. W centrum moich twórczych zainteresowań znajduje się świat w szerokim znaczeniu i jego wpływ na jednostkę i jej wnętrze. Wszystkie formy ekspresji – malarstwo, fotografia, instalacje, komiks – mają dwojaki sens. Są wyrazem moich refleksji nad światem i rzeczywistością, a jednocześnie próbą podjęcia dialogu z odbiorcą, stworzeniem pola dla wielu kluczy interpretacyjnych. Właściwie każda z moich prac opowiada inną historię, niezmiennie jednak w centrum uwagi znajduje się człowiek”.

Paweł Garwol www.garwol.pl/

„Garwol jest surrealistą, jednak – paradoksalnie – mocno osadzonym w realizmie. Nie znaczy to, by kopiował Salvadora Dalego; żyje przecież w innych czasach, w innej rzeczywistości i ma w związku z tym zupełnie inną wyobraźnię. A jednak i u niego centralnym punktem jest praktycznie zawsze jakiś element rzeczywistości, ukazany w zupełnie klasyczny sposób, lecz umieszczony przeważnie w zaskakująco odrealnionym kontekście”.

Jarosław Nowosad



Paweł Garwol
Fot. archiwum prywatne



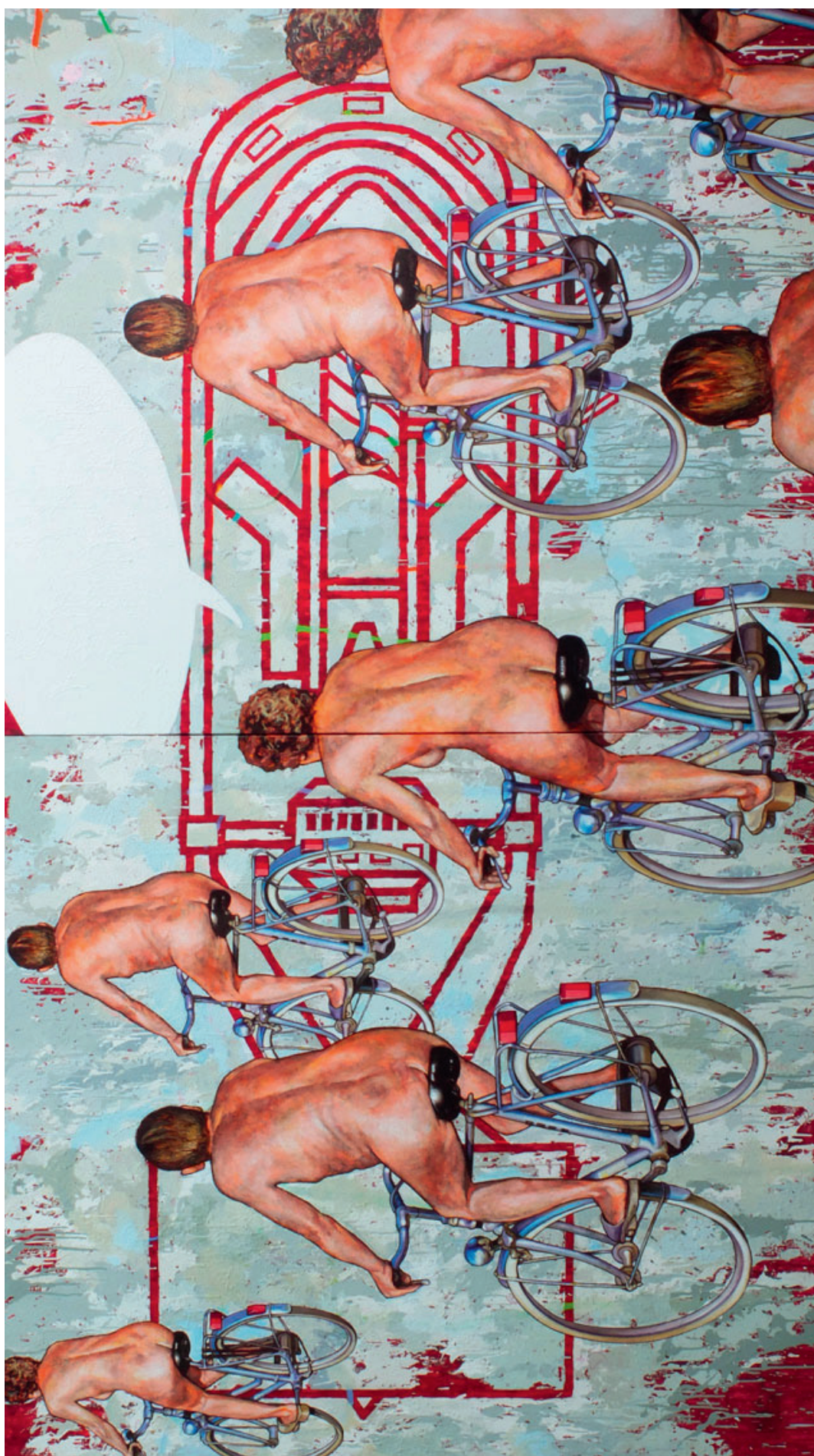
Rysunek Pawła Garwola. Jedna ze stron z komiksu pod tytułem „Odwiedziny” (Prószyński Media 2017), scenariusz: Paweł Rzdolkiewicz.



Rysunek Pawła Garwola. Jedna ze stron z komiksu pod tytułem „Odwiedziny” (Prószyński Media 2017), scenariusz: Paweł Rzdokiewicz.



one step



hello little boy [190x340 cm, podurójnie]